

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Anna Bojarska

**BIEDNY OSCAR
CZYLI
DWA RAZY O MIŁOŚCI**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ŚMIERĆ SEBASTIANA MELMOTHA

Clapham Junction

Nie wzięli dorożki. Świecił księżyc, drzewa rzucały cienie na chodnik, Paryż przycichł. Sebastian Melmoth – wielki, otyły, w białym wieczorowym szaliku, w kapeluszu zsuniętym z czoła – siedł obok mniejszego, chudego przyjaciela i płacił mu za swoją kolację. Płacił tym, co zawsze: sobą. Czyż nie jest wciąż najbardziej uroczym z ludzi, kimś, czyje towarzystwo warte jest tyle, ile wynosi rachunek w dobrej restauracji? Czy nie dlatego został zaproszony? Szedł więc przez zasypiający Paryż syty, rozweselony winem, i mówił, wciąż mówił swym modulowanym, po aktorsku ustawionym, niezmiennie aksamitnym głosem. Ach, ta parka, która towarzyszyła im przy kolacji, te cudowne francuskie bliźnięta, dwie tanagryjskie statuetki tak kruche i tak patetyczne w przelotnym apogeum swej głupiutkiej i skazanej na rychłą zagładę młodości! Prawda, jaką bajeczną rzeczą jest porównanie tego samego typu urody objawionego w dwóch wersjach, męskiej i kobiecej? I czy nie zastanawia przewaga wersji męskiej, o tyle szlachetniejszej i czystszej? Bo przecież Jules jest piękniejszy od Emilienne! Ale dość o własnych gustach, których fundator kolacji nie podziela; pomówmy o poezji. Pamiętasz te strofy Verlaine’a, Frank? A Dante... ach, Dante! Zauważyłeś, co jest najważniejszą cechą wszystkich wielkich poetów, co ich łączy? Litość dla słabości! Tak, litość: ona, która stworzyła Chrystusa, jest także iskrą, od której zapala się geniusz poezji. Chociaż tak łatwo pomylić ją z czym innym. Z rozczuleniem miernoty własną, pożał się Boże, „wrażliwością”: czyż osoba „wrażliwa” to nie ta, która wszystkim depcze po nogach, ponieważ sama ma odciski? Nigdy nie wierz człowiekowi, który mówi sam o sobie, że jest taaaki wrażliwy, i to, oczywiście, od dziecka, a jeśli w dodatku doda skromnie: „sam nie wiem czemu”, uciekaj, gdzie pieprz rośnie, Frank, trafiłeś na wyjątkowego łajdaka! Co też taki może mieć zamiast serca? Chociaż serce... hm, serce! Najgorsza rzecz z sercem to to, że tak strasznie nas postarza. Nie pasuje do modnego ubioru. I nie myl aby litości ze „zmysłem moralnym”. Moralność, wielkie nieba! Moralność jest ostatnią ucieczką tych, co nie pojmują piękna. Instynkt moralności można tak wyszkolić, że wyskakuje wszędzie, gdzie jest niepotrzebny. Nigdy, doprawdy nigdy nie spotkałem człowieka, mówiącego o swoim sumieniu, moralności, zasadach, który nie byłby nikkczemnikiem i tchórzem. W końcu sumienie i tchórzostwo to jedno. Sumienie jest firmą tej spółki. I można – o, jak bardzo można! – być złym, nie czyniąc nigdy nic złego. A w dodatku...

Nagle Sebastian Melmoth rzuca krótkie spojrzenie na przyjaciela, niezmiennie uprzejmego, lecz i pełnego dezaprobaty. Urywa w pół zdania. Jakby przekłuto szpilką karnawałowy balonik. Widzisz we mnie tokującego głuszca? Ależ proszę: wystarczy jeden strzał i głuszcze spada z gałęzi. Wymiatamy perły z chlewu. W świetle księżycy i latarni zwraca się w stronę fundatora kolacji twarz rozluźniona, bezbronna i skrzywiona, twarz, która się rozpadła, ściany w gruzach, przysypane fundamenty, ruina. O to ci chodziło?

– Nie potępiaj mnie Frank! Ty nie wiesz, ile wycierpiałem. Zrobili mi okropne rzeczy. Gdybyś wiedział...

Nawet głos przestał już być aksamitny. Chrypi, załamuje się i znów się podnosi w nieskładnych, urywanych skargach, w żalonych jękach dobrych w dziele sztuki przeznaczonym dla rzesz i stuleci, ale niedopuszczalnych w rozmowie z jednym tylko człowiekiem. Co za hańba! Błyskotliwy, dowcipny, cyniczny Sebastian Melmoth rozwiął się w mroku; pozostał jeden z tych niezliczonych plebejskich nudziarzy, którzy w przystępie rozpaczy chwytają za guzik pierwszego lepszego przechodnia, łapią za rękę sąsiada w przedziale kolejowym, przysiadają się do cudzego stolika w taniej knajpie – i bełkoczą, i szlochają, opowiadając pierwszemu lepszemu, byle komu, o swoim zmarnowanym życiu. Co oni mi zrobili, panie; co oni ze mną zrobili! Taki potok skarg niezawodnie prowadzi do płaczu. Proszę: Sebastian Melmoth też już prawie płacze. Ma łzy w oczach. Usta mu się trzęsą. Co oni ze mną zrobili! Gdybyś wiedział!

Dzień, kiedy go aresztowano. Wiedział, że to zrobią. Wstydził się uciekać. Nie chciał być dezenterem. Przez cały dzień czekał na ich przyjście. Aresztowanie, dobrze. Ale to poniżenie? Zabrakło mu wyobraźni, nie wiedział, nie przewidział! Widzisz, siedziałem w areszcie jak mała w klatce i nagle... nagle policja wpuściła dziennikarzy. Wpadli tłumnie, z hałasem, oblepili kraty, uwiesili się na kratkach i patrzyli. Patrzyli i komentowali. Te ich komentarze, Frank! Te ich wrzaski! Te dowcipy! Wpuszczono ich jak do ZOO... no, i zachowali się jak hołota w ZOO. Macie swojego zboczeńca w klatce! Napatrzeć się nie mogli. Czyhali na każdy ruch, na każdy grymas. Czy mogli być wśród nich moi kochani recenzenci? Te cnotliwe półgłówki? Nie, na pewno nie, ale... Ta nienawiść! I ten triumfalny wrzask, kiedy zasłoniłem twarz! Jakby tego właśnie chcieli: tego, żeby zwierzę odskoczyło przerażone, żeby się skuliło, ukryło głowę jak przed ciosem... I jak to długo trwało! Wiecznie!

A potem przyszło coś jeszcze gorszego. Przyszło to, co najstraszniejsze: Clapham Junction.

Clapham Junction, stacja węzłowa w drodze z więzienia w Wandsworth do więzienia w Reading. 13 listopada 1895. Nigdy nie zapomni tej daty! Pół godziny: od drugiej do wpół do trzeciej. Przez rok, przez cały następny rok drżałem w mojej celi, kiedy zbliżała się godzina druga. Przez rok, każdego dnia, od drugiej do wpół do trzeciej płakałem. Bo **tam** wtedy, płakać nie mogłem. I właśnie dlatego...

Clapham Junction, 13 listopada 1895. Od drugiej do wpół do trzeciej. Tyle trzeba było czekać na pociąg w kierunku Reading. Na peronie. W więziennym stroju, w kajdanach, na deszczu. Najpierw – natychmiast – zebrała się gromadka ciekawych. Tuż potem tłum. Podróżni wysypujący się ze stających na stacji pociągów przyłączali się do zbiegowiska. Ten ogromny, potężnie zbudowany więzień, wystawiony na pokaz pośrodku peronu, ociekający deszczem, onieśmielony, ze skutymi rękami, starający się udawać, że nie widzi gapiów, był nieodparcie śmieszny. Więc śmiano się. Śmiano się. Po raz pierwszy od tyłu miesiący znalazł się poza więzieniem, wśród wolnych ludzi, w normalnym, dawnym świecie. Zachowywał się jak niedźwiedź na łańcuchu, zabawnie, na pewno zabawnie. Wzięli go wprost ze szpitala, to, co miał na sobie, było gorsze niż zwykły ubiór więźnia, cóż za groteskowe szmaty, i ten ogolony łeb, a na policzkach przeciwnie, zarost, i te kajdany; chory był także, może drżał na deszczu z gorączki, a może z zimna, a może ze strachu... zabawny, o tak, bardzo był zabawny z tym swoim udawaniem, że nic się nie dzieje, z tym spuszczeniem oczu... Więc śmiano się, śmiano. Aż raptem ktoś krzyknął. Rozpoznał go. Zawołał jego nazwisko. Jego prawdziwe nazwisko, tak sławne i takim okryte błotem. To przecież on! I wtedy Sebastian Melmoth zrozumiał, czym jest dla innych. Czym jest dla świata. Bo ludzie przestali się śmiać. Zabawny kryminalista moknący na deszczu nie był wrogiem; on tak. Był wrogiem każdego z nich. Tłum zafalował, przybliżył się. Stał się groźny. Zaczęto pluć. Lżyć go. Wyc. Strażnicy, którzy go pilnowali, nie przeszkadzali ludowi w godziwej rozrywce. Ale to już nie była godziwa rozrywka, nie, to było spełnianie chwalebego obowiązku, kamienowanie jawnogrzesznicy... Co za euforia! Co za nienawiść! Dopóki nie znało się takiej nienawiści, nie wie się niczego,

niczego. Dopóki się nie było kamienowaną jawno-grzesznicą. On był. Od drugiej do wpół do trzeciej kamienowano go w Clapham Junction. I dlatego teraz...

Rozpłakał się. Głos odmówił mu posłuszeństwa. Kilka razy bezradnie, po rybiemu, otwierał i zamykał usta. Aż wreszcie uciekł.

Fundator kolacji nie gonił go, nie wołał. Pozostał w cieniu paryskich drzew i w świetle księżyca. Teraz dopiero inwestycja opłaciła mu się w pełni.

To o nim ten, który właśnie uciekł – ta nie dobita jawno-grzesznica – powiedział: *Frank Harris jest pozbawiony wszelkich uczuć. W tym kryje się tajemnica jego sukcesu. Uważa on, że inni ludzie też są pozbawieni wszelkich uczuć. W tym kryje się tajemnica klęski, która go kiedyś czeka.* Może mu to powtórzono, a może nie. Może się obraził, a może nie. W każdym razie teraz jest zadowolony. Sebastian Melmoth zachował się tak, jak powinien był się zachować. Zdjął maskę. Odrzucił swą przeklętą dzielność, swą nie pasującą do sytuacji wesołość, swój zgryźliwy humor: toż nawet o więzieniu Sebastian Melmoth potrafił opowiadać tak, że słuchacze skręcali się ze śmiechu! A jaki bywał cyniczny i bezduszny! Czy nie zepsuł do cna wzruszającej historii o strażnikach z Reading, którzy polubili go w końcu tak bardzo, że narażając się na surowe kary przemycali dla niego jedzenie? Czy nie zepsuł jej, mówiąc ze smutkiem, że – niestety! – ci szlachetni ludzie bez wyobraźni potrafili przynieść mu kielbasę lub kiszkę pasztetową? *Niektórym się wydaje, że człowiek głodny może zjeść **wszystko**.* I ta jego pycha, to wieczne, wyniosłe (z jakich to wyżyn?) osądzanie świata! Ludzie wrażliwi ze swoimi odciskami, serce, które nas postarza... o ileż bardziej pasowało do niedobitej jawno-grzesznicy wspomnienie Clapham Junction! O ile stosowniejsze były łzy i ucieczka! I Frank Harris z aprobującą wreszcie, zadowoloną miną poszedł do krawężnika, żeby zatrzymać drożkę.

Wolność

Tymczasem Sebastian Melmoth jak wielka, tłusta ćma tłukł się dalej po nocnym Paryżu.

Od tak dawna jest Sebastianem Melmothem. I ciągle nie może przywyknąć.

Ten dzień, kiedy się narodził. Kiedy się zaczął. Jakież to miał być piękny dzień! Wieczne ludzkie marzenie: odrzucić samego siebie jak wąż odrzuca starą skórę. Wyjechać i zacząć wszystko od nowa. W innym kraju, pod nowym nazwiskiem. Zwykle kończy się na marzeniach. On tego dokonał. Musiał. Ale jednak – jaki to mógł być, jaki to miał być piękny dzień!

Przed wiekami.

W majowy poranek 1897 roku.

Maj: najlepszy miesiąc na odzyskanie wolności. Poranek: najlepsza pora! Załatwił już i podpisał wszystko co należało. Odebrał swoje pół suwerena: zapłatę za dwa lata ciężkich robót. Przyjechano po niego. Matka umarła, żona odeszła, do dzieci stracił prawa, jedyna miłość puściła go kantem (tak, nazwijmy to wreszcie po imieniu) – ale ma przecież jeszcze przyjaciół, ma ludzi życzliwych, przyjechano po niego. Robert Ross, kochany zadartonosy Robbie, z jakimś pastorem: pojedą do domu tego pastora. Tam przyjdą Leversonowie. Nie, nie wszyscy się go wyrzekli! Jazda powozem. Powietrze. Drzewa. Lekki wietrzyk. Cud majowego poranku. Przez dwa lata widział tylko skrawek nieba nad spacernikiem i deszcz na Clapham Junction. Powinien być szczęśliwy. Jest przerażony.

Dom pastora. Pierwszy normalny dom od dwóch lat! Pierwsza prawdziwa kąpiel. Cywilne ubranie. Kwiat w butonierce! Pierwsza filiżanka kawy. Papieros. Piękna kobieta wchodząca do pokoju, witająca go wybuchem radości, piękna kobieta w takim uroczym, takim czarującym kapeluszu... Bierze obie jej ręce w swoje czerwone, pokaleczone, spierzchnięte łapy więźnia. Przez chwilę jest taki, jakby nie było procesów, cel, krat, kajdan, karcerów, kręcenia się w kółko na karuzeli maleńkiego podwórka, chorób, obelg, poniżeń, twardych desek pry-

czy, kamienowania na Clapham Junction. *Sfinksie, jak to cudownie, że pani zgadła, jaki kapelusz należy włożyć o siódmej rano na powitanie przyjaciela, który był... długo nieobecny.*

Dobrzy ludzie zrobili składkę. Zadbali o jego dalsze życie. W domu pastora stoją już spakowane kufry z inicjałami S.M. Sam sobie wybrał nowe imię i nazwisko. Sebastian, najpiękniejszy ze świętych, ulubieniec tych, którzy wołają Julesa od Emilienne – i Melmoth włóczęga, Melmoth – Żyd, wieczny Tułacz z irlandzkiej powieści... Obce inicjały na podarowanych kufrach, a w środku – ani jednej rzeczy, która by należała do niego. Wszystko, co miał, sprzedano za grosze na licytacji, rozkradziono, połamano, zniszczono. Gdyby tak choć jedną książkę z własnej biblioteki... Mniejsza o to. Nowe życie. Nowa skóra dla węża. Emigracja. I nawet będzie miał z czego żyć. Żona, przeprowadzając separację, wielkodusznie wyznaczyła mu rentę. 150 funtów rocznie w kwartalnych ratach. Tylko jeden warunek: nie wolno mu wywołać nowego skandalu. Nie wolno mu zamieszkać – z tamtym, z jego miłością.

Co za naiwność.

Przecież wszystko skończone. Dawno skończone.

Nic łatwiejszego niż spełnić taki warunek.

Siedzi w pięknym pokoju, wśród obrazów Burne-Jonesa i Rossettiego. Pije kawę, pali. Oto dzień, o którym marzył przez całe dwa lata. Jakie to miało być szczęście! Więc dlaczego czuje tylko strach?

Nie wie, jak stać się Sebastianem Melmothem.

Kim on ma być? Sebastian Melmoth, niezamożny angielski emigrant w Europie, człowiek niewiadomego zajęcia i niewiadomej przeszłości – jak to się robi? Jak się zostaje kimś takim? Jeszcze nie. Jeszcze trochę. Do czegoś takiego trzeba się przygotować. Czy nie można – czy nie można ukryć się gdzieś? Przyciąć się, przywyknąć do tego, przeczekać?

Ross potakuje. Przecież właśnie to radził mu na widzeniu w Reading. Klasztor! (Kochany stary Robbie nie traci nadziei, że w końcu zrobi z niego papistę). Katolicki klasztor! Nie ma lepszego miejsca dla człowieka po takich przejściach. Niech poprosi o udzielenie mu półrocznej gościny. Pół roku to dokładnie w sam raz, żeby się uspokoić, żeby przywyknąć. Niedaleko stąd jest taki klasztor. Właściwie dom rekolekcyjny. Dorożkarz zawiózłby tam jego list w ciągu kwadransa. Wspaniale. Pisz list. Czy wspomnieć, że od dawna myślał o przejściu na katolicyzm? Oczywiście. To powinno zrobić dobre wrażenie. Zresztą naprawdę uważa, że katolicyzm jest czymś uroczym. Romantycznym. Fascynującym. Te kadzielnice, koronki, szkarłaty, czarne konfesjonały, codzienna straszna ofiara: zachwycał się tym kiedyś – przez chwilę. Przez jeden sezon. Choć, oczywiście, gardzi religią, wszelką religią: jakże to wyciągano i rozstrząsano na jego pierwszym procesie! Gorszyciel młodzieży! Ale to był on, teraz jest Sebastian Melmoth: kto wie, czy do Sebastiana Melmotha nie pasowałby katolicyzm? Krzyżyk na szyi i szept przy konfesjonale? Ach, klasztor! Cisza, spokój, biały mur za drzewami, dźwięk organów. Bóg! Dorożkarz wraca z odpowiedzią. Sebastian Melmoth czyta ją i wybuch płaczem. Odmówiono mu. Odrzucono podanie grzesznika. Nie, to tylko chwila, krótki szloch, już dobrze. Papierosa. Nic się nie stało, nerwy. Może i lepiej, że odmówiono. Katolicyzm, wielkie nieba! Dobrze. Już minęło.

Teraz zgodnie z planem. Wstać, włożyć kapelusz. Wyjechać na zawsze.

W drogę.

Statek.

Francja.

Dieppe. Żagle na morzu. Rozczulający, niewiarygodny szyld: Hotel Sandwich. Po raz pierwszy trzeba podpisać się tym nowym, fałszywym nazwiskiem. Własne ręce na rozłożonych kartach księgi hotelowej: czerwone, spękane, całe w odciskach i przyschniętych pęcherzach ręce zwolnionego więźnia. Ręce, które darły pakuły, szyły grube worki, szorowały drzwi i podłogi: łapy kryminalisty! Ogląda się ze strachem. A nuż go tu odnajdą? Krzykną nagle, kim jest – jak na Clapham Junction? Wyrzuciliby go z hotelu Sandwich. I ze wszystkich ho-

teli. Z każdej knajpy, z każdego baru, z każdej garkuchni. Przeżył to już w Anglii, oskarżony i zwolniony za kaucją. Nigdzie go nie wpuszczano. Albo zaraz po nim wchodził zyczliwy informator – o, przez całą noc chodzili za nim, przed nim ludzie markiza Oueensberry! – i wyrzucano go, wypraszano. Domu już nie miał. Wszyscy uciekli, wszyscy wyjechali. Głód, pragnienie, senność. I nie było drzwi, które by się przed nim otwały. Przez całą noc tłukł się tak po mieście, a za nim jego cienie, te nieodstępne cienie... We Francji może być tak samo. Mają tradycję, mają precedensy. Stoi nad księgą meldunkową hotelu Sandwich jak ten ich Jean Valjean, jak zwolniony galernik.

Już się nawet nie wstydzi własnego strachu.

Tak, jak nie wstydzi się łez. Czy płakał kiedykolwiek przedtem? Zanim się zaważyło? Taki był wyniosły, taki pogodny, nic go nie wyprowadzało z równowagi, wrogowie szaleli z wściekłości, nie można go było zranić, nie zauważał żadnej obrazy, nie docierała do niego żadna zniewaga, najbardziej gruboskórny z ludzi, głuchy i ślepy nosorożec! Cokolwiek mu się zrobiło, cokolwiek mu się powiedziało, uśmiechał się uprzejmie i rzucał jakiś żarcik: nie rozumiał, po prostu nie rozumiał, jaką budzi niechęć. Bo żeby był aż tak twardy – nie, w to niepodobna uwierzyć! Czy płakał, kiedy napadnięto go w szkole, kiedy wrzeszcząca gromada wlokła go, znieawidzonego pyszałka i dziwaka, przez łąkę, przez wzgórze? Uwolniony wreszcie, otrzepał ubranie, rozejrzał się i powiedział z uśmiechem: *Mieliście rację: widok stąd jest rzeczywiście prześliczny*. A w Oxfordzie, kiedy go znów napadnięto, kiedy czterech dryblasów wdarło się do jego mieszkania, żeby mu wytłuc te cacka z błękitnej porcelany, które tak namiętnie zbierał, o których mówił każdemu jak o najcudowniejszej rzeczy świata, najcudowniejszej i najbardziej godnej miłości? (Nawet pastor wyklinał go z ambony, pogani- na twierdzącego, że nie istnieje w świecie widzialnym i niewidzialnym nic, co by dorównywało doskonałością błękitnej porcelanie). Czy się choć przestraszył? Dobrze sobie! Trzech dryblasów stoczyło się kolejno ze schodów, a czwartego on sam zniósł jak czuła matka niemowlę i troskliwie ułożył na chodniku. Chłop jak dąb z pięściami jak cepy: umiałby się bronić, ale nie chciał, wołał nie rozumieć, wołał się uśmiechać, wołał grzecznie pogardzać, kto by to zniósł? Motłoch. Nie zniżał się do metod motłochu. Nawet do tego, żeby choć raz w życiu zakląć, nigdy się nie zniżył. Słownictwo motłochu, obyczaj motłochu! Obnosił po świecie swoją inność zamiast się jej wstydzić, zamiast się z niej poprawić, patrzył z uśmiechniętą, pogodną wyższością na cudze gry, zabawy i sporty, bijatyki i pijatyki, a potem na szacowne rodziny i ukrywane zdrady, na wszystko, czym żyli inni. Przechodził wśród nich ze słonecznikiem w dłoni, z oczami wpatrzonymi w jakiś niewidzialny dla innych cud – cud błękitnej filizanki czy sonetu Szekspira – i nie bał się, nigdy niczego się nie bał, i nie było okrucieństwa ani podłości zdolnych wycisnąć mu łzy z oczu; aż nagle minął, skończył się, umarł. Narodził się Sebastian Melmoth.

Ach, panie! Wiemy, czym jesteśmy, ale nie wiemy, co się z nami stanie.

Córka piekarza zmieniła się w sowę, on – w Sebastiana Melmotha. Kruchego jak filizanka z błękitnej porcelany w dawnym oxfordzkim pokoiku. Z łapami galernika i z niewyczerpanym zapasem łez. Kiedyś opancerzony jak nosorożec, teraz bez skóry. Wie coś, czego nie wiedział dawniej. Doświadczył lorda Douglasa, złotowłosego lorda Douglasa, i Clapham Junction: wie wszystko. Już nie zabłądzi w piekle. Zna każdą jego uliczkę, każdy skwer, każdy zaułek. I tę chwilę, kiedy przestaje się być Sebastianem Melmothem, krótką czeluść tej chwili, zna także. Nie musiał czekać długo. Już w hotelu Sandwich został zdemaskowany.

Pan się nie nazywa Melmoth, prawda? Pan się nazywa...

Te dwa słowa. Imię i nazwisko, wykrzyczane na Clapham Junction jak wyrok śmierci.

– Prosimy pana o opuszczenie hotelu.

W porządku. Łatwiej to znieść niż ten strach przedtem. Strach, że to się stanie.

Są inne hotele. Ale w każdym powtórzy się to samo. Opuścić hotel? To mało. Dieppe. Może Francję. Może Europę. Może świat.

Gdyby tylko tyle trzeba było znosić! Życie byłoby lekkie jak pyłek kwiatu, łatwe jak skończenie Oxfordu albo napisanie książki. Można by się z tego śmiać. Czy ludzie nie są zabawni?

Drugi, trzeci, czwarty tydzień jest Sebastianem Melmothem. Stara się nim być. Próbuje. Tak uczciwie, tak rzetelnie próbuje.

Na razie trzeba opuścić tylko Dieppe. Czymże to jest wobec świata? Nie ma się czym przejmować. Drobiazg. Tyle co nic.

...Et la reine d'Angleterre!

Kiedy go wieziono z sądu, padał deszcz, taki sam jak później na Clapham Junction. Skuty za ręce z dwoma innymi skazańcami, przemoczony, trzęsąc się z zimna, powiedział z uśmiechem do strażnika: *Proszę pana, jeśli królowa Wiktoria tak traktuje swoich więźniów, nie zasługuje na to, żeby ich mieć!* I oto królowa Wiktoria obchodzi swój brylantowy jubileusz, a on jest we Francji, już od miesiąca wolny.

Królowa Wiktoria obchodzi brylantowy jubileusz, a on jest wygnańcem.

Anglia świętuje, cały naród wymachuje papierowymi chorągiewkami, krzyczy, wiwatuje, śpiewa. Dziś, 22 czerwca 1897, Wielki Wiek osiągnął swoje apogeum, i kraj, w którym Wielki Wiek spełnił się najbardziej, także. Nie było piękniejszych czasów, nie było piękniejszej epoki! A nade wszystko – nigdy nie było aż takiej dumy z własnej epoki. Kiedyż to tak wielu ludzi promieniało pewnością, że żyją w złotym wieku? Zawsze – taka już jest natura ludzka – zawsze nostalgicznie wzdychano za lepszą przeszłością. Nie teraz. Gdy Napoleon przegrywał pod Waterloo, kończąc ostatecznie poprzednie stulecie, Europa cuchnęła krwią i łójówkami, marło się z głodu przy byle suszy, kobiety i dzieci pracowały w kopalniach, zatłoczone statki handlowe wiozły do Ameryki czarnych niewolników; a teraz? Prawa ludzkie i ośmiogodzinny dzień pracy, obowiązkowe elementarne nauczanie, koleje i parowce, żarówki elektryczne i elektryczne tramwaje, telefony, fonografy, samochody i filmy; nawet Sebastian Melmoth postanowił kupić sobie aparat fotograficzny! Od dziesiątków lat londyńczycy jeżdżą metrem, a Brytania panuje nad morzami i lądami. Czy przeciągnięcie – ponad trzydzieści lat temu! – kabla telegraficznego przez całe dno Atlantyku, między dwoma kontynentami, nie było czymś większym od jakiegokolwiek politycznej rewolucji? A sztuka, literatura – czy kiedykolwiek była większa i zarazem tak powszechnie dostępna? Potęga rozumu, oświaty, potęga światła! I ta druga potęga, wspierająca pierwszą, ta również. Za życia Sebastiana Melmotha jego kraj brał udział w wojnie krymskiej, walczył z Persami, tłumił powstania w Indiach, na Jamajce, w Sudanie, toczył wojny przeciwko Chinom, Afganistanowi, Etiopii, podbił Indie, Somalię, Nową Gwineę, Nigerię, Rodezję, Kenię, Birmę, Ugandę, zdobywał i dawał autonomię, władał do imperium, obejmował protektoratem... Sebastian Melmoth miał cztery lata, gdy zbudowano pierwszy pancernik i gdy wyszło dzieło Darwina *O pochodzeniu gatunków*, pięć, gdy wszystkich pięciolatek objęto obowiązkowym nauczaniem, a czterdzieści, gdy go wieziono z sądu w kajdanach, skazanego za czyny nierządne. Co właściwie powinien czuć dzisiaj, w miesiąc po zwolnieniu, wyrzucony z hotelu Sandwich wygnańiec o czerwonych, pokaleczonych łapach galernika? Dziś, kiedy ludzie, którzy opluwali go na Clapham Junction, wymachują chorągiewkami i wiwatują na cześć swojej królowej? Wielki Wiek! Dzieci nie pracują już w kopalniach, ale siedzą w więzieniach pospołu z dorosłymi; w kilka dni po swym zwolnieniu Sebastian Melmoth przeczytał w angielskiej gazecie notatkę o zwolnieniu z pracy strażnika z Reading, którego winą było poczęstowanie zagłodzonych, zmaltretowanych dzieciaków biszkoptami, i napisał długi list protestacyjny, list o okrucieństwach, które sam widział w Reading, o małych dzieciach i obłąkanych odsiadujących za tym samym murem absurdalne wyroki, o chłości... Czy powinien czuć aż taką nostalgię?

A jednak ją czuje.

Już nigdy nie wróci do tego świętującego, dumnego, łopoczącego flagami kraju. Nie usłyszy orkiestr wojskowych poprzedzających ukazanie się królewskiej karety, nie zobaczy jej powolnego przejazdu huczącymi krzykiem i śpiewem ulicami Londynu w ten największy dzień Wielkiego Wieku. A przecież to jego wiek, jego królowa, jego ojczyzna.

On jest British, British.

Który Francuz to zrozumie? Przecież we Francji jest **ładniej**, wolność rozkwita tu niczym pelargonia, artystom żyje się lepiej niż gdziekolwiek na świecie, zresztą dlaczego ojczyzną Irlandczyka miałyby być Anglia? Minęły chłodne dni, nastąpiła cudowna pogoda, morze szumi łagodnie, żagle łodzi rybackich jaśnieją w słońcu; w Berneval-sur-mer, dokąd się przeniósł wygnany z Dieppe za często odwiedzanego przez angielskich turystów zgorszonych samym jego istnieniem, jest zacisznie, miło, spokojnie... Tu się nie rozumie nostalgii.

Może dzieci. Może tylko dzieci coś rozumieją.

Nie nostalgii. Ale cokolwiek. To coś – nie wypowiedziane. I nie do wypowiedzenia.

Zbiera, zaprasza piętnastu małych chłopców. Z nimi będzie obchodził jubileusz swojej królowej!

Wita ich promienny, w jaskrawym, turkusowym ubraniu. Przygotował podwieczorek. Truskawki ze śmietaną, i grenadina, i różne przysmaki, a na koniec wielki mrożony tort ze słowami *Jubilé de la Reine Victoria* wypisanymi zielonym i różowym lukrem pośrodku girlandy z czerwonych marcepanowych róż. Kupił dla wszystkich prezenty: trąbki, akordeony, klarnety. Rozdaje im małe flagi brytyjskie. Dzieci śpiewają Marsylianę, tańczą rondo, pan Melmoth uczy je *God save the Queen*, a one powtarzają z namaszczeniem. Poczęstunek jest świetny, prezenty cudowne, a pan Melmoth tak ciekawie – ciekawiej niż ktokolwiek na świecie! – opowiada. O *la reine Victoria* – żadna kobieta na świecie nie ma takiej godności, takiego majestatu! Panowała na siedemnaście lat przed narodzinami pana Melmotha i – daj Boże! – będzie panować jeszcze po jego śmierci. O niezliczonych, egzotycznych krajach, nad którymi powiewa brytyjska flaga. O największym diamencie świata, Koh-i-noorze umieszczonym w koronie królowej Zjednoczonego Królestwa i cesarzowej Indii. O Londynie. (Ach, cudowne londyńskie wieczory, ciepłe wieczory wiosny i lata, lekki wietrzyk rozwiewający białe szaliki mężczyzn spieszących do klubów i teatrów, opuszczone budy dorożek, purpura zachodzącego słońca nad kopułą katedry świętego Pawła, i zapierające dech w piersiach powolne podnoszenie się kurtyny w teatrze St. James albo w teatrze Haymarket, i to nazwisko, to zhańbione, zapomniane nazwisko na teatralnych afiszach... Londyńskie niedziele z biciem dzwonów kościelnych i z wyprawami do ZOO, dzieci – także **jego** dzieci! – szalejące z zachwytu nad niedźwiedzią jamą, wbijające ciastka na końce ojcowskich lasek i parasoli, krzyzące, gdy niedźwiedź staje na tylnych łapach i sięga do tej właśnie laski, do tego właśnie parasola...). Pan Melmoth wznosi toast grenadiną. *Vive la reine d'Angleterre!* Dzieciaki powtarzają z entuzjazmem. Ach, nie zapominajmy, gdzie jesteśmy. *Vive la France, la mère de tous les artistes! Vive le Président de la République!* I jeszcze raz: *vive la reine d'Angleterre!* Któryś z chłopców, czerwony z przejęcia, dodaje: *...et monsieur Melmoth*, i wszyscy to podchwytują: *Vive la reine d'Angleterre et monsieur Melmoth!* Dmą w trąbki i klarnety, próbują grać na swoich akordeonach. Czekają w napięciu, któremu dostanie się kawałek tortu z imieniem królowej. *Vive la reine Victoria!* Pan Melmoth – sam ma dwóch synków mniej więcej w ich wieku, daleko stąd, już ich nigdy nie zobaczy, ale nie martwcie się tym, jeszcze jeden toast, *vive la France!* – pan Melmoth zna tyle gier i zabaw. A na zakończenie dalsze prezenty: każdy dostaje koszyk z **własnym** jubileuszowym plackiem (ten sam napis) i z cukierkami. Chłopcy rozchodzą się po blisko trzech godzinach, zadowoleni, syci, opici grenadiną, zabierając swoje trąbki i klarnet koszyki i chorągiewki: tak oto świętowano w Berneval-sur-mer brylantowy jubileusz największej z królowych!

On też świętował. On, wygnaniec. Uczcił swoją królową.

Gdziekolwiek się teraz pojawi, witają go okrzyki: *Vive monsieur Melmoth!* No nie, nie tylko on. Nauczył ich przecież. To dla niego ważne. Tak kocha swoją królową. *Vive monsieur Melmoth et la reine d'Angleterre!* On jest na pierwszym miejscu. A po jego nazwisku, po jego fałszywym nazwisku wygnańca, króciutka przerwa, chwila wahania...

– *et la reine d'Angleterre!*

Chorażewki też trwają jeszcze przez jakiś czas. Bywa, że jakieś dziecko zaczyna wymachiwać nagle jak szalone brytyjską flagą na widok wysokiego emigranta przechodzącego ulicą.

– *Vive monsieur Melmoth et la reine d'Angleterre!*

Bywa, że na jego widok odzywa się trąbka albo akordeon. Pan Melmoth zdejmuje kapełusz, kłania się z zabawną przesadą. Doczekał się! Dziecinne głosy próbują śpiewać dla niego hymn, jego hymn, *God sew de kin!* To trudne, więc raczej już to, to go też ucieszy:

– *...Le jour de gloire est arrivé!*

Wiatr od morza rozwiewa szalik pana Melmotha, szarpie podarowaną przez kogoś litościwego panamą, którą pan Melmoth się kłania. Nareszcie ktoś cieszy się na jego widok! Kupił sobie tę radość. Ale jest i coś, czego nie udałoby się tak po prostu kupić za tort, grenadinę i prezenty, coś więcej, jakiś błysk w oczach, jakiś ton głosu, coś, od czego przez chwilę, przez sekundę ściska się gardło... Niech żyje pan Melmoth!

Chwila wahania.

– *...et la reine d'Angleterre!*

Nienawiść

Stał w deszczu na peronie Clapham Junction z rękami w kajdanach, i nagle ktoś z tłumu krzyknął: *To jest Oscar Wilde!* A tłum zafalował i runął na niego. No, nie. Runąłby, gdyby nie strażnicy. Ale ukamienowano go, ukamienowano. Ta nienawiść! Dopóki nie zaznało się takiej nienawiści, Frank, nie wie się niczego. Tylko za co – za co aż tak go nienawidzono?

Mary Kelly znaleziono leżącą z poderżniętym gardłem pod girlandami własnych kiszek. Jej serce, nerki, piersi, nos i uszy Kuba Rozpruwacz poukładał starannie na sąsiednim łóżku. Potem wysłał do gazet kolejny list z dokładnym opisem tego, co zrobił, z zapowiedzią dalszego ciągu, i z wierszem:

I've no time to tell you how
I came to be a killer,
But you should know, as time will show,
That I'm a society pillar.¹

Kuba Rozpruwacz miał rację: był podporą społeczeństwa. Czyż nie zabijał prostytutek? Inaczej mówiąc: czy nie karał grzechu?

Budził zgrozę. Ale nigdy nie zdołał wywołać aż takiej nienawiści, jak zielonooki, długowłosy olbrzym, który przy śniadaniu tłumaczył swą bladość i zmęczenie tym, że poprzedniego dnia zerwał w lesie pierwiosnek – *i biedny kwiatek tak to przechorował, że musiałem czuwać nad nim przez całą noc.* A potem dziwił się tłumowi na Clapham Junction! Dał mu się zaskoczyć! Dlaczego, za co tyle nienawiści? Nikogo przecież nie skrzywdził!

Jakby to było ważne.

Wszystko wiedział, wszystko przewidywał. Ale to nie to samo, co doświadczyć.

¹ Ja nie mam czasu, by wam rzec
Jak stałem się mordercą,
Lecz wiecie, czego dowiodł czas,
Żem jest podporą społeczeństwa.

Wściekłość Kalibana, widzącego w lustrze własną twarz. To jeszcze nic w porównaniu z jego furją, gdy **nie** zobaczy w lustrze własnej twarzy.

Patrząc na Kubę Rozpruwacza, społeczeństwo widzi siebie. I wpada w złość. I nie życzy sobie takiej podpory. I odchodzi szybko od lustra, przekazującego mu takie odbicie. Ale patrząc na Sebastiana Melmotha nie widzi niczego. Lustro jest puste. To nie ja, nie my! Nie wystarczy odejść. Trzeba rozbić lustro.

Kiedy zatrzymano człowieka, który miał być Kubą Rozpruwaczem, czarną legendą Wielkiego Wieku, ulica milczała. Te, spośród których wybierał ofiary, milczały również. Z czego tu się cieszyć?

Kiedy skazano człowieka pielęgnującego po nocach chore pierwiosnki, na ulicach tańczono i krzyczano z radości. Londyńskie prostytutki utworzyły wesoły korowód, zadzierały spódnice, skakały i śpiewały pośrodku bijącego brawo tłumy. *No, teraz go wreszcie ostrzygą jak należy!* – wołały, a tłum powtarzał to, śmiał się i klaskał. Puste lustro zostało wreszcie rozbite. Obcasami wgniatało w ziemię okruchy.

A on, ten stary cynik, dał się zaskoczyć aż taką nienawiścią. Przez rok płakał na wspomnienie Clapham Junction.

Jest w końcu – no cóż, jest w końcu w naturze ludzkiej coś takiego, że rozczulanie się nad zerwanym pierwiosnkiem bardziej rozwściecza niż ćwiartowanie grzesznicy. Jakby to pierwsze nie tylko nie mieściło się w porządku świata, ale było dla porządku świata zagrożeniem. Człowiek tak kochający kwiaty, że zgodziłby się po śmierci zostać nawet pelargonią! (Pomijając wszystko inne, co jest złego w poczciwej, mieszczańskiej, balkonowej pelargonii? Albo w kielbasie i kiszce paszтетowej?) Jeżeli nawet Kuba Rozpruwacz przechwalał się twierdząc, że jest podporą społeczeństwa, nie był i jego wrogiem. Był – no tak – był w jakiś sposób normalny. Prawie każdy, kto nie jest do szczytu pozbawiony zasad moralnych, wykrzykuje co jakiś czas pogroźki pod adresem grzeszników. Dziwek, pedałów, palaczy tytoniu, pijaków, innowierców, cudzoziemców: ach, posiekać by ich na kawałki, zamknąć w lochu, zgolić kudły, napiętnować, wygnać, wywieszać, potopić... Kiedy kto inny robi to naprawdę, człowiek moralny wzdyga się z przerażeniem. To okropne. Co robi policja? Jak długo taki szalowiec pozostanie na wolności? Ale jest się podobnym do niego, i wie się o tym. A kto, do licha, kto choćby w ataku delirium mógłby chcieć zostać po śmierci kwiatem?

Samo takie pragnienie, choćby i było żartem, jest obrazą zasad chrześcijaństwa. Morderstwo, owszem, jakoś się z chrześcijaństwem zgadza. Grzech, wielki grzech, który może zostać wybaczony. Ale to? A przecież Londyn był pełen chrześcijan, Europa i Ameryka były pełne chrześcijan, świadomych, że są najdoskonalszymi z żywych istot, że świat istnieje po to, aby im służyć, że mają dusze nieśmiertelne i ciała, które zmartwychwstaną na Sądzie Ostatecznym – no, w każdym razie kiedyś tam zmartwychwstaną. Jak również tego, że z woli Bożej istnieje natura, i jedno jest zgodne z jej prawami, a drugie nie. Morderstwo jest zgodne, choć naganne. Ale już homoseksualizm nie, cokolwiek tam wyrabiają zwierzęta. Tak postanowiono. Wszyscy to wiedzą. A on...

A on był poganinem. Poganinem wielbiącym Chrystusa i gardzącym całą resztą. Przychodził na herbatę, na obiad, na kolację, tak pogodny i serdeczny, jakby wierzył, że być zapraszonym – to to samo, co być lubianym. Rozsiadał się w salonach, elegancki, nieskazitelny, Petroniusz Londynu z papierosem w palcach i różą w butonierce – i robił z najświętszym credo swych słuchaczy dokładnie to samo, co Kuba Rozpruwacz zrobił z Mary Kelly. Zapraszano go jednak. Taki był czarujący, taki dowcipny, taki malowniczy. Zdolny rozbawić konającego. Pocieszyć zrozpaczoną wdowę. Samą swą gadaniną wyleczyć z bólu zębów. Złotousty. Może w starożytności ludzie umieli jeszcze tak mówić. Potem przyszło chrześcijaństwo. Przez dwa tysiące lat pouczyło, że najważniejsze jest to, czego nie widać i nie sływać. Dusza. Jaka piękna dusza może się kryć w pokracy, w głupcu, w niemowie! Pierwszy krok. Potem zrobiono drugi. Uroda, mądrość, dowcip, talent, to złudzenia albo mamidła szatańskie. Już nie tylko nieważne. Groźne. Coś, przed czym należy uciekać!

A on siedział sobie z papierosem w palcach i lilią w butonierce, i mówił, że prawdziwa tajemnica kryje się w widzialnym, nie w niewidzialnym. Że tylko bardzo płytki ludzie nie sądzą po pozorach. Zaśmiewano się. Lord Paradox. Komediant. Najzabawniejszy kłown Wielkiego Wieku! Tak miło było grzeszyć słuchaniem nonsensów, które wygadywał. Takie to zresztą proste, aż dziw, że nikt przed nim na to nie wpadł. Odwrócić każdą prawdę, każdą niezbitą, niepodważalną prawdę tak, żeby zmieniła się w coś – prześmieszego! Wszyscy wiemy, że pijaństwo jest przekleństwem klas pracujących. A ten oto, zapalając cygaro, rzuca najpoważniej w świecie: *Praca jest przekleństwem klas pijących*. Słuchacze skręcali się ze śmiechu, powtarzali to innym, nic takiego, każdy by na to wpadł, ale – mimo wszystko – co za dowcip! *Nie macie pojęcia, jak ona się zmieniła po śmierci męża: odmłodziła o jakieś dwadzieścia lat*. Znów nic takiego, ale wszyscy wiemy, że po śmierci męża można się tylko o dwadzieścia lat postarzeć, takie nieszczęście, takie nieszczęście, tylko człowiek z gruntu niemoralny mógłby dopuścić myśl, że śmierć męża bywa rzeczą całkiem miłą, więc znowu śmiech, salon huczy od śmiechu: Mistrz Paradoксу! Kogoś spotkała katastrofa. *Ale cóż, zawsze mamy dość sił, żeby znieść cudze cierpienia*. I znowu śmiech. Jeśli się zastanowić, jest to stwierdzenie oczywistego faktu, ale przecież... Nie, lepiej uznać to za kolejny paradoks, nonsensowny żart, lepiej się śmiać. Śmiano się tak przez rok, dwa, dziesięć lat. Coraz mniej szczerze. Prowokator, poganin i wróg społeczny numer jeden wyrażał po prostu swe najsołenniejsze przekonania tak, że można było myśleć, że to żarty. A to nie były żarty. Ależ ten człowiek był dla chrześcijaństwa – dla przyzwoitego, mieszczańskiego chrześcijaństwa – tym samym, czym Kuba Rozpruwacz był dla dziwek ulicznych!

Zarzucał im wszystkim tchórzostwo. Lekko, pogodnie, z uśmiechem, z papierosem w palcach i goździkiem w butonierce. Nazywał tchórzostwem to, co oni nazywali sumieniem. Nazywał tchórzostwem to, co oni nazywali poczuciem obowiązku. A także uduchowieniem, religijnością, głębią. Nie sądzą po pozorach? Tak nazywają swą paniczną, tchórzliwą ucieczkę przed pięknem, geniuszem, miłością? Przecież właśnie oni wpadli w sidła pozorów, zakłamali się do szczytu! Piękne oczy, wygięcie rzęs, owal twarzy, kształt ust, wysmukłe dłonie; spojrzenie, uśmiech; ruch długich, giętkich palców – to miałyby być pozorem? Pod tym cudem należy doszukiwać się czegoś, co by cudowi zaprzeczyło? Zamiast paść na kolana – rzucać się do ucieczki? I co jeszcze? W małych oczkach bez blasku, w tłustych i nieforemnych ciałach, w topornych dłoniach o krótkich i sztywnych paluchach dopatrywać się duszy! Może także w mdłej gadaninie o cenie masła i o zmianie rządu? Biedne piękno! Biedny geniusz! Czy nie byłoby uczciwiej przyznać się do nienawiści? Wołać: nienawidzimy piękna, nienawidzimy mądrości, nienawidzimy wszystkiego, co nas przerasta! Przyznać się: jesteśmy tchórzami! Jesteśmy głupi. Marni. Zakłamani. Obłudni. Po co doczepiać do tego Chrystusa, po co nazywać strach moralnością?

Już tego by wystarczyło. Ale jemu wciąż było mało. Politykom, dumnym z tego, że tworzą historię, mówił, że historię może tworzyć każdy. **Pisać** ją może tylko geniusz.

– *Czymże jest czyn?* – pytał patetycznie ludzi czynu. – *Nikczemnym ustępstwem wobec faktów. Umiera w tej samej chwili, w której się rodzi. Czyn to ślepa siła zależna od wpływów zewnętrznych. Jego bodziec jest nieznan, jego podstawa – to brak wyobraźni.*

Ludziom marzącym o władzy mówił, wydmuchując dym z papierosa, że nie jest to pragnienie godne dżentelmena. Mało tego. Nie jest to pragnienie dające się pogodzić z inteligencją. Czy człowiek rozumny chciałby być marionetką? A przecież tylko marionetki zostają przywódcami politycznymi. Można przewodzić jedynie poddając się woli tłumy; kto się jej nie podda, zostanie zmieciony. Żeby czyjaś ambicją mogło być zostanie marionetką! Kukielką!

Ten, kto pisze, może być niezależny. Może nie być marionetką. Tak. Chyba tylko on.

Ideologie? Sprawy, za które ludzie oddawali życie?

Wzruszał ramionami.

– *Sprawa nie staje się słuszna tylko dlatego, że ktoś oddał za nią życie!*

I ciągle mu było mało.

Jedyną jego ostoją – coraz bardziej niepewną, coraz słabszą, ale jedyną ostoją – były salony. Drażnił je, tak, ale dopóki tylko sypał paradoksami przy herbacie, można to było znieść. Tak dobrze wychowany. Elegancki, grzeczny, miły. Nawet w czysto męskim gronie, nawet daleko od salonów, nie pozwolił sobie nigdy na użycie grubszego słowa. Nienawidził tego. I ta galanteria wobec dam! Każdy po nim wydawał się niemal chamem. To też drażniło, ale chociaż – cóż, chociaż pozwalało nie rozumieć herezji, które tak dystyngowany człowiek w tak uprzejmy, w tak uroczy sposób wygadywał. Udawać, że się ich nie rozumie. Niestety, on je także pisał.

Dusza człowieka w socjalizmie! To już naprawdę przeważyło szalę; tego naprawdę było za wiele.

Urodził się, kiedy widmo komunizmu od sześciu już lat krążyło po Europie. I jego matka – no tak, jego matka, straszna Speranza, czy nie wzywała Irlandczyków do powstania? Nie marzyła o blasku stu tysięcy muszkietów, o barykadach przegradzających wszystkie ulice, o wielkim zrywie, który przyniesie wolność? To prawda, on sam nigdy nie uważał się za Irlandczyka. Był British, British. I tak gardził czynem, on, syn płomiennej Speranzы, człowiek, którego rodzice poznali się w jakiejś nielegalnej, wyrotowej partii... Nikt o tym nie pamiętał, ale – kto wie – może coś z tego pozostaje, trwa, wchodzi w krew? Jego pierwsza sztuka – ależ tak, jego pierwsza sztuka była przecież o rosyjskich terrorystach! Z jaką sympatią, z jakim podziwem o nich pisał! A litość? Litość, której w nim było tak wiele i której tak łatwo było nie zauważyć u tego cynika, ukrywającego postępkę, którymi każdy by się chwalił, litość, tak łatwo utożsamiana ze zwykłą rozrzutnością (wyrzucał pieniądze drzwiami i oknami, wszystko, co miał, padało pastwą gromady wydrwigroszy) – czy litość także nie jest uczuciem antyspołecznym, rewolucyjnym, wyrotowym? Ach, wszystko jedno. Ten elegant, ten fircyk ze słonecznikiem w dłoni, Lord Paradox, Petroniusz Londynu okazał się nagle – wielkie nieba – rzecznikiem socjalizmu!

Nie wierząc, ani przez chwilę nie wierząc w jego szanse.

Jeżeli socjalizm zwycięży, najpewniej nie będzie socjalizmem.

Koncentrując władzę ekonomiczną w tych samych rękach, które będą dzierżyć władzę polityczną, istotnie zgotuje światu coś nowego. Gorszego niż to, co świat już zna. Prawdziwe piekło.

Z marzenia o warunkach pełnego rozwoju każdej indywidualności zrodzi się totalna uniformizacja. W tym, że czerwona róża uważa, iż godnie i pięknie jest być czerwoną różą, nie ma nic złego. Ale jeżeli zażąda, żeby wszystkie kwiaty w ogrodzie były czerwonymi różami...

A zapewne zażąda.

Bo – Niestety – polityk jest najgorszym typem człowieka. I nie można wyobrazić sobie ustroju, w którym przywoici ludzie – ludzie bezinteresowni, kulturalni, z polotem – dążyliby do sprawowania rządów. W którym choćby chcieli się podjąć ich sprawowania!

Tak będzie i w socjalizmie – jeżeli to najpiękniejsze z hasel porwie ludzi, jeżeli zwycięży. Rządy łajdaków. Kumulacja dwóch władz – politycznej i gospodarczej. Zdławienie wszelkiego indywidualizmu. Płaskość, szarość. Ponury i nudny terror. Na gruzach społeczeństwa, w którym tak wielu jest niewolnikami, wyrosnie takie, w którym niewolnikami będą wszyscy.

Ale co z tego? Nie wolno rezygnować z tej próby, z tej szansy. Z nadziei.

Niewątpliwie bezpieczniej jest zebrać, ale szlachetniej przywłaszczać sobie.

I jest tylko jedna rzecz gorsza od niesprawiedliwości: sprawiedliwość bez miecza w dłoni.

I jeszcze...

W czasach, gdy po Londynie grasował Kuba Rozpruwacz, zapytano prostytutkę z East Endu, co noc ustawiającą się jak gdyby nigdy nic pod swoją latarnią, czy się nie boi. – *A niech sobie przychodzi!* – odpowiedziała. – *Dla takich jak ja im prędzej, tym lepiej.* Pierwszą ofiarę znalazł Kuba Rozpruwacz w hotelu dla bezdomnych, gdzie za cztery pensy dostawało się na cztery godziny miejsce leżące, a za pensa można było pospać na stojąco, trzymając się obu-

raż rozciągniętej w poprzek pokoju liny. Z takich miejsc, z takiego świata wyciągał swoje grzesznice, układał z nich coraz wymyślniejsze łamigłówki – aż po Mary Kelly, którą trzeba było składać z kawałków przez całe sześć godzin. I chwalił się potem w listach do gazet, i przypominał, że jest podporą społeczeństwa. Don Kichot chrześcijańskiej moralności walczył z grzechem jak umiał. Przegrał, przemiął. A w kilka lat później ten drugi, ten opiekun chorych pierwiosnków, zakończył swój esej o socjalizmie słowami:

Powiesz, że podobny plan (...) jest niemożliwy do urzeczywistnienia i przeciwny naturze ludzkiej. To prawda niezaprzeczona. Jest on niemożliwy do przeprowadzenia i przeciwny naturze ludzkiej. Ale właśnie dlatego warto go przeprowadzić i dlatego został wysunięty.

Potem stał w deszczu na Clapham Junction pośrodku wyjącego tłumu. Już dawno zrozumiał, że budzi nienawiść. Tym, jaki jest. Zrozumiał to jako dziecko okładane pięściami i wleczone po łące przez inne dzieci; mimo to nie zaczął udawać podobnego do nich. Nie chciał być podobny do nich. Kiedy czterej dryblasi wpadli z triumfalnym wrzaskiem do jego pokoju, żeby wytłuc, zniszczyć, unicestwić to, co kochał – czy było jeszcze coś, czego by nie wiedział o nienawiści? Ale co z tego? Czy miał stać się podobnym do nich? Mówił to, co myślał. W salonach, w książkach i na sali sądowej. I czuł nienawiść, czuł ją całą skórą, całą duszą, znał ją, przywykł do niej, pogodził się z nią. Jeżeli taka jest cena... Tak, to bolało. Gdyby go jednocześnie kochano! Ktokolwiek. Kiedykolwiek. Żona, tak. Szybko jej to przeszło. Złotowłosa lord Douglas. Może. Kiedyś. A może nigdy. Ach, mniejsza o to! Był dzielny, był twardy. Wciąż się uśmiechał. Wciąż mówił, co myślał. Więc co się właściwie stało na Clapham Junction?

Tam też jeszcze się trzymał. Tam też był twardy. Nie zadrżał, nie krzyczał ze strachu, nie płakał. Dopiero potem. Przez rok. Przez resztę życia. Zawsze. Na Clapham Junction nauczył się płakać. Bo przecież...

Mimo wszystko w coś przedtem wierzył. W coś, co może jednak czasem, przez chwilę istnieje. *Vive monsieur Melmoth et la reine d'Angleterre!* Ale jeżeli to nawet istnieje, tym gorzej. To słabe, kruche, bezbronne i skazane na zagładę. To, co od początku świata stoi w ulewnym deszczu, skute kajdanami, na peronie Clapham Junction. Lepiej, żeby w ogóle nie istniało. Lepiej, żeby tego nie było.

Chrystus. Biedny, naiwny Chrystus.

Biedna, naiwna Speranza.

I on sam. Jego karygodna, niewybaczalna naiwność.

Nie, nie minęła i po Clapham Junction. Nie zabiło jej więzienie w Reading. Czyż tam właśnie, w celi, nie dokonał – on, wieczny esteta! – tego niewiarygodnego odkrycia: *Wartością sztuki jest nie piękno, ale prawda?* W Kubie Rozpruwaczu i na Clapham Junction widzi się naturę ludzką, ale co z tego? Dzieci z Berneval także istnieją. A skoro tak...

Powiesz, że podobny plan jest niemożliwy do urzeczywistnienia i przeciwny naturze ludzkiej. To prawda niezaprzeczona. Jest on niemożliwy do przeprowadzenia i przeciwny naturze ludzkiej. Ale właśnie dlatego warto go przeprowadzić i dlatego został wysunięty.

Księżyc

Frank Harris podszedł do krawężnika i zatrzymał dorożkę.

Sebastian Melmoth wielkimi krokami, z rękami w kieszeniach szedł dalej przed siebie pod świecą kula księżycyca.

Jeszcze niedawno cienie krat na pobielanej ścianie. Teraz cienie drzew na paryskim chodniku. I co z tego?

Człowiek, którego bolą zęby, uważa każdego, kogo zęby nie bolą, za szczęśliwego. Biedak popełnia ten sam błąd, myśląc o bogatych. Wiele jeszcze podobnych przykładów mógłby znaleźć

brodaty Irlandczyk w jaegerowskim ubraniu, ten jedyny, który podpisał petycję o przedterminowe zwolnienie Sebastiana Melmotha, George Bernard Shaw. I wszystkie byłyby prawdziwe.

Skazany na śmierć uważa, że życie to już szczęście.

Jak ten Rosjanin na chwilę przed rozstrzelaniem. Patrząc na złotą kopułę cerkiewną w promieniach słońca, na ten ostatni widok ofiarowany jego oczom, myślał, jak bardzo ceniłby życie, gdyby mu je teraz cudem darowano. Jak by smakował każdą jego sekundę, nie pragnąc niczego poza samym istnieniem, chwilę zmieniając w nieskończoność! W samym środku tej myśli, tej niezłomnej pewności, tej przysięgi składanej samemu sobie, został nagle ułaskawiony. Darowano mu życie. I nie smakował każdej jego sekundy, a minuty nie zmieniał w stulecie; i nie wystarczyło mu oddychanie, chodzenie, widok kopuł cerkiewnych w słońcu; i zmarnował to swoje życie dokładnie tak samo jak ci, którzy nigdy nie stali w kolejce do plutonu egzekucyjnego. Widać nie można inaczej. *Jest jakiś powód, że nie można.*

Ten powód. Tak oczywisty. To ta okropna rzecz, która nas postarza. Która nie pasuje do modnego stroju. Gdyby nie ona, wystarczyłoby ułaskawienie, kiedy się jest na szafocie. Wyjście z więzienia. Wyzdrowienie. Ale ona istnieje, istnieje – niestety!

On też wierzył, że wystarczy wolność. Wierzył w to, dopóki tkwił w swojej celi.

Potem został Sebastianem Melmothem. Dobrzy ludzie odebrali go z więzienia, nakarmili, napoili, ubrali, obdarowali kuframi z literami S.M. i biletem do Francji. Pocieszali go także – mili, życzliwi ludzie – pocieszali go, mówiąc, że to, co złe, już się skończyło. Odcierpiał swoje. Odsiedział swój wyrok. Teraz jest wolny. Nowe nazwisko, nowe życie. I przecież – tak, to najważniejsze – przecież znów będzie pisał! Tym się zrehabilituje. Zmiesza z błotem swych wrogów. Napisze coś, czym olśni cały świat: czy nie po to został stworzony? Kiwał głową, potakiwał. Tak, teraz – jako Sebastian Melmoth – będzie szczęśliwy. Bo i któż nie byłby szczęśliwy mając wolność, kwiaty, książki i księżyc? Czego więcej można chcieć, jeśli się przeszło to, co on przeszedł? A potem okazało się, że jednak nic już z niego nie będzie. Pozwolił się złamać. Żeby chociaż więzieniu. Nie, tego ci dobrzy, mili, życzliwi ludzie naprawdę nie mogli mu darować. Złamany, rozbity na kawałki, z których trzeba by go było składać nie godzinami jak biedną Mary Kelly, ale latami – przez taki drobiazg! Przez coś, co zdarza się każdemu, i z czym każdy, u licha, daje sobie radę. Pocierpi i znów jest sobą. Nie będzie przecież kochać przez całe życie. Nie będzie dźwigać przez całe życie tego, co tak postarza. Tego, z czym nie można się modnie ubrać. Od czego wędnie najpiękniejszy goździk w butonierce. A on tak, on to dźwiga siódmy rok, ósmy rok, już się tego nie pozbędzie, koniec z nim.

Gdyby chociaż pisał!

Tego jednego naprawdę nie mogą mu wybaczyć mili, życzliwi ludzie, którzy podarowali mu i kufry, i ubrania, i bilet do Francji. Tego, że nie pisze. Najpierw mu współczuli, teraz gardzą. Jak Frank Harris dziś wieczór.

Co go to obchodzi?

Wyszedł z więzienia. Wolność, kwiaty, księżyc. I książki też kupował. Mieszkał to tu, to tam, błąkał się po miastach i miasteczkach. Czasem zapraszano go na obiad czy na kolację, czasem wyrzucano z hoteli, z barów, z restauracji: jak z hotelu Sandwich. Najpierw dostawał co kwartał trochę pieniędzy, potem już nie. A jeszcze później znowu, rzadko, nieregularnie: tak to bywa z jałmużną. Przesyłało mu cudze ubrania. Za krótkie nogawki, za ciasne spodnie: no tak, znów tyje. Z niedostatku tyje się najbardziej. Marna zupa tuczy bardziej niż homary i ostrygi. Mniejsza o to; do tego, co on dźwiga, nie pasują już modne ubrania i dobry wygląd. Raz miał nadzieję – niepoprawny głupiec – że wszystko się jeszcze odmieni; nawet pisać wtedy zaczął, idiota, idiota! Te marne, okropne, brzękliwe wierszydła, ten żalorny testament. *A myśmy byli jak ludzie, co błądzą / W plugawej czerni przepastnych moczarach. / Nikt już nie wiedział, co ma począć z bólem, / I nikt już nawet modlić się nie starał. / Każdy czuł tylko, że w nim coś umiera: A to Nadzieja w każdym umierała.* Dziadowska ballada, śmieć: no

właśnie, talent także we mnie zabito! (Choć co za triumf, kiedy, nie wiedząc, że on jest autorem, porównywano anonima, który to napisał, z Sofoklesem! Jak głupio musiało być pismakom, gdy się ujawnił: niesłychane, że nie odwołali wszystkich pochwał. Cóż, sami widzicie. Mógłbym dokonać jeszcze wielkich rzeczy, gdyby nie to, że cios był zbyt silny, niesprawiedliwość zbyt wielka. Oczywiście, że mógłbym!)

Ale to prawda, nadzieja umarła.

Już nie miesiące: lata mijają od wyjścia z Reading, i od chorągiewek powiewających na uliczkach Berneval, i od ostatniej nadziei. A on jeszcze żyje. Zjadł dziś nawet dobrą kolację i nikt nie zażądał wyproszenia go z sali. Spodnie cisną, a marynarka pije pod pachami, ale darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Rozkleił się i poniżył przed tym durniem Harrisem, ale czy przed nim pierwszym? Tak często mu się to zdarza. Nieraz już opowiadał o Clapham Junction. I o złotowłosym lordzie Douglasie, który dla zabawy zniszczył jego życie. I o tym, że nie może pisać, że coś w nim zabito, że choruje, że wkrótce umrze, że pije absynt, że bierze morfinę. Jakby spodziewał się cudu. Takiego wstrząsu, takiej litości, że stanie się cud. Ten, kto tego wysłucha, pomoże mu, poskłada z kawałków to potłuczone życie, wszystko załatwi, wszystko naprawi... Porozmawia z lordem Douglasem! Przekona lorda Douglasa! Ale słuchają z kamiennymi twarzami albo z triumfalnym błyskiem w oczach, żegnają się z nim i odchodzą. Tak łatwo udać, że nie rozumieją, po co to mówi. Potem opowiadają innym: nie macie pojęcia, w jakim stanie jest biedny Oscar! Jeżeli to pismacy, cieszą się po cichu – albo i nie po cichu: on już nic nie robi, dla nikogo nie będzie rywalem, nikogo już nie przyćmi. Zupełnie stracił ambicję. Dla niego naprawdę to wszystko przestało się liczyć. Głupiec: toż kiedy wybuchł tamten skandal, kiedy wszystko się zawaliło, zaczynał właśnie robić prawdziwą karierę. Ale kogo Bóg chce skarać, temu rozum odbiera. Koniec z nim!

Jest Sebastianem Melmothem. Jest w Paryżu. Jest wolny.

No, proszę: świeci księżyc, pachną kwiaty. Ale to nie wystarcza. Ma się sprawne nogi, sprawne ręce, oczy, które widzą. Ale to nie wystarcza. Kiedy tylu jest paralityków i ślepców, łudzających się, że im by to wystarczyło! Powietrze do oddychania. Wolność pójścia w prawo, w lewo, gdzie zechcesz. Nikogo to nie obchodzi, nikt cię nie zatrzyma. Kiedy inni duszą się w celach więziennych! Przegadałeś cały wieczór. Kiedy inni idą na dwa tygodnie do ciemnicy za szept do sąsiada na spacerniaku! I to nie wystarcza. Jadłeś, piłeś. Kiedy inni głodują. Masz wolność, kwiaty, księżyc. I to nie wystarcza, nie wystarcza, nie wystarcza!

Dość tego.

Pora wracać do siebie.

Do pokoiku od podwórza w Hôtel d'Alsace. Między cztery ściany oklejone tą ohydną, nieznośną tapetą. Zabije go, wykończy ta koszmarna tapeta. Ale cóż: prędzej on się zedrze, niż ona. Nie ma już na świecie rzeczy słabszej od niego. Nic nie jest bardziej bezbronne.

Zawraca. Pod ciągle świecącym, strasznym, śledzącym go księżycem.

Wróżka z Mortimer Street

To prawda. Robił właśnie karierę.

Więcej. Osiągnął szczyt życia!

Było to widać. Nigdy jeszcze nie miał tylu wrogów.

Już przedtem podbił Amerykę. To można było znieść. Wulgarny, prostacki kraj bez cienia gustu. Objechał go ze swymi odczytami o sztuce akurat tak samo, jak wypchany wieloryb, na którym niedawno zrobił majątek inny przedsiębiorczy impresario. Ten, kto wpadł na pomysł, żeby zaprosić na amerykańskie tournée operetkowego błazna z lilią w butonierce i słonecznikiem w dłoni, wykwit europejskiej dekadencji, nie różnił się zbyt od tego, który zabrał w amerykańskie tournée martwego wieloryba. Dwie ciekawostki dla kowbojów i potomków

cowbojów. Wykłady o Botticellim i Cellinim w Górach Skalistych, w tancbudach ozdobionych napisami *Uprasza się nie strzelać do pianisty!* Żaden poważny artysta, żaden człowiek godny szacunku nie zgodziłby się na coś podobnego. Wilde i wypchany wieloryb: byli sobie godni.

Cóż, niejedno robi się dla pieniędzy.

Nad tym można było po prostu wzruszyć ramionami.

Teraz było gorzej.

Po latach cichego spoczywania na księgarskich ladach z całą swą elitarną pisaniną, z esejami, wierszami, bajkami, z dziwaczną i zmiażdżoną przez krytykę powieścią, wieloryb wypłynął na szerokie wody. Rozparł się na plakatach teatralnych, którymi oklejono Londyn. Zamiast czytać w głuchej ciszy rzadkie, napastliwe lub tylko głupie recenzje, słuchał oklasków, owacji, wybuchów śmiechu, pociągania nosami, krzyków „autor” i krzyków „brawo”; wychodził do wiwatującej na jego cześć publiczności z nieodłącznym papierosem w palcach, by wyrazić zadowolenie, że jej, publiczności, zdanie o jego sztuce jest **niemal** równie wysokie, jak jego własne; a publiczność nie rozumiała zniewagi, jaką jej wyrządzono i papierosem, i tymi słowami, trzeba jej to było tłumaczyć we wszystkich gazetach, bo w swojej głupocie zachwycała się nim dalej, śmiała się, klaskała. Niechęć prasy? A cóż go ona obchodziła, triumfującego wieloryba? Gdy mu powiedziano, że recenzentów można przekupić, rzucił z uśmiechem: *Możliwe. Sądząc z ich wyglądu, muszą się nawet niezbyt drożyć* – i nie przejmował się rozgłosem tych słów, pisał dalej, robił kasę, robił karierę. Może robił ją właśnie dlatego, że co innego było już dla niego ważne. Bez napięcia, bez wysiłku, nonszalancko, z papierosem w palcach, patrząc w inną stronę. Tylko wtedy osiąga się cel, kiedy cel przestaje być ważny.

Och, cieszył się, oczywiście. Jak mógł się nie cieszyć?

Każdy na jego miejscu szalałby ze szczęścia.

Więc skąd ta rozpacz w oczach?

Oszalał. Odmieniły go sukcesy. Pieniądze także. Ile też może mieć z tantiem? Śpi na pieniądzach! Wysypia się na nich do popołudnia, tyjąc nawet we śnie, potem wkłada purpurową aksamitną kamizelkę, surdut, cylinder, schodzi do wynajętej na cały dzień dorożki, podjeżdża do kwiaciarni kupić dwa kwiaty do butonierki – większy dla siebie, mniejszy dla stangreta – a potem... Tak się musiało skończyć to uwielbienie pozorów, ten kult widzialnego! Oszalał. A może po prostu odkrył wreszcie swą prawdziwą naturę. Co za iluminacja! I kto go tak oświecił, kto mu objawił prawdę o samym sobie – czy rzeczywiście złotowłosa lord Douglas, jego ohydna, wstydliva, zбочzona (i tak jawna, tak jawna) miłość? Że też tak to się zbiegło w czasie, kariera i miłość! Nie, miłość zaczęła się trochę wcześniej. Może dlatego właśnie zrobił karierę. Bo już mu nie zależało.

Robi wszystko, żeby go teraz naprawdę i ostatecznie znienawidzono. Pierwsza sztuka, druga, trzecia w próbach, czwarta w pisaniu: czy ten gruby pedał zamierza rozbić bank? I lord Douglas przy jego stoliku w Café Royal, u jego boku w dorożce, pod piramidami, pod palmami, na Champs Élysées, szczupły, długorzęsy, prześliczny, tak go pogrubiający swoją wiotką smukłością, tak go postarzający swoją kwitnącą młodością, ruina jego życia, jego obłęd, jego wielka nagroda – za wszystko, za wszystko.

Ludzie zaczynają już wychodzić ostentacyjnie, gdy on się gdzieś zjawia, ten otyły zбочzeniec w jaskrawej kamizelce: z restauracji, z kawiarni, z klubu.

Oszalał.

Taka miłość. Gdyby tylko to! Jeżeli to taka miłość, skąd ta rozpacz w oczach, skąd to szaleństwo? Ci młodzi, ładni prostacy, których (po co ta ostentacja?) zaprasza do Savoyu, te domy schadzek dla pedziów, w których (dlaczego wszyscy o tym wiedzą?!) bywa... Jakby chciał zdystansować swego słodkiego Bosie. Tamten go zdradza? Ależ on też nie jest wierny! Widzicie przecież, widzicie wszyscy. To nie jest zwykły, nudny, barchanowy związek dwóch

kochających się mężczyzn, to jest szalone, niezwykle, burzliwe, pełne zdrad, zerwań, pojednań... Bosie nim pomiata, robi mu publiczne sceny, popisuje się władzą, którą nad nim ma, afiszuje się z innymi, wyciąga od niego pieniądze – żalсна i niesmaczna historyjka jakich wiele? Budząca wzdrgliwy chichot? Nic podobnego, to nie tak. To jest miłość. Uwierzcie, uwierzcie wszyscy: to właśnie miłość! Obaj zdradzamy się nawzajem, taki układ. Bosie ma innych? Ja też. Niczego nie rozumiecie. Sławny, bogaty protektor i utytułowany, sprytny żigolak bez grosza? Ależ nie. Miłość. Miłość. Apogeum życia. Szczyt życia. Widzicie, jak mi się wiedzie? Widzicie, jakie mam szczęście?

I ten strach w oczach.

Czy człowiek szczęśliwy chodzi do wróżki?

On tak.

Razem ze swoim ukochanym. Drobiazg. Towarzyska zabawa W końcu za parę dni ma trzecią premierę, za parę tygodni czwartą, sztuka zawsze może paść, nigdy nic nie wiadomo: przekonajmy się, co mówią o tym gwiazdy, karty, linie dłoni, kryształowe kule! Idą więc z Bosiem do wróżki. Do Sybilli z Mortimer Street, do słynnej pan Robinson. No i co? Co mnie czeka?

Sybilla trzyma rękę Wilde'a w swoich dłoniach. Przygląda się jej długo – ze zgrozą? Czy to możliwe? Linie dłoni, karty, horoskopy, kryształowe kule! To miała być tylko zabawa. No, oczywiście, zawsze się trochę wierzy, i właśnie dlatego... Robi mu się nieswojo. Bosie czeka zaciekawiony, wróżka milczy. Wciąż pochyla się nad jego dłoń.

– Widzę pana życie – mówi wreszcie. – Jest pełne blasku... do pewnego punktu. Dalej widzę mur. A za murem... za murem nie widzę już niczego.

Czy musiała mówić takie rzeczy? Nie po to chodzi się do wróżek żeby psuły człowiekowi humor! Mur, a za murem nie ma już niczego, nie widać niczego... Jaki mur?!

Ta owacja na premierze. Każda kolejna sztuka jest przyjmowana lepiej –jeszcze lepiej! – niż poprzednia; co zatem będzie w lutym, kiedy pokaże Londynowi najlepszą rzecz, jaką napisał kiedykolwiek? Owacja i lord Douglas, puszący się w swojej łoży, gdy **on** wchodzi na scenę i najpierw, przed ukłonem w stronę szalejącej z zachwytu sali, pozdrawia ruchem ręki tamtą łożę, tamtą twarz, tamte bijące brawo dłonie... Jedyńy sposób, żeby zachować miłość lorda Douglasa: odnosić sukcesy. Jakże go kocha jego złotowłosa, jego nagroda i chluba, w wieczór jego triumfu Pierwszy wpada za kulisy, pierwszy gratuluje, oczarowany i dumny Z niego jest dumny! Przejmował się **jego** sztuką, drżał z napięcia, kiedy padały pierwsze słowa, pierwsze zdania, kiedy wszystko jeszcze było niewiadomą, a teraz cieszy się **jego** zwycięstwem: kocha go! Dzisiaj na pewno go kocha. Im więcej będzie triumfów, tym więcej miłości. Byle go nie zawieść. Tak jasno powiedział lord Douglas, czego od niego oczekuje *Kiedy nie jesteś na swoim piedestale, nie jesteś interesujący*. To ciągle boli coraz bardziej boli, ale trudno: niewolnik wstaje z klęczek i wdrapuje się na cokół. Tak jak mu kazano. Nie wolno mu żebrać, błagać, dziękować za łaskę: ma obdarowywać. Z wyżyn cokołu. Elegancki pyszałek z kwiatem w butonierce, dziękujący nonszalancko za oklaski, jest godny miłości; tłusty czterdziestoletni mężczyzna, klęczący przed swoim złotowłosym przed swoim Bogiem, spowiadający mu się z klęsk, marzący, by go trzymano za rękę w chorobie, by go pocieszano w cierpieniu, nie jest jej godny. Jeżeli się podda, straci wszystko. W końcu lord Douglas nie jest Bogiem, u licha!

Ależ tak. Jest.

Styczeń. Mróz, śnieg. Kto by siedział w Londynie w taką pogodę? Egipt, Algier. Palmy, morze i słońce. I ukochany u jego boku. W hotelu w Blidah spotykają Gide'a – o tak, wszedł już na całego do wszechświatowej pedalskiej mafii i dobrze mu z tym! Bosie poszedł się zabawić, on zawsze szuka zabaw, rozrywek, nie można mu ufać, ale po co miałby ufać? Niczego od niego nie chce poza tym, żeby był. To jest miłość, właśnie tym jest miłość. Nie musi

mu ufać. Rozmawia z Gidem w hotelowym barze: dwaj pisarze, dwaj esteci, dwa pedały, rozumieją się. Więc mu powie. Szczęście? O nie, na Boga, nie! Nie jest szczęśliwy.

To nie jest szczęście. To... co to właściwie jest? Rozkosz? Czasem tak. Czasem. Namietność. To, co najtragiczniejsze. Coś się stało z jego ciałem, z nim całym, coś go przełamało, odmieniło, nie przeczuwał tego nigdy, nie panuje już nad sobą, oszalał. Nic innego się nie liczy. Rzucił się w to cały, w tę straszną rzecz, najstraszniejszą na świecie: w miłość. Odebrano mu prawo wyboru. Odebrano wolę. Nigdy by nie uwierzył, że spotka go coś takiego. Nie przeczuwał nawet. Przestał być sobą. Jest tylko miłością. Toczy się jak kula bilardowa po pochyłości – ku czemu? Ku jakiej otchłani? Szantażują go. Wykradano już jego listy. Ojciec Bosiego grozi sądem, procesem... czym on nie grozi? Homoseksualizm jest karalny. Ale on – on nie będzie udawał, że wstydy się swojej miłości. Nie będzie jej ukrywał. Zresztą Bosie nie pozwala. Chce się nim chwalić, chce, żeby wszyscy wiedzieli. Okropny. Cudowny. Na razie nic się nie stało. Ale...

Każą mu być ostrożnym! Życzliwi – bo ma jeszcze, ma chyba, może, ludzi życzliwych – każą mu być ostrożnym, nie więcej.

– Czy ja mogę być ostrożny? To by znaczyło cofnąć się. Nie mogę. Muszę iść naprzód. Najdalej jak się da. A nie ma już dużo miejsca. Niewiele dalej mogę się posunąć. Coś musi się stać. Coś innego!

– Czy pan wie, na co się pan naraża?

Grymas. Przeciągnięcie ręką przed oczami.

– Lepiej nie wiedzieć.

Lord Douglas wchodzi do baru. Otulony futrem w ten chłodny afrykański wieczór, zawinięty w futro aż po oczy – po oczy czarne z nienawiści. Staje przed nimi. Nie zwraca uwagi na Gide'a. Oстрым, tnącym głosem wykrzykuje przez tłumik puszystego kołnierza kilka zdań, od których jego tłusty kochanek blednie, których Francuz i tak nie rozumie; potem zawraca na pięcie i odchodzi. Miłość! To właśnie jest miłość. Bładość i krople potu na czole; i trzęsące się ręce; i długie milczenie. I wstyd przed człowiekiem który to widział, słyszał; który wie. Choćby nie rozumiał ani słowa, wie.

Do Londynu wraca sam.

Bosie się zakochał.

Oczywiście, to zbyt wielkie słowo. Zachcianka, przygoda, kaprys. To minie. Oczarowanie arabskim chłopcem z oczami gazeli. Chłopcem, z którym może rozmawiać tylko przez tłumacza, o którym nic nie wie. To nie może trwać długo. Czymże to jest wobec ich niekończących się rozmów, wobec ich cudownego zrozumienia, wobec trwającego przez cały wieczór śmiechu z jakiegoś głupstwa, wobec sztuk i sonetów, i ambicji, i sławy, i marzenia o sławie, i milczenia bez sekundy nudy? Gładkie ciało, pogardliwe usta, dumne spojrzenie, maniery pustynnego szejka, władcy pustyni – tak, to mogło zachwycić, ale nie na długo. Szkoda tylko, że przez ten kaprys, przez tę zachciankę lord Douglas po raz pierwszy nie będzie na jego premierce. Nie będzie mu towarzyszył w tej ostatniej, decydującej bitwie. Nie dotrzyma obietnicy. Ach, trudno. Nie można mu ufać, ale i nie trzeba ufać. Bosie ma prawo do wszystkiego. Jak Bóg. Nic się nie zmieniło.

Coś go zatrzymało w Algierze. Drobiazg. Wkrótce przyjedzie.

Jest luty 1895 roku. Śnieżyca.

Wszędzie plakaty. Oscar Wilde: *Mąż idealny*. (Jego trzecia premiera: cóż to był za sukces!) Oscar Wilde: *Bądźmy poważni na serio*. (Jeżeli i teraz odniesie sukces, będzie królem życia!) Pomyłony markiz Oueensberry, ten stary piniacz, ojciec Bosiego (jak bardzo Bosie go nienawidzi, tego awanturnika, który go opuścił, nigdy się o niego nie troszczył, a teraz przypomniał sobie nagle, że jest jego ojcem) biega rozjuszony po mieście, odgraża się, roz-

syła komu się da kopie jego wykradzionych miłosnych listów... Ten s o m d o m i t a uwiódł mu syna (syna, który bawi się teraz w Setif z Alim w haftowanym turbanie), zdeprawował mu syna, zapłaci za to! Kto kogo uwiódł, kto kogo zdeprawował, wielkie nieba? Ale ten człowiek gotów zepsuć mu premierę, wywołać skandal, zatruć mu najpiękniejszy dzień życia... Zatrue!

Trzeba było uprzedzić dyrekcję. I to także!

Obsadzić wejścia, kontrolować widzów, przyglądać im się bacznie. Nie wpuścić markiza. Jego bilety już anulowano. Jeżeli postara się o inne – tym gorzej. Nie wpuścić go pod żadnym pozorem. Jego ani jego ludzi. Wieczór triumfu! Zamieć, wicher, płatki śniegu wbijają się w twarz malutkimi ostrzami, wiatr wyżera oczy... Płatki śniegu wirują wokół latarni na Pall Mall. Powozy, dorożki, wszystko to ciągnie do teatru St. James: jeżeli i tu mu się powiedzie... Powozy i dorożki zatarasowały całą King Street. Ludzie wysiadają w zamieci, mrużą oczy, broniąc się przed tysiącami maleńkich białych ostrzy, i wchodzą do teatru. Światło i zapach perfum, światło i zapach kwiatów, kobiety przypięły do wydekoltowanych sukni lilie, mężczyźni mają w butonierkach bukietki konwalii, światło iskrzy się w klejnotach, w naszyjnikach, bransoletach, diademach... sukces? Więc i tu sukces? Koronacja, konsekracja? Wszystko?

Markiz Queensberry szaleje, próbując wedrzeć się do teatru – przez główne wejście, przez wejście dla artystów, którekolwiek – ze swoim bukietem z marchwi i rzepy, bukietem dla triumfującego s o m d o m i – t y... A w teatrze przygasa światło. Chwila ciszy, stłumione kasznięcie, chrząkanie, wiercenie się na krzesłach. Kurtyna idzie w górę, na oświetlonej scenie lokaj rozstawia filiżanki do herbaty, słychać grę na fortepianie. Gra się urywa. Wchodzi elegancki mężczyzna, dandys *oscarisé* aż po pięty, nonszalancki, lekki, beztroski...

– Słyszałeś, co grałem, Lane?

– Sądziłem, że podsłuchiwanie nie jest w dobrym tonie, sir.

Ktoś już zachichotał. Za wcześnie!

Jeszcze nic nie wiadomo.

Dandys na scenie sypie paradoksami, lokaj wychodzi, zjawia się drugi mężczyzna – nie tak *oscarisé*, o nie, elegancki, bogaty młody człowiek bez żadnych trosk, ale to nie on przechadzał się po Piccadilly z makiem albo też z lilią w średniowiecznej dłoni swej... I zaczynają się fajerwerki.

Publiczność jeszcze czeka, jeszcze nie wie, jak będzie się bawić. Ale proszę! Algernon – ten *oscarisé* – pokazuje przyjacielowi zgubioną tu przez niego papierošnicę.

– Chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas miałeš moją papierošnicę i nie pisałeś słówka? A ja pisałem w tej sprawie paniczne listy do Scotland Yardu. Nosiłem się nawet z zamiarem wyznaczenia pokaźnej nagrody.

– Zrób to. Jeszcze nigdy tak nie potrzebowałem gotówki.

– A cóż by mi przyszło z wyznaczenia pokaźnej nagrody teraz, kiedy zguba się znalazła?

Teraz naprawdę wybuchają śmiechem. A za chwilę...

Algernon nie chce zwrócić Jackowi jego papierošnicy, bo z napisu w środku wynika, że nie należy ona do niego. *Ta papierošnica jest prezentem od jakiejś Cecylki, a ty powiadasz, że nie znasz żadnej Cecylki.* Jack wyznaje: Cecylka jest jego ciotką. Więc czemu podpisuje się *mała Cecylka*? Ach, jedne ciotki są małe, a drugie duże: no, Algernonku, oddaj mi papierošnicę! Dobrze; tylko czemu twoja ciotka nazywa cię swoim wujaszkiem? Zrywają się oklaski. Tak już będzie do końca.

Na zewnątrz szaleje śnieżycy. Na scenie w Haymarket lord Goring, pierwszy-w-historii-filozofii-dobrze-ubranymyśliciel, słucha ojca, na mawiającego go, by się wreszcie ożenił. *Ja w twoim wieku już od trzech miesięcy byłem niepokieszonym wdowcem.* Na scenie St. James Theatre Jack Worthing w żałobie mówi ponuro guwernantce i pastorowi, że jego rozpustny brat Ernest – nigdy go nie było na świecie – umarł, a guwernantka odpowiada: *Doskonała nauczka dla niego! Mam nadzieję, że mu to wyjdzie na dobre.* W obu teatrach widzowie skręcają się ze śmiechu, biją brawo: od kiedyż to już tak dobrze się nie bawili? Markiz Qu-

eensberry cisnął swój warzywny bukiet w śnieg i odszedł; na dzisiaj spokój. Ale kto to może wiedzieć? W każdej chwili mogą wtargnąć ze swoimi nadpsutymi pomidorami i zgniłymi jajkami ludzie wynajęci do utarcia nosa s o m d o m i c i e; Wilde zaciska spotniałe ręce, czeka.

Czeka.

W Haymarket ludzie wzruszają się, pociągają nosami, sięgają po chusteczki i znów się śmieją; w St. James Theatre już tylko się śmieją Nareszcie to, o co mu chodziło! Spełnione marzenie! Żadnych morałów, żadnych sentymentów, żadnych teorii społecznych: jest tylko śmiech, pianka, puch, coś tak lekkiego, że trudno uwierzyć, by istniało, by dawało się widzieć i słyszeć... arcydzieło! Coś, co nic nie znaczy. Co niczemu nie służy. Historia człowieka znalezionego w skórzanej torbie na dworcu Victoria, linia Londyn–Brighton, i jego kipiącego paradoksami przyjaciela, ich amatorów z dwiema czarującymi dziewczynami, kłopotów z tożsamością, ujawnionych nagle tajemnic, nie zawiera ani słowa, które byłoby na serio: oto życie takie, jakim powinno być! Nic na serio! Niczego, niczego nie należy traktować poważnie! Czy raczej – niczego oprócz rzeczy błahych. Nauczyć się lekceważyć całą resztę – oto cel życia! Na obu scenach, St. James i Haymarket, zakochane pary tabunami padają sobie w objęcia; i tu, i tam spada kurtyna; i tu, i tam zaczyna się owacja... Publiczność wstaje z miejsc. Woła „brawo!” Bez końca. Bez końca. Co za triumf! Nie będzie już takiego wieczoru. Życie naprawdę osiągnęło swój szczyt.

Zrozumieli go! Zrozumieli!

Napisał coś, co nie jest ani komedią ani farsą, ale czymś innym, czymś więcej – czy można napisać bańkę mydlaną? Napisał coś, co nie jest podobne do niczego na świecie – a oni to zrozumieli.

Tłumy wychodzące z St. James Theatre i tłumy wychodzące z Haymarket zderzają się na Pall Mall, tłumy tak rozbawione, tak szczęśliwe, że mimo śnieżycy nikt nie ma nikomu za złe tego gigantycznego korka, tego kłębowiska. Powóz Wilde’a nie może się przecisnąć, ugrzązł w tłoku. Ten śnieg, te małe, białe ostrza. I te kwiaty. I te roześmiane twarze. Lord Goring ożeni się z cudowną, przeuroczą Mabel, Jack i Algernon z Gwendoliną i Cecylką, pastor z guwernantką, Chilternowie się pogodzili, a Chiltern zostanie premierem, życie jest piękne, życie jest naprawdę piękne, jeśli umie się tak na nie patrzeć; przecież ono rzeczywiście może być piękne! Sama radość, samo światło, pianka, puch, bańka mydlana.... Tylko bez tego ponuractwa, do licha, bez tych obrzydliwych zasad, bez zakłamania, tchórzostwa, głupoty! *Nie sądzi pan chyba, abyśmy mogli pozwolić naszej jedynaczce wejść w koligacje z przechowalnią bagażu i związać się małżeństwem z paczką?* – cytuje ktoś, wciąż się zaśmiewając, a kto inny rzuca: *Nie było dziś ogórków na targu, sir. Nawet za gotówkę!* – i śmieją się, śmieją. Życie tak jak on, patrzeć na życie jak on! Ależ to musi być cudowne!

Nareszcie można przejechać. Wśród tych ludzi szczęśliwych dzięki niemu pomimo zamieci. Opić ten sukces, opić ten triumf! Tę – koronę!

Powóz rusza z miejsca. Śnieg wiruje wokół latarń, kłębi się w kręgach światła.

Dalej jest mur.

Za murem nie ma już niczego.

Mur

– A szampana pan pije?

– O, tak! Szampan z lodu to mój ulubiony napój – wbrew surowym zakazom lekarza.

– Nic mnie nie obchodzą zakazy pańskiego lekarza.

– Mnie również.

Prowadzący przesłuchanie Carson milknie zaskoczony, sala sądowa wybucha śmiechem i brawami jak sala teatru St. James. Wilde podnosi wyżej głowę: wygrywa! W teatrze i w sądzie, wszędzie wygrywa!

Nareszcie coś choć trochę przypominającego proces, który sobie wymarzył. Pytania o jego zasady moralne, o poglądy, o tryb życia – A szampana pan pije? – coś, na co potrafi i chce odpowiedzieć. Bo w ogóle – w ogóle popełnił błąd.

Bosie (wrócił, oczywiście, że wrócił: pokłócił się z pięknym Alim) – Bosie go namówił. Uprzedzić to, co może jeszcze zrobić jego pomyłony ojciec. Oskarżyć go o zniesławienie. Ciekawe, jak mógłby udowodnić im, że spali ze sobą, skoro obaj zaprzeczą, a świadków nie było! Jedyny sposób, żeby stary łajdak przestał zatruwać im życie. A jednocześnie – co za sława i chwała dla niego, dla Wilde'a! Co za bajeczny proces!

Uległ mu jak zawsze.

Rzeczywiście, co za bajeczny proces! Artysta przeciw filistrom, przeciw motłochowi, przeciw głupcom. Bo i co mogą przedstawić jego słowom adwokaci markiza Oueensberry? Jego książki! I parę wykradzonych listów, takich wzniosłych, czułych, niejednoznacznych... Jeżeli z tego właśnie spróbują zrobić dowód pośredni jego niemoralności, stenogramy z procesu będą niczym dialogi Platona, staną się kamieniem milowym epoki... Wyobraźcie sobie Platona przed sądem! Michała Anioła! Szekspira! Każdemu z nich można było zarzucić to samo, co jemu, skwitować i zniszczyć jednym słowem: pedał. Cóż to może być za proces, co za triumf – z jego wymową!

To lepsze niż książki, lepsze niż teatr. W sądzie, właśnie w sądzie bronić tego, co myśli, w co wierzy!

Tego, że sztuka jest ponad wszystko. I że nie można stawiać przed nią żadnych zadań ani wtlaczać jej w żadne ramy. Życie jest tak niedoskonałe, nieudane, tak godne pogardy. W życiu katastrofy zdarzają się w niewłaściwy sposób i niewłaściwym ludziom. Świat to teatr, ale role są źle rozdane. Tylko sztuka jest sprawiedliwa. I jeżeli życie, ten żalony koszmar, ma jakikolwiek sens, to jest nim sztuka.

Po co w ogóle żyć? Przecież możemy doświadczyć wszystkiego poprzez sztukę! Wystarczy otworzyć książkę – *a poczuję gorącą nienawiść do kogoś, kto mnie nigdy nie skrzywdził, lub wielką miłość do kogoś, kogo nigdy nie zobaczę*. Wszystko możemy przeżyć przez sztukę, wszystko! Kto poszedłby spotkać się z Tomkinsem, przyjacielem z lat chłopięcych, mogąc spędzić wieczór z Lucjanem de Rubempré?

Decyduje forma. Zrozumcie to wreszcie: forma! Nie c o, a l e j a k. Forma jest wszystkim. Znajdź wyraz dla swego bólu, a ból ten stanie ci się drogi. Znajdź wyraz dla radości, a zwiększysz swoją ekstazę.

Dzieło niemoralne? Ależ to znaczy tyle, co prawdziwe!

Nienawiść do realizmu jest wściekłością Kalibana, widzącego w lustrze swoją twarz. Nienawiść do romantyzmu jest wściekłością Kalibana, nie widzącego w lustrze swojej twarzy. I jak, mój Kalibanie? Zobaczyłeś siebie w moim lustrze czy nie? A może zobaczyłeś tylko połowę swojego ohydneho pyska? Dość, żeby cię podwójnie rozwścieczyć!

Przygotowuje się do swojego procesu. Do swojego triumfu.

Moralność! Panująca moralność! Jak cudownie będzie powiedzieć właśnie na sali sądowej, co się o niej myśli.

– A moralność? Czy pan nie wierzy w moralność, panie Wilde?

– Nigdy nie zdarzyło mi się spotkać kogoś, w kim zmysł moralności górowałby nad innymi uczuciami, a kto nie byłby bez serca, okrutny, mściwy, tępy, pozbawiony wszelkiego humanitaryzmu... Wolałbym popełnić pięćdziesiąt grzechów przeciwnych naturze niż posiadać jedną nienaturalną cnotę!

Kiedy to powie, oczka prowadzącego przesłuchanie zabłysną.

– Co pan nazywa nienaturalną cnotą, panie Wilde? Powściągliwość? Wierność? Sumienie?

– O, tak! Sumienie, firma tchórzostwa! Jeżeli robi się coś naprawdę głupiego i złego, to zawsze z najszlachetniejszych motywów.

– Ale moralność? Powszechnie przyjęte zasady moralne obowiązujące mężczyznę i kobietę?

– Och, co świątlejsi ludzie dowodzą, że to potwornie niesprawiedliwe, by istniały w tej dziedzinie inne prawa dla mężczyzn, a inne dla kobiet. Nie zgadzam się z nimi.

– Nie zgadza się pan?

– Nie. Ja uważam, że nie powinno być żadnych praw – dla nikogo!

O co jeszcze mogliby go zapytać?

O jego wstrętą, niemoralną książkę. O *Portret Doriana Graya*. Muszą o nią pytać!

A on odpowie.

Opisał człowieka, u którego ciało i dusza – będące przecież jednością! – zostały rozdzielone. Dusza zamieszkała w jego portrecie, ciało pozostało wiecznie młode i wiecznie piękne. Nie, nie chodziło mu po prostu o to, że z czasem człowiek siwieje, że jego skóra staje się wiotka. Portret Doriana Graya, ukryty na strychu, strzeżony jak największa tajemnica, stawał się ohydny, bo łądak starzeje się ohydnie. Bo zło szpeci. Bo należy, należy, po stokroć należy sądzić po pozorach. Bo prawdziwa tajemnica jest w widzialnym, nie w niewidzialnym. I dlatego właśnie...

Powie o obłudzie.

Najgorsza w „moralności” jest obłuda!

Dorian Gray po latach łądactw postąpił raz „moralnie”. Według waszych kryteriów, oczywiście. Nie wdał się w romans z dziewczyną, która go kochała. Uciekł zanim się cokolwiek „stało”. Jakie to było szlachetne, prawda? Jakie moralne! Nie wyrządził jej tej „strasznej krzywdy”, „oszczędzić”, nie złamać jej życia, nie zagmatwać go... Dorian Gray idzie tego dnia obejrzeć swój ukryty portret, obraz swojej duszy. Może już wypiękniał, złagodniał, wyszlachetniał? I co widzi? Portret zmienił się, to prawda. Do wszystkiego, co już na nim było, do wszystkich zmarszczek, fałd, pijackich obrzęków, doszedł jeszcze błysk chytrłości w oczach, a koło ust zarysowała się linia obłudy. Tym jest wasza moralność! Chytrność, tchórzostwo, egoizm, zakłamanie...

– A pan ulega wszystkim swoim pokusom, panie Wilde?

– Jedyną rzeczą, której nie mogę się oprzeć, jest pokusa!

– I nie cierpi pan potem? Nie żałuje?

– Żałować można tylko tego, co się nie stało.

I jeszcze... O to zapytają na pewno!

– Czy pan wie, co o panu mówią, panie Wilde?

– Nieważne, co się mówi o jakimś człowieku. Ważne, kto to mówi.

– Ma pan wrogów?

– Mam nadzieję.

– Nadzieję?

– Wolalbym stracić najlepszego przyjaciela, niż najgorszego wroga. Żeby mieć przyjaciół, wystarczy być dobrodusznym, ale gdy człowiek nie ma żadnego wroga, to musi w nim tkwić coś nikczemnego.

– Zdarzało się panu gardzić ludźmi?

– Gdy mamy niszczyć wulgarność i głupotę, potrzeba nam nie tylko odwagi, lecz i pogardy.

I jeszcze...

– Czy może pan powiedzieć o sobie, że pańskie życie jest bez zarzutu?

– Trzeba nie być geniuszem, by zachowywać się w każdym wypadku bez zarzutu.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

– Ależ odpowiedziałem! Jestem geniuszem.

To byłoby piękne!

Aż do momentu, kiedy dojdzie do tego pytania – ostatecznego, konkretnego pytania – kiedy uniemożliwią mu krążenie wokół tematu, utną efektowne dywagacje, kiedy zażądamy jednoznacznej odpowiedzi: tak czy nie. Czy utrzymywał stosunki seksualne z innym mężczyzną.

Trudno. Krzywoprzysięgnie.

Odpowie, że nie.

Taka jest cena tego procesu, tego triumfu. Jedno kłamstwo. Może jednak warto. Chyba warto. Bosie zapewnia, że warto, żąda tego procesu, pragnie go tak szalenie... *Będiesz naj-sławniejszym człowiekiem w Anglii! I utrże się wreszcie nosa temu łajdakowi, mojemu ojcu!*

Ta nienawiść do ojca. Rozumie ją. Jest dość powodów. Biedny Bosie. Jeżeli ma oddać mu przysługę, stając się narzędziem jego zemsty nad człowiekiem, który tak bardzo go skrzywdził...

Zresztą Bosie nie dopuszcza myśli o wycofaniu się. Nie darowałby mu tego. Żąda zerwania znajomości z każdym, kto próbuje go do tego zniechęcać. To nie są twoi przyjaciele! Musisz wybierać: oni albo ja! Więc dobrze. Nie ma innego wyjścia. Najpierw nie traktował tego poważnie, bawił się wyobrażaniem sobie tych pytań i odpowiedzi na sali sądowej, a teraz jest już za późno. Poszli razem do adwokata, machina została wprawiona w ruch... Już nie może się cofnąć.

– A szampana pan pije?

I te brawa. Dobrze zrobił. Wygrywa!

– Czy analfabeta, czytając *Doriana Graya*, mógłby uznać tę książkę za niezdrową?

– Poglądy analfabetów na literaturę nie są miarodajne.

I śmiech. I brawa. Cóż za dureń z tego Carsona!

– Czy uczucia, jakie żywi pański bohater dla Doriana Graya nie mogą wzbudzić w przeciętnej jednostce przekonania, że książka zawiera... hm... pewną tendencję?

– Nie mam pojęcia, jakie mogą być przekonania przeciętnej jednostki.

Dobrze. Ciągle dobrze. Wygrywa.

Teraz Carson czyta jego list miłosny, nieszczęsny, wykradzony list do lorda Douglasa. Już go szantażowano tym listem. Rozsyłano kopie znajomym. Wiedział, że zostanie tu odczytany. Jak okropnie brzmi, czytany monotonnym, oschłym, prawniczym głosem Carsona!

– *...że te twoje wargi jak płatki czerwonej róży są stworzone zarówno do szaleństwa melodii i pieśni, jak do szaleństwa pocałunku. Twoja smukła, złocista dusza...* Czy to jest przyzwoity list?

– To jest p i ę k n y list.

– Czy pan często pisywał takie listy?

– Nigdy się nie powtarzam.

– Czy to jest zwyczajny list?

– Wszystko, co piszę, jest nadzwyczajne. Nie pozuję na zwyczajność, wielkie nieba!

Na razie dobrze.

A jednak lepiej byłoby tego uniknąć.

Pierwszy dzień procesu: dzień triumfu. Drugi dzień: powiedzmy Trzeci...

Jak mógł nie wziąć tego pod uwagę? Że markiz Queensberry wyszuka takich świadków? Alfonsów. Pośredników. Stręczycieli. Męskie dziwki. Macie teraz waszego Platona, Michała Anioła, Szekspira! Tego pyszałka, pozywającego do sądu biednego ojca, zatroskanego o własne dziecko, półboga, nazywającego normalnych, przyzwoitych ludzi analfabetami filistrami, kpiącego publicznie z wszelkiej moralności, tego geniusza, tak pełnego pogardy dla reszty ludzkości! Platon szlajający się po spelunkach, amator kupnych chłopaczków o wąskich biodrach i okrągłych pośladkach, rozpustny kochanek gazeciarzy i sprzedawców ryb, może także – bo i czemu nie? – uwodziciel nieletnich, deprawator niewinnych.

Oto pierwszy świadek. Będą następni. To prawda, nikt nie mógłby udowodnić, że jego miłość, jego jedyna miłość, była występna i spełniona. Ale to, że byli inni – to udowodnić można.

Jak mógł o tym zapomnieć?

Jak mógł w ogóle zapomnieć, że byli inni?

Wycofać, natychmiast wycofać oskarżenie!

I koniec. Markiza, wychodzącego z sądu, wita owacja. Aktorzy grający w *Mężu idealnym* wydają bankiet na jego cześć. Lord Douglas ucieka za granicę. Na plakatach teatralnych nazwisko autora zostaje pospiesznie zaklejone paskami papieru. Lada moment z tego, który tak butnie oskarżał innych o zniesławienie, sam stanie się oskarżonym. Homoseksualizm jest karalny. Jeżeli nie aresztują go dziś, na pewno zrobią to jutro. Jeszcze można wyjechać za granicę jak lord Douglas. Byle zaraz.

– Dopiero co byłem za granicą. Nie można ciągle jeździć za granicę, chyba że się jest misjonarzem. Albo komiwojażerem.

Wciąż się śmieje.

Hańba. Uniknąć hańby.

Ale co jest gorszą hańbą – ucieczka przed aresztowaniem, czy taki proces i taki wyrok, jaki go czeka?

Myśli, że jednak ucieczka.

Pije reńskie wino, pali, czeka. Czeka bez końca. Wreszcie przychodzi policja.

Gdyby choć mógł przewidzieć, że to będzie taki proces. Nie jego własny. Dwóch oskarżonych: on i alfons Taylor. Brudna kryminalna sprawa. Błoto. To już naprawdę w niczym nie przypomina Platona przed sądem! Ani Michała Anioła. Ani Szekspira. Na ławie oskarżonych z alfonsiem, zrównany z nim, połączony z nim na wieki. Alfons i jego klient.

I jego nazwisko we wszystkich gazetach. I jego nazwisko na plakatach, którymi oklejono londyńskie ulice. Tylko z plakatów teatralnych je usunięto. Na innych rozpiera się, rośnie, bije z nich w oczy przechodniów, krzyczy... *No, teraz już nikt nie będzie mógł udawać, że o mnie nie słyszał.*

Broni się. Broni się do końca.

Ach, oczywiście, nie uwodził nieletnich, nie deprawował niewinnych. Ten punkt oskarżenia, zbyt absurdalny, upada. I nie współpracował z Taylorem; wielkie nieba, w jakiz to sposób miał z nim „współpracować”? Rozdzielono w końcu ich sprawy. Są rozpatrywane kolejno. Najpierw Taylora. Cóż, temu można udowodnić niejedno. O ile większa musi być zatem wina tego, który będzie sądzony dopiero po nim! Cztery dni przesłuchań. Tylu fałszywych świadków. Tyle idiotycznych oszczerstw. Tyle zeznań, o których sam sędzia mówi, że psu na budę się nie zdadzą. Nie, nigdy nikomu nie wyrządził krzywdy. Nigdy. Ale był tym, czym był. Pełna. To zostało dowiedzione.

Broni się przez cztery dni. Walczy. Ośmieszają tych, którzy go przesłuchują. Nie poddaje się. Po to został, dlatego nie uciekł. Chciał uniknąć hańby. Tej prawdziwej, jedynej hańby: hańby tchórzostwa. Wciąż się nie poddaje. Ranny lew, szarpany przez sforę kundli! Tak myśli o nim ktoś z siedzących na sali, ktoś z jego ostatniej publiczności. Jak on walczy! Aż do ogłoszenia wyroku. Znów posadzono go obok Taylora. Taki sam wyrok dla obu. Dwa lata ciężkich robót. Dopiero wtedy przestaje panować nad sobą. Chwieje się, chwytając obiema rękami poręcz, oczy ma nieprzytomne ze zgrozy. Chce coś powiedzieć. Pozwólcie mi coś powiedzieć! Wyprowadzają go pospiesznie, wyciągają go z sali.

Skończyło się.

Teraz tylko ten mur. Gdyby mógł się domyślić, że taki!

Mur więzienia Wandsworth.

A potem Clapham Junction.

I mur więzienia w Reading.

I to, co jest za nim.

Wiedział to w końcu – już na Mortimer Street, z ręką w dłoniach wróżki, wiedział, co jest za tym murem.

Może nawet zawsze to wiedział.

De profundis clamavi

Taki był błyskotliwy, pogodny, uroczy. Sama radość życia! Śpiewano o nim w operetce, kpiono z niego, a on siedział na sali, rozbawiony i zachwycony, kiedy jego sobowtór informował ze sceny dźwięcznym tenorem, jak łatwo stać się mistrzem, apostołem, prorokiem.

...Przejdź tylko po Piccadilly
Z makiem albo też z lilią
W średniowiecznej dłoni swej.

Śmiał się, klaskał. I chodził po Piccadilly z makiem, z lilią, ze słonecznikiem. I pielęgnował po nocach chore pierwiosniki. Pił szampana, robił karierę. Zawiódł się na Oceanie Atlantyckim, ale przepłynawszy go, podbił Stany Zjednoczone. Pisał wyszukane wiersze, błyskotliwe eseje, sentymentalne bajki. Czytał w kawiarniach Baudelaire'a, rzucił pęk lilii pod stopy wysiadającej ze statku na angielskim nabrzeżu Sary Bernhardt, kochał się w pięknych aktorach i w królowej Wiktorii. Pocieszał znajomego, zawiadamiającego go o śmierci Osgooda, wydawcy reklamującego się tym, że wszystkie jego książki wychodzą jednocześnie – w Londynie-i-w-Nowym-Jorku: *Biedny Osgood! Sądzę jednak, że pochowają go jednocześnie w Londynie i w Nowym Jorku*. Nosił kraciaste ubrania, nosił kwieciste kamizelki, jedwabne krawaty, lawendowe rękawiczki, pierścień ze skarabeuszem; nosił zielone palto z aksamitu podbitego futrem i fokową czapkę; nosił baczki, potem długie włosy, potem fryzurę à la Neron, biedny Neron, który musiał przecieżyć spalić tych nieszczęsnych chrześcijan, to w końcu było nie do wytrzymania, pomyślcie tylko: biedny Neron budził się rano i pierwszą rzeczą, jaką widział, był jakiś nowy cud w ogrodzie! Co wieczór w salonach mówił o niczym: *jedyna rzecz, o której cokolwiek wiem!* Wieczorem, po wyjściu z teatru, przystawał przed wystawą sklepu z kiełbasą i pasztetówkami, nie posiadając się ze zdumienia: *Jakie dziwne rzeczy ludzie jadają!*, i tłumacząc to sobie zaraz, lekko i dobroduszenie: *Może są głodni...* Damie, narzekającej na złą pogodę, odpowiadał patetycznie: *Ale gdyby nie śnieg, jak moglibyśmy wierzyć w nieśmiertelność duszy?*, a gdy zaciekawiona i przejęta pytała, co chce przez to powiedzieć, rzucał beztrząsco: *Nie mam pojęcia!* Taki ekscentryczny, taki wyzywający, taki zabawny: kto by pomyślał, że cierpi?

Sam siebie pocieszał w *Dorianie Grayu*, uprzedzając swój związek z pięknym złotowłosym: *Może ty się nim szybciej znudzisz niż on tobą. Smutno się robi na tę myśl, ale bez wątpienia geniusz trwa dłużej niż piękność*. Kłamliwie, tak kłamliwie! Trwa dłużej? Nawet tego nie wiadomo. Czy kilka lat to naprawdę mniej niż kilkadziesiąt? Wobec wieczności? Zwłaszcza że piękność jest czymś więcej. Talent, geniusz? Może to także dar, ale tak łatwo go zaprzepaścić, jest niczym bez pracy: wielkie dzieło to twoja własna zasługa, owoc twojej katorżniczej harówki, twoich nudnych męczarni, a piękność? Dar niebios. Widomy znak wyboru Boga: tego oto człowieka obdarował bez żadnych zasług, naznaczył go swą łaską, zatem jest on więcej wart; na kolana przed nim!

A obaj – geniusz i piękny – są mniej warci od zera, któremu Bóg dał szczęście. Po prostu szczęście. Spełnił jego pragnienia – i wywyższaj się teraz, wywyższaj się, mówiąc, że te pragnienia były niskie i nędzne, dlatego łatwe do spełnienia, podczas gdy twoje... nieprawda. Wybrańcy bogów to ludzie szczęśliwi. Zdrowy robotnik, zadowolony ze swej pracy, mieszkania, żony i bachorów. To on jest królem życia i wybrańcem Najwyższego! Dureń, któremu spełniła się jego miłość do idiotki. Zawsze to samo. Zawsze miłość. Nic innego się nie liczy. Kto jest szczęśliwy w miłości, jest zbawiony i po tej, i po tamtej stronie, choćby był koślawym debilem, złodziejem, mordercą, choćby jego życie pod każdym względem wydawało się równie bezwartościowe, jak on sam. Co z tego? Jemu dano szczęście, nie temu genialnemu, nie temu pięknemu, jego wybrano po obu stronach świata, aniołowie niosą nad nim aureolę...

nic innego się nie liczy, nic prócz miłości. Kochają go, ciebie nie; więc jesteś przeklęty. Z góry potępiony. I tu, i tam. Dano ci znak. I pysznij się teraz, że podbiłeś pół świata, że owacje po twoich sztukach nie miały końca, że dostajesz listy od ludzi, którym twoje książki objawiły prawdę o nich samych, że masz pieniądze, jeździsz dorożką na gumach, podróżujesz, jadasz ostrygi w Savoyu, że zachwycają się tobą tysiące czy dziesiątki tysięcy... co z tego? Wybrańcem losu jest dureń, który zakochał się w idiotce – z wzajemnością. Nikt inny. Bo nic więcej nie ma znaczenia.

Nie więzienie go złamało, tego z makiem lub liliją, Petroniusza Londynu, lorda Paradoxa, nie marne dwa lata więzienia. I nawet nie kamienowanie na Clapham Junction. Tak błagał w ostatnim liście: *Och, czekaj na mnie! czekaj na mnie!* Tak zaklinał: *Kochaj mnie zawsze, kochaj mnie zawsze!* A on nie czekał, i nie kochał, i nie napisał – przez całe dwa lata.

Raz na kwartał wręczano więźniom korespondencję. Co za drżenie, kiedy numer C.3.3. po raz pierwszy wyciągał rękę po swój plik listów! Nic. Ani słowa. Od niego – ani słowa. Więc czekanie, czekanie, w dzień i w nocy, w każdej minucie, w każdej sekundzie dnia i nocy – przez cały następny kwartał. Znowu nic. Nie napisał do niego!

Pyta. Odważa się zapytać na widzeniu: co się dzieje z lordem Douglasem?

Pyta ze zgrozą: zaraz usłyszysz, że umarł! Że jest ciężko chory! Dlatego nie pisze, dlatego nie przyjeżdża.

Ależ skąd.

Lord Douglas cieszy się najlepszym zdrowiem. Długo był na Capri. Potem wpadł do Paryża. Poproszono go tam, żeby napisał – akurat on, co za sensacja! – artykuł o „sprawie Wilde’a”. Dla *Mercure de France*. Więc napisał, właśnie to tłumaczą na francuski. Mało własnego tekstu, dużo listów – jego, Wilde’a, listów z aresztu, listów sprzed wyroku skazującego.

Jego listy!

Co w nich było?

Że będzie go zawsze kochał. I błagania, żeby pod żadnym pozorem nie wracał do Anglii. I marzenia o małym domku na jakiejś wyspie – może na Korfu? – o domku, który Bosie przygotowuje dla nich obu, w którym kiedyś zamieszkają... Och, ta miłość: światło jego życia!

Wyciągał do niego rękę.

O, gdyby mógł dotknąć jego włosów, jego rąk!

Prośby, żeby pisał. Żeby pisał.

Najdroższy, ukochany, najśladzszy – czekaj na mnie! czekaj na mnie!

Taka wdzięczność – za miłość. Nikt nigdy nie był dla nikogo droższy, żadna miłość nie była większa, świętsza, piękniejsza...

Więcej myślę o tobie, niż o sobie samym!

W każdej wielkiej miłości musi być tragedia. Więc i tu. Ale czy mieć przez jakiś czas przedmiot swej miłości – przez jedyny piękny czas w całym życiu – czy to nie dosyć? Nie, nie umie tego wyrazić inaczej!

Dusze stworzone dla siebie.

Kiedyś – kiedyś się spotkają. O, złotowłose chłopcze z sercem Chrystusa! Ty, który nauczył mnie boskiej tajemnicy świata! Miłości.

Te listy!

Nawet okryty błotem będę modlić się do ciebie, z najgłębszych otchłani będę wołać do ciebie...

Wszystko przyjmę. Każdą mękę. Każde poniżenie. Dla ciebie.

Jesteś dla mnie tym, czym Bóg jest dla świętego.

Zachować cię w sercu: jedyny cel tej męki, życia.

Kocham cię, kocham cię.

Wszystko, co było przedtem – to pustynia, która ożyła w twoim oddechu.

Kochaj mnie zawsze, kochaj mnie zawsze.

Czekaj na mnie. Czekaj na mnie!

I on to wykorzystał? Dla reklamy? Pochwalił się, że jest aż tak kochany! Że jest dla kogoś Bogiem. Że ktoś z miłości do niego poszedł do więzienia.

Nigdy! Nie pozwala! Nie zgadza się na wykorzystanie choćby jednego zdania ze swoich listów. Nigdy!

Lord Douglas wycofał artykuł. Teraz na pewno przyjdzie list. Musi przecież zapytać, dlaczego, co się stało...

List nie przychodzi.

Więc niech zwróci prezenty, które od niego dostał! I jego listy. I wszystko. Upoważnia kogoś z przyjaciół do odbioru. Teraz na pewno przyjdzie list! Nie. Listu nie ma.

Lord Douglas odmówił zwrotu czegokolwiek. Nic więcej. Nie napisał. Ciągłe nie pisze.

Znowu jest we Włoszech. Sam? No, nie. Nie sam. Trudno wymagać, by lord Douglas żył w takim samym celibacie, jaki na nim wymusiło więzienie! W końcu jest wolny. Wynajął piękną willę wśród róż. Pisze sonety, pływa w błękitnym morzu, kocha się z ładnymi chłopcami, jeździ z nimi na wyścigi, do kasyna, gra, pije, zajada homary w najlepszych restauracjach... Kiedy on, C.3.3., szoruje podłogę w swojej celi, szarpie pakuły palcami obdartymi ze skóry, choruje, haruje, kiedy on – za jeden szept na spacerku... Któryś z więźniów, krążących razem z nim w kółko, w kółko, w kółko pod nędznym skrawkiem błękitu, powiedział nie poruszając wargami: *Żal mi pana, panie Wilde. Panu musi być ciężiej znosić to, niż nam.* A C.3.3. odpowiedział: *Nie, mój drogi, wszyscy cierpimy jednakowo.* Ale nie umiał mówić tak, jak tamci, kryminalni, twarz mu się zmieniła, usta się poruszyły, w oczach stanęły łzy – no i wtrącono go do ciemnicy, do karceru. Co wtedy robił tamten, jego miłość? Kapał się w Morzu Śródziemnym, tarzał się po łóżku z kim innym, pił szampana przy stoliku nakrytym białym obrusem, śmiał się... Nie czeka, nie kocha. Skończone.

Drugi rok więzienia, apelacji nie uwzględniono, ale zmienił się naczelnik, jest łatwiej: książki, papier, częstsze widzenia. Papier! Co na nim napisać? Ach, tak. List. Pożegnalny.

List, który powinien wstrząsnąć, który powinien...

Ostatnia nadzieja.

Co za głupiec!

Robi to, co wszyscy niekochani, co wszyscy porzuceni. Jeżeli uda mu się wytłumaczyć Bosiemu, jak bardzo go skrzywdził, to... co właściwie? Przesłanie krzywdzić? Pokocha? Wróci?

O Boże, jest jak garbaty karzeł z własnej bajki, zawsze był taki! Bawiono się nim. Tak śmieszna, tak nieodparcie śmieszna była w nim nieświadomość własnej śmieszności! Królowa rzuciła mu różę. Ot tak, dla żartu. A on pomyślał, że to z miłości. Tyle mógłby jej ofiarować! Cały swój świat, cudowny świat: wprowadziłby ją do niego... I po raz pierwszy zobaczył siebie w lustrze: potwora całującego różę, która nic nie znaczyła. I rozplakał się. A królowa przyłapała go na płaczu i śmiała się, śmiała się: teraz, kiedy cierpiał, był śmieszniejszy niż kiedykolwiek. Jeszcze lepiej płakał niż tańczył! A jemu serce pękło. A ona... a ona rozkazała: *Na przyszłość rozporządźcie, by ci, co się ze mną bawią, nie mieli serc.* Przecież wiedział, jak jest! Zawsze wiedział! Zawsze to przeczuwał! Nie znał go jeszcze – jego, swojej miłości – a już wiedział wszystko. Jakże wszystkich rozbawi, kiedy wreszcie pęknie mu serce! Jakże tym rozbawi – swoją miłość!

Łysieje, ma egzemę, zemdlął i rozbił sobie skroń o posadzkę, coś stało się z jego uchem, trzęsie głową, źle słyszy, ucho krwawi... jest obrzydliwy! Gdyby go teraz zobaczył – tamten, jego miłość – powinien go kochać za to, że stał się tak obrzydliwy. Obłąd. Głupie złudzenie. Jest głodny, jest mu zimno. O, zimno jest o wiele gorsze od głodu!

Pęknięte serce.

W jego bajce pomnikowi pękło serce! Ołowiane serce. *Bo też mróz był straszliwy...*

Jest tak zimno.

Pomnikowi pękło serce. Jaskółka zakochała się w trzcinie i została dla niej w tym zimnym, zimnym kraju, kiedy inne odleciały do Egiptu... została, i odebrała sobie nawet szansę zachowania złudzeń. Zrobiła to, co najgorsze: zniecierpliwiła swoją miłość. Kiedy wreszcie zrozumie, że trzcina nigdzie z nią nie polecą? I że nie potrzebuje jej, nie potrzebuje, że to był tylko żart? Że cała miłość była tylko żartem? Kto widział traktować to tak poważnie?

I jaskółka umarła. A ołowiane serce pomnika, na którym szukała schronienia, pękło. Bo od tego pękłoby serce z ołowiu – ale nie prawdziwe, nigdy prawdziwe! Kamienny posąg by zapłakał, ale człowiek nie, człowiek nigdy. To takie śmieszne, kochać bez wzajemności. To takie śmieszne, że ptak kocha trzcinę, karzeł królową; a ten słowik, ten słowik, który wbija się piersią w cierni, żeby swoją krwią zabarwić różę, żeby stworzyć czerwoną różę, słowik, który przez całą noc, z cierniem zagłębiającym się w serce, śpiewa o miłości – czy nie jest śmieszny? Nawet księżyc słuchał, nawet księżyc stanął! Ale ludzie nie, oni nigdy nie słuchają. Rano słowik był martwy, a róża skończona. Róża była skończona! Oto róża skończona! I co z nią zrobili? Rzucili ją do rynsztoka. Miłość jest taka bezsensowna, taka niepraktyczna... Miłość. On. Oto róża skończona! A on martwy. I co to kogokolwiek obchodzi?

Kto to czytał, kto to zrozumiał?

Żenujące. Wstrętne.

Ale przecież nigdy nie traci się nadziei. On też jej nie stracił.

Skoro do niego nie piszą – on napisze. Najpiękniejszy, najstraszniejszy list, jaki może otrzymać człowiek. Swoje De Profundis!

I pisze.

Tak długo czekał. Tak nieskończenie długo czekał na list. Już wie, że się nie doczeka. Więc sam pisze.

Ostatni raz!

Z nienawiścią.

Na początek powiem ci, że straszliwie siebie potępiam. Kiedy siedzę w tej ciemnej celi w łachmanach, zhańbiony i złamany, potępiam siebie. Za to. Za tę miłość. Bo ona nie była przecież, nie była miłością! Wdał się w coś głupiego, prymitywnego, niegodnego siebie... W związek nie-intelektualny. Tym przecież była ta miłość. Prawda, że tym?

Wdał się w romans z kiepskim artystą! Ze złym uczniem, marnym studentem, marnym poetą, z kimś niegodnym siebie. Z żigolakiem, lecącym na jego sławę, na bankiety; ze snobem; z nędznym człowiekiem, żądającym pieniędzy i rozrywek, nie pozwalającym mu tworzyć... jego wina, jego wina, jego bardzo wielka wina! Nie powinien był się w to wdawać. Pokochał łajdaka. Nie wierzył, kiedy go ostrzegano. Nawet twoja matka ostrzegała mnie przed tobą! Zawsze mu ustępował. Myślał, że to drobiazgi, ustępował, bo kochał. Aż został wepchnięty w intrygę, która zaprowadziła go do Reading. Boże, żadnej szczerzej rozmowy! Zawsze się śmiałeś. Z rzeczy, w których nie było nic śmiesznego. Z tego, że przyjaciele ostrzegali mnie przed tobą, że zrywali ze mną z twojego powodu – jakże się zaśmiewałeś! I z obelg, którymi obrzucał mnie twój ojciec. Aż w końcu posadzono mnie na ławie oskarżonych między Gilles de Rais a markizem de Sade, tyle wynikło z tej miłości, do tego ona prowadziła. A ty się śmiałeś!

O Boże, trzeba było zerwać. Trzeba było mieć silną wolę i zerwać – ze swoim najgorszym wrogiem! Rujnowałeś moje życie. A ja cię kochałem. Te zerwania, te pojednania. Pamiętasz, w listopadzie trzy lata temu... I w lutym przed dwoma laty... A w kwietniu, pamiętasz, w kwietniu...

Przypomina, wylicza: drobiazgi, kłótnie, awantury. Tak dobrze pamięta, co, kiedy, dlaczego. I nagle świadomość: tamten przecież nie pamięta! Znów będzie się śmiał. Z tej jego pamięci. Tak dobrze pamięta każdą datę – to było 26 października, a tamto 15 marca, a 31 stycznia nie odpowiedziałeś na mój list, a 12 września przysięgałeś fałszywie... tak dobrze pamięta tylko ten, kto kocha. Nie, nie przyzna się do tego!

Napisze inaczej: ty pewnie nie pamiętasz, co było trzy lata temu. *Ale my, żyjący w więzieniu (...), nie możemy myśleć o niczym innym. Nasz sposób istnienia to cierpienie.* Wspominać cierpienie – to już jedyny, ostatni dowód własnego istnienia.

Nie można wspominać szczęścia. Gdyby to było szczęście – nie znalazłbym się tutaj!

Pisze dzień po dniu. Obmyśla dalszy ciąg w kaplicy, przy pracy, na spacerunku. Dziesiątki stron! Wspomnienia, wyrzuty. A 27 kwietnia powiedziałeś... A 14 maja, czy pamiętasz, jak postąpiłeś? Tym tylko żyje. Wymyślanie następnych zdań. Krąży w kółko pod małym strzępkim błękitu po brukowanym więziennym podwórku. I obmyśla list, który przeczyta tamten – w swojej willi w Neapolu. Musi wreszcie zrozumieć, co zrobił, musi to zrozumieć! Przecież nie ma chyba człowieka, któremu byłoby lekko zrozumieć, że złamał czyjeś życie, że kogoś zabił, zabił, najdosłowniej zabił? Tak skrzywdził, że to gorsze od śmierci? Pęknięte serce, zniszczone życie? To musi chyba boleć – sprawcę? Wieczne złudzenie niekochanych!

I nudne, śmiertelnie nudne żale niekochanych, ich wiekuiste pretensje. Piszą to zeszywniali ze zgrozy. Krzywymi, rozjeżdżającymi się literami. Pamiętasz ten dzień, kiedy byłem chory? Pamiętasz, jak mnie wtedy potraktowałeś? Wściekłość, że cię nie uprzedziłem! Gdybyś wiedział, że jestem chory, to byś nie przychodził: nie warto! O Boże, jak to znieść? I ten obelżywy list potem. *Kiedy nie jesteś na swoim piedestale, nie jesteś interesujący. Następnym razem, kiedy zachorujesz...* Boże. Boże. Żeby jakakolwiek ludzka istota napisała coś podobnego do innej ludzkiej istoty. W dniu jej urodzin! Ta pogarda, ten wstręt. Jakim prawem zachorowałeś? I myślisz jeszcze, że taki – ze swoją obrzydliwą gripą – jesteś wart moich odwiedzin? Chory? Bezużyteczny?

Wciąż się trzęsie na samo wspomnienie. I pisze. Pisze. Pamiętasz, co mi zrobiłeś?

Płacze.

Płacze tak długo, że w końcu...

Nie, już nie czuje nienawiści. Już nie. Tylko zdumienie.

Bogowie są dziwni. Tak, dziwni, niepojęci: bo za co go zgubili? Nie było w nim niczego lepszego niż ta miłość, ta straszna, straszna miłość... Jeżeli człowiek w ogóle może wznieść się do Boga – to tylko tak, tylko przez taką miłość. A Bóg wtedy... Bóg, bogowie, wszystko jedno. To straszne, co jest tam w górze. To niewiadome. To mściwe. Jest, na pewno jest: nie znalazłby się w tej celi, gdyby tego czegoś – kogoś – nie było. Bo tylko za dobro przychodzi kara, za zło nigdy! Zawsze za dobro! Za to, co najlepsze! Wie to każdy prostak. I Szekspir to wiedział. Nie przez nasze grzechy gubią nas bogowie. Tylko przez to, co najlepsze. Przez miłość.

Teraz już wie. On też był zły. On też nie jest bez winy. Jeżeli nie skrzywdził nikogo, to jego szczęście – szczęście albo pech: bo przecież i jego mógł ktoś pokochać! Był zły, był lekomyślny. Te przygody, po których człowiek beztrąsko odchodzi, nie myśląc, że może złamał czyjeś życie... Jeden pocałunek może je złamać! Och, tak nie wolno. Tak nie wolno.

Już nie czuje nienawiści. Nie zawsze. Chwilami znów kocha. Żałuje. Tęskni. Łudzi się.

Ale przecież – kochałeś mnie! Zawsze to czułem! Tylko nienawiści było więcej.

Złudzenia. Szalona, opętana pamięć.

Byłeś moim wrogiem: takim wrogiem, jakiego nikt nigdy nie miał. Dałem ci moje życie...

Znów płacze.

Ach, gdybyś ty był w więzieniu...

Kłamie. Powinien napisać: gdybyś był mną.

Gdybyś ty był w więzieniu (o Boże, nie, nie z mojej winy, tego bym nie przeżył) – gdybyś z jakiegokolwiek powodu był w więzieniu – czy ja pozwoliłbym ci zadrezczać się, szarpać sobie serce w samotności i hańbie? Cierpiałbym jak ty. Gdybyś płakał, ja też bym płakał. Szykowałbym dom na twoje przyjęcie. Gdybym się bał (ale ja bym się nie bał!) być blisko ciebie, pisałbym chociaż, ciągle bym do ciebie pisał. Nawet gdybyś odmawiał przyjmowania

moich listów, pisałbym nadal, bo może kiedyś zmienilibyś zdanie? Może choć opuszczając więzienie, ucieszyłbyś się na widok stosu listów, który na ciebie czekał?

Przecież co trzy miesiące pozwalają więźniom przeczytać to, co do nich napisano. Zabierają to potem. Ale wszystkie listy czekają w kancelarii, dostaniemy je przy zwolnieniu. A ja? Co ja dostanę? Ani jednego świstka, ani jednego słowa napisanego twoją ręką.

Śmierć matki. Obcy ludzie przysyłali do więzienia kondolencje. On – nie. On, ten ukochany – nic, ani słowa. Nawet wtedy! Taka straszna rozpacz, taki cios – i ani słowa pociechy! Od niego, od jego miłości. Miesiące mijały. Czekał. Czekał. Wciąż czekał. Gdyby choć jedno słowo! A tamten pisał wtedy wiersze w swojej willi w Neapolu. I miał czelność zadedykować je swemu porzuconemu kochankowi – dla reklamy! Temu, do którego nie raczył napisać... Jak śmiał? *Ach, gdybyś ty był w więzieniu.*

Mijają dni. Tygodnie. C.3.3. ciągle pisze. Trzeci miesiąc. Czwarty. Ciągłe ten sam list.

Rosnący plik zapisanych kartek.

Wyrzucił to z siebie. Co za ulga. I już nie kocha. Skończyło się. Minęło. Nie ma w nim teraz ani odrobiny miłości. Nienawiści też. Spokój. Cudowny spokój. Naprawdę minęło!

Zapomniałeś o mnie. Dobrze, ja też zapomnę.

Tylko wyjść stąd. I nigdy cię więcej nie zobaczyć.

Już nie chcę. Już nie muszę.

Wyjść z Reading! To wystarczy. Nie trzeba niczego więcej. Bo i któż nie byłby szczęśliwy, mając wolność, kwiaty, książki i księżyc?

Wierzy w to. Kiedy stąd wyjdzie, pojedzie gdzieś daleko. Sam. W góry czy nad morze. Sam! Wolny! Czego miałby jeszcze potrzebować? Miłości? Bzdura. Drży na samo wspomnienie. Głupota ludzi. Po co mu miłość? Człowiek wolny ma wszechświat. Wszystko. Idzie sobie w góry przy świetle gwiazd. Idzie brzegiem morza przy świetle księżyca. I miałby chcieć czegoś więcej? Tego już aż nadto! Takie szczęście! Nie trzeba mu niczego więcej!

Napisał to. Uwolnił się od swojej klęski, od swojej miłości. Już nie kocha. Będzie sam. Będzie szczęśliwy. Będzie jeszcze pisać. Napisze arcydzieła. Skończył z tym szaleństwem, z tą chorobą. Życie bez miłości, cóż to za cud! Tak się go nie docenia. Nic specjalnego – i nie musi się dziać nic specjalnego. Spokojny sen, spokojne wstawanie rano. Oczy, które dostrzegają światło słoneczne, gwiazdy, cienie liści na trawie, oczy, które widzą cokolwiek poza tą jedną twarzą, jednym ciałem, którym ten straszny obraz nie przesłania bezustannie wszystkiego; możliwość myślenia – o czymkolwiek, o byle czym, bez tej wiecznej myśli zagłuszającej inne... On już nie kocha. Gorączka minęła, mgła ustąpiła z oczu, ciężar z serca. Jest tylko smutno, tylko pusto, tylko źle. Nic dziwnego. Więzienie. Ale wyjdzie stąd przecież. Z każdym dniem bliżej. A potem – wszechświat!

Wstaje rano, sprząta celę, pracuje, staje na baczność, chodzi w kółko po spacerniaku. Na stole w celi leży plik kartek. List. Gotowy. Skończony. Wszystkie żale, cała nienawiść (ależ to powinno nim wstrząsnąć!), i na końcu ta wymarzona pointa: a teraz już ciebie nie potrzebuję! Dam sobie radę. Skrzywdziłeś mnie, złamałeś jak nikt na świecie nie złamał nigdy drugiego człowieka – a teraz, kiedy już zrozumiałeś (musiałeś zrozumieć!) całą swą podłość, kiedy zmiażdżyły cię wyrzuty sumienia, kiedy pożałowałeś, zapłakałeś, kiedy (na pewno!) – kiedy mnie znów kochasz, dowiedz się, że nigdy nie naprawisz tego, co zrobiłeś, nie możesz, nie będziesz mieć okazji. Bo ja już ciebie nie potrzebuję. Już nie chcę. Skończone.

Więc czemu kartki leżą ciągle na stole, czego tu jeszcze brakuje, dlaczego nie spróbował dotąd przekazać swojego listu? Czemu tak krąży wokół niego?

No tak. Jeszcze raz siada przy stole. I unicestwia wszystko tą żalną, śmieszoną prośbą: napisz do mnie! napisz, dlaczego nigdy nie napisałeś!

Bo może da się to jakoś wytłumaczyć. Wystarczy pierwsze lepsze zdanie, pierwsze lepsze kłamstwo. Tak cię proszę. Napisz, dlaczego do mnie nie pisałeś!

Teraz list jest skończony.

Wyspa Świętej Heleny

Przecież mogłoby jeszcze być dobrze!

Tutaj. W Berneval-sur-mer. Z portretem królowej na ścianie.

W Berneval, gdzie już nawet dorośli wołają na jego widok, rozbawieni: *Vive monsieur Melmoth et la reine d'Angleterre!*

Zbudować tu dom i zostać na zawsze.

Pyta swych opiekunów, swych dobroczyńców, czy to byłoby możliwe.

Co za nonsens! Dom? Przy jego rozrzutności? Zawsze dzielił się z przyjaciółmi wszystkim, co miał. Uszło to jeszcze, kiedy żył w dostatku. Dajmy na to, że wygospodaruje się pieniądze na poczet jego renty, że właduje się je w dom w tej rybackiej wiosce – czy może dać słowo, że nie będzie zapraszał gości? Że tego domu nie zapełni gromada wydrwigroszów, których będzie karmił i poił, dopóki nie pójdzie z torbami?

Ależ skąd. Zmienił się przecież. Będzie rozsądny.

Goście, oczywiście. Ale będzie ich traktował twardo. Jak hotelarz. Zrobi ze swego domu coś w rodzaju pensjonatu. Za wszystko opłaty. Kąpiel – 25 centymów. Nie wzięcie kąpieli – 50 centymów. Po 10 od każdego wypalonego w sypialni papierosa, po 20 – od n i e wypalonego. Czy tak będzie dobrze?

Śmiech. I na tym się kończy.

Bosie napisał do niego.

T e r a z napisał!

O dwa lata za późno. Ale jednak...

Może by się zobaczyli?

Nie. Teraz już nie. Nie zrujnuje swego życia po raz drugi. Nie zrujnuje tych resztek.

Jedyny warunek, jaki mu postawiono – to ten, żeby go nie widywał. Jeżeli nie dotrzyma, straci wszystko. Środki do życia. Przyjaciół. Tych kilku przyjaciół, którzy mu pozostali. Zawsze ich zaufanie. Zrani ich.

Nie.

No, proszę: wystarczy nie chcieć, wystarczy odmawiać, żeby mieć to, o czym się tak marzyło – na próżno. List za listem. Po trzy depesze dziennie. Namowy, groźby, błagania. Spotkajmy się. Słyszysz? Musimy się spotkać!

Nie.

Teraz już nie.

Pisze.

O więzieniu. O Reading.

O więzieniu i o miłości.

O człowieku powieszonym w Reading. Mordercy. Zabił ukochaną. Wszyscy zabijają. Ale nie każdy tak uczciwie. Tak odważnie. Nożem.

„Każdy zabija kiedyś to, co kocha –
Chcę, aby wszyscy tę prawdę poznali.
Jeden to lepkiem pochlebstwem uczyni,
Inny – spojrzeniem, co jak piołun pali.
Tchórz się posłuży wtedy pocałunkiem,
Człowiek odważny – ostrzem zimnej stali!”

Pisze to drząc. O zabijaniu miłości.
Douglas go zabił.
On zabił swoją miłość do Douglasa.
Bo zabił ją przecież, prawda? Zabił ją!

„...Każdy zabija kiedyś to, co kocha –
Ale nie każdy życie za to daje.

Nie każdy ginie śmiercią najędźniejszą
W bezlitosnego dnia posępną porę,
Z szyją konopnym sznurem oplecioną,
Z głową wciśniętą w chropowaty worek;
Z tym przerażeniem, gdy stopy daremnie
Zapagną w pustce uchwycić podporę.”

Patrzy na morze. Pisze.

Natrętny, brzękliwy rytm spacerniaka w Reading. Rytm kroków na spacerniaku. Ballada dobra dla ślepego żebraka, dla Homera, dla katarynki na Soho Square...

Opisuje dni w Reading. Noce w Reading. Filcowe buty strażników. Oko w otworze judasza. Naczelnika, lekarza, kapelana. Krążenie po spacerniaku. Łby ogolone, stopy jak z ołowiu... *Krocząc niemrawo, w kółko, ciągle w kółko / Braliśmy udział w Błaznów Defiladzie...* I strach opisuje. Upiory nocy, kpiące z cierpienia. Sarabandy upiorów. Piruety upiorów. Ich nocny korowód, ich nocny spacerniak. Och, jak tańczyły upiory!

„W kółko i w kółko, i jeszcze raz w kółko...”

I jęk wichru.

I cień kraty na pobielanej ścianie celi: znak świtu.

Dudniący rytm wiersza. Dudniący jak wiadra, w których o szóstej rano niosło się mydliny do szorowania swego numerowanego grobu, swej celi...

(Jakże się wtedy czekało na list! W każdej sekundzie, minucie, godzinie. Przez całe trzy miesiące. Potem z tym biciem serca, ze ściśniętym gardłem wyciągało się rękę po plik otwartych kopert... I listu nie było. Więc znowu przez trzy miesiące – i bicie serca, i ściśnięte gardło – i nic; i znowu trzy miesiące... A teraz – tak, teraz listy przychodzą! Czemu nie mieliśmy się spotkać w Rouen?)

Opisuje tego, który zabił swoją miłość.

I szubienicę. I wzbicie się ponad pustkę – młodą, zwinną stopą – w ostatnim tańcu...

A my? Czy my też? Czy czeka nas podobny los?

Przecież nie ma duszy tak mocnej, by nie zwabiło jej piekło, czerwone piekło...

Zrywa się nagle. Jak mógł odmawiać? Zaślepiony. Nieprzytomny. Obląkany. Takie ryzyko. Przecież już pierwsza propozycja spotkania mogła być ostatnią. A ta, która przyszła teraz, na pewno jest ostatnia. Na pewno!

Oczywiście, że pojedzie do Rouen.

Więc jedzie.

Cokolwiek sobie postanowił – nie znał siebie. Jakkolwiek wyobrażał sobie to spotkanie – nie znał siebie.

Czeka. Jego miłość czeka na niego na peronie w Rouen. A on – jak właściwie zamierzał się zachować, jak powinien się zachować po tych dwóch latach, więcej niż dwóch latach pie-

kła? Pomachać mu z uśmiechem przez okno wagonu? Wysiąść, zdjąć kapelusz i grzecznie się uklonić? Nic nie robić (o tak, to byłoby najlepsze!), tylko czekać, aż on sam go odnajdzie i powita? Nie może. Wypada z wagonu z krzykiem, biegnie do niego przez peron, krzycząc, krzycząc coś, czego sam nie rozumie, biegnie z wyciągniętymi ramionami, łzy płyną mu po twarzy, płacze i krzyczy... a potem przez cały dzień ściska jego rękę, trzyma go za rękę, jakby się bał, że za chwilę zniknie, rozwieje się w powietrzu, przestanie istnieć. Jego miłość, jego wszystko.

I ta noc. Ta noc w Hôtel de la Poste!

Wszystko wyjaśnione. Wszystko wybaczone. I te dwa lata w Reading także. Nie pisał? Ach, nie mógł albo uważał, że tak będzie lepiej, nieważne, to przecież nieważne. Ta noc w Rouen!

A potem Neapol.

Willa nad morzem, nad cudownym, błękitnym morzem. Tu skończy balladę o Reading. Bosie też pisze, pisze swoje ładne, chłodne sonety, a on rozplywa się w zachwytach. Potem czyta to, co napisał dziś sam. I jak? Jak ci się to podoba?

„Ale ja nigdy dotąd nie spotkałem
Ludzi, co tęsknie tak potrafią patrzeć
W namiot błękitu, tak mały, że tylko
W więziennej mowie może „niebo” znaczyć...”

Bosie słucha uważnie, z szacunkiem – czy może po prostu obojętnie? O tym skrawku błękitu, który przez dwa lata był jego niebem. O tym skrawku ołowiu. O tym rozżarzonym helmie...

Jakie to obce wszystkiemu, co zna! Jakie – brzydkie!

„Rozszarpujemy na strzępy powrozy
Pozdzieranymi do krwi paznokciami
I szorujemy zawzięcie posadzki
I drzwi okute ciężkimi ryglami,
I namydlamy podłogi i progi,
I łomoczemy do taktu wiadrami.

Szyjemy worki i wiercimy świdrem,
I rozbijamy kamienie młotami,
Grzmocimy w blachę, obracamy żarna,
Wyjemy w niebo psalmami, hymnami!
Ale i wtedy strach niepokromiony
Włada bez przerwy naszymi sercami.

I strach ten sprawił...”

Bosie słucha. Albo kąpie się w morzu. Albo sam odczytuje te zapisane wielkimi literami kartki. I nie mówi – wciąż nie mówi tego, co powinien powiedzieć.

Noc w Rouen dawno minęła. Zresztą może i ta noc była złudzeniem.

Tym chciał sobie kupić miłość, głupiec! Książką!

Wreszcie przychodzą listy. A Bosie – Bosie przyjmuje te listy z radością. Nie ma wątpliwości. Ucieszył się. Może nawet nie mógł się ich doczekać?

Jeden list jest do Sebastiana Melmotha. Od adwokata. Sebastian Melmoth złamał warunki umowy i stracił swoją rentę. Drugi list jest do lorda Douglasa. Od matki. Jeżeli syn natych-

miast nie rozstanie się z Tym Człowiekiem – ze swoim złym duchem – z tym zbrodniarzem, i on nie dostanie już nigdy ani grosza. Może sobie szukać pracy w kopalni albo w redakcji jakiegoś piśmida!

Sam widzisz, stary. Sam widzisz. Musimy się rozstać.

Ta ulga na twarzy! Ten triumfalny błysk w oczach! Nareszcie ma pretekst, żeby wyjechać. Jeszcze dziś wyjechać. Czyżby sam uprosił matkę o taki list?

No tak, pisał do niej. Można się było tego tylko domyślać, ale domysł był trafny. Pisał, że dobrze zrobił, dążąc do tego spotkania. Musiał się w końcu przekonać, czy coś czuje do Wilde'a, no i przekonał się: nic. Taki, jaki jest teraz, nie jest już interesujący. Nie ma mowy o żadnych uczuciach. Owszem, szanuje go, lubi go, ale nie pragnie już jego towarzystwa. Nie będzie za nim tęsknił. Skończone.

I wyjeżdża. Wyjeżdża czym prędzej.

Potem już nic nie ma sensu.

Czekanie w tej pustej willi, której nie może opuścić dopóki Bosie – dopóki lord Douglas nie zapłaci rachunku. I poniżenie, poniżenie. Nie ma okoliczności łagodzących! Zabawiono się jego kosztem, po raz drugi złamano mu życie, i to już ostatecznie, już na zawsze. Takie straszne życie. A to – to było najgorsze ze wszystkiego. Gorsze od Reading.

Obiecywał, że będą razem! Wywabił go z Berneval, z tego kruchego spokoju – i rzucił! Nawet ruiny się zawaliły. Pył, proch. Teraz już nie będzie niczego.

W końcu rachunek został zapłacony.

Żadnego miejsca nie opuszczał chyba z taką ulgą, jak tej pustej willi nad błękitnym morzem. Nawet Reading.

Jest półprzetyłony. Przez cały czas we mgle, wszędzie mgła...

Okradziono go. No tak, jest teraz idealną ofiarą dla każdego. Dla złodzieja, dla mordercy. Widać to po nim. Ukradziono wszystko. Cały bagaż. Zostało mu to, co ma na sobie, nic więcej.

Tym lepiej.

Ale żyje nadal, żyje nadal. Przyjaciele znów są przyjaciółmi. Przyszedł jakiś czek. Vincent O'Sullivan zaprosił go do teatru – w Neapolu występuje Duse, wielka Duse – a potem na kolację. Niestety. Rozpoznano go. To poruszenie na sali, te oburzone twarze... Jak on to zna! Wstaje szybko. Wychodzi zanim zdążono go wyprosić.

Żebrak przy wejściu do restauracji, żebrak oparty o mur.

Zatrzymał się przy nim. Sięga do kieszeni, daje mu pieniądze. I szepcze do włoskiego żebraka po angielsku: *Biedaku, czemu żebrzesz, skoro litość umarła?*

Ale ciągle żyje, ciągle żyje.

Skończyło się latem. A w lutym następnego roku wychodzi *Ballada o więzieniu w Reading*. Zamiast nazwiska – jego więzienny numer. C.3.3.

Ataki, złośliwości, pochwały, porównania z Sofoklesem...

Nieważne. To już nieważne. Więcej pisać nie będzie.

Paryż.

Półtorafrankowe obiady, cudze ciasne ubrania, bieda. *Jak kochany święty Franciszek poświęciłem ubóstwo, ale moje małżeństwo jest nieudane. Nienawidzę mojej oblubienicy.*

Afronty, ciągle afronty. Znajomi, którzy się nie kłaniają. Skandale, awantury. To już prawie nudne – a ciągle boli.

Czasem jakiś Anglik zauważa go, rozpoznaje – gdziekolwiek. Patrzy przez długą chwilę. Potem podchodzi do barmana, przywołuje kelnera... Wiadomo, co nastąpi!

– Pan się nazywa Oscar Wilde, prawda? Prosimy pana o opuszczenie sali.

Nawet fryzjer, który namydlił mu już pół twarzy, żeby go ogolić – nawet on, gdy mu coś szepnięto, stał szybko pianę serwetą, wyprostował się... Ta jego mina! Nie warto pytać. Wstać i wyjść. Już to zna, już przywykł.

Każdy przyzwoity Francuz też go unika.

Przeminął. Zapomniano go. Tylko jako „ta świnia Wilde” jeszcze istnieje, jako ten zбочeniec, którego należy wyprosić, wyrzucić... Nic więcej.

Boże, Berneval! *Vive monsieur Melmoth et la reine d'Angleterre!* Jedyne światło, jedyne dobre wspomnienie...

Jego najlepsza sztuka została w Anglii wydana drukiem, prasa to przemilczała. *Jeżeli usłyszysz, że mówią o sztuce pochlebnie — prosi Rossa — napisz mi. Jeżeli nie, wymyśl coś sam.*

Trwanie życia. Po co?

Grób żony w Genui. Szłochy nad tym grobem.

Żal. Ale po co? Po co ten żal? Daremny, bezsensowny. *Nic nie mogło się stać inaczej, życie to rzecz straszliwa.*

I znów Paryż.

Wyrzucono go z hotelu. Wszystkie rzeczy, wszystkie ubrania skonfiskowano: to na pokrycie długu. Błąka się po Paryżu, tłucze się po Paryżu jak wielka, tłusta ćma, włóczy się ulicami, nie wiedząc, dokąd pójść. Ktoś go rozpoznaje, zatrzymuje. Co za pech! Jeszcze jeden hotelarz. Dupoirier z Hôtel d'Alsace, skąd wyniósł się jakiś czas temu chyłkiem, bez płacenia, skąd uciekł ciągnięty za rękę przez swoją zniechęconą oblubienicę, przez tę starą jędzę... No, to już koniec. Trudno mieć większego pecha. Ale Dupoirier nie jest nawet zagniewany, przeciwnie. Tak się cieszy, że go widzi! Tak mu było przykro, że wyprowadził się bez pożegnania! Chodziło o pieniądze? Przecież to drobiazg. Może mieszkać u niego jak długo zechce. Taki lokator! Taki miły lokator! Zapłaci, kiedy będzie mógł. Chyba że znalazł lepszy hotel, że woli mieszkać gdzie indziej...

Skądże.

Od dzisiejszego ranka nie mieszka nigdzie.

Więc niech sprowadzi rzeczy i wraca do Hôtel d'Alsace. I niech się, na Boga, nie przejmuje pieniędzmi, pieniądze to nie wszystko. Kuchnia hotelowa też jest do jego dyspozycji. Taki lokator!

Rzeczy... hm, rzeczy też już nie ma. Skonfiskowano je w hotelu Marsollier.

Drobiazg. Pan Dupoirier pójdzie tam zaraz i ureguluje wszystkie rachunki. Za godzinę bagaż pana Melmotha znajdzie się w jego pokoju. Jak dobrze, że się spotkali! Bez pana Melmotha Hôtel d'Alsace jest tylko hotelem, podczas gdy z nim... Trudno to wyrazić. Dupoirier jest człowiekiem interesu. W jego branży nie ulega się sentymentom. Ale taki lokator trafia się raz w życiu. On... no... polubił go po prostu. Więc niech wraca, niech będzie jego gościem.

Vive Monsieur Melmoth et la reine d'Angleterre!

Znów czuje to, co wtedy. Kiedy to wołano na uliczkach Berneval. Oczy mu wilgotnieją. Biedny Dupoirier. Gdyby chociaż był jednym z tych, którzy wołają Julesa od Emilienne. Nic podobnego. Gdyby czytał jego książki, widział jego sztuki, wiedział, kim jest... Nie wie. Lubi go i tyle. Więc można go lubić? Lubić Sebastiana Melmotha?

Już tylko to miejsce na ziemi. Hotelik przy rue des Beaux Arts. Pokój od podwórza. Za krótkie, obliczone na francuskich karzełków łóżko, w którym wciąż trzeba podkurczać nogi.

Brudnoczerwone zasłony, żółta tapeta w krzykliwy deseń, lustro, zegar, kulawy stół... jakże tu pisać przy takim stole? Bo czasem jednak próbuje, czasem próbuje – bez rezultatu. To nic nie warte. *Ale, jak mówiono kiedyś o torturach, zabija się czas, choć na parę godzin.* Ta ohydna tapeta, to paskudne podwórko... Oczywiście, dżentelmen nigdy nie wygląda przez okno. Ale jednak. Tak bardzo, tak bardzo jest wdzięczny Dupoirierowi za jego bezsensowne, dziwaczne uwielbienie. Tyle że nic na świecie nie sprawi, żeby polubił ten pokój.

Człowiek, który poniósł klęskę, może już tylko jedno: uznać, że klęska jest piękniejsza od zwycięstwa.

Zjechali się jego dobroczyńcy. Zaprosili go na dobry obiad. Zaraz im opowie. Opowie im, jak piękną rzeczą jest klęska.

– Artysta może odnieść sukces tylko przypadkiem – peroruje z kartą dań w ręku. – Sukces to zawsze epizod i tylko epizod; jedynie klęska jest czymś ostatecznym. A śmierć... śmierć to rehabilitacja po klęsce. I posłannictwem artysty, posłannictwem sztuki jest dać ludziom poznać piękno klęski i piękno śmierci!

– Wyspa Świętej Heleny – mówi, odkrywając kawałek mięsa i podnosząc go do ust – to największy temat, jaki mógłby podjąć artysta. Ale ludzie zbyt wielbią sukces, żeby to zrozumieć. Spójrzcie na Carlyle'a!

Sięga po kieliszek z winem. Robert Ross uśmiecha się – z wyższością? Z odrobiną pogardy na widok tego przeglądania się w lustrach cudzych klęsk i cudzych poniżeń? Oto Oscar Wilde na wyspie Świętej Heleny!

– Uśmiechasz się, Robbie. Ale uwierz mi. Dopiero ponosząc klęskę, odkrywamy własną duszę, i to jest straszne. Ale właśnie dlatego klęska jest więcej warta od zwycięstwa. Zawsze! – Nadziewa na widelec listek sałaty w sosie vinaigrette i także się uśmiecha. – No, nie posunę się aż do tego, żeby nie przyznać, że wolałbym, by to spotkało jednego z was, nie mnie!

A czas mija. Czas mija.

To, co tak nas postarza, co tak by nie pasowało do modnego ubrania, gdyby miał jeszcze modne ubranie, wciąż trwa, łomocze jak wiadro w Reading o szóstej rano, szarpie się i walczy z nicością jak skazaniec na szubienicy. W zeszłym roku – rok po ostatecznym zerwaniu! – umarł ojciec lorda Douglasa. Ten, który wpakował go do więzienia. Szalony markiz Queensberry.

Przeszkoda została usunięta – za późno.

Pytają go czasem o lorda Douglasa. I trzeba odpowiadać.

Pytają go na ulicy, w kawiarni, w restauracji. Ze zwykłej ciekawości albo z podłym, złośliwym, okrutnym błyskiem w oczach. A co słyszeć u lorda Douglasa?

Ach, dawno go już nie widział. Ale, oczywiście, pisują do siebie.

Odziedziczył majątek po ojcu. I, zdaje się, uczynił swoją ambicją stracenie go do ostatniego pensa na wyścigach.

– Bosie – mówi lekko – posiada nieomylną zdolność typowania konia, który przegra. Jeśli się weźmie pod uwagę, że wcale się nie zna na koniach, jest to doprawdy zdumiewające!

Wszyscy się śmieją. W porządku.

No tak, pisują czasem do siebie. I nawet się widują. Rzadko. Ale jednak...

Pozostają w najlepszych kontaktach. Naprawdę! Żadnych tragedii!

Na przykład w sierpniu 1900 roku zjedli razem obiad.

W miłym, pogodnym nastroju.

W atmosferze pełnego zrozumienia.

Lekka rozmowa ze starym znajomym. Od zakąsek do deseru. Żadnych tragedii! Deser, rachunek i au revoir. Znudził mu się, bywa, często tak bywa, fini.

A może nigdy nie było niczego więcej? Żadnej miłości? Ot, nastrój, trochę zwykłych kłamstw... Są ludzie, którzy w pewnych sytuacjach – cóż, w pewnych sytuacjach po prostu muszą mówić pewne słowa – lubią mówić pewne słowa – szalone, patetyczne, wielkie – ale nie mogą przecież brać pod uwagę tego, że jakiś dureń potraktuje je serio! Prawda?

Oczywiście, że prawda.

Gdyby nie to, że jeden pocałunek może zniszczyć życie człowieka.

Jeden pocałunek! Sebastian Melmoth odkrył to po swojej klęsce, powtarza to ze śmiertelną powagą: jeden pocałunek może zniszczyć ludzkie życie! Ale, gdybyśmy wszyscy tak myśleli...

Ostatnie spotkanie. Już nigdy się nie zobaczą.

Lekka, błaha rozmowa.

I ta ostatnia próba przy rozstaniu.

– Niedługo umrę.

Powiedział to Douglasowi. Ten roześmiał się grzecznie, to wszystko. Należałoby odejść. Ale niekochany zawsze jeszcze próbuje, nudzi, przeciąga sprawę... Rachunek już zapłacony, czas nagli, trzeba wstać.

A on wraca do tego, uparty maniak. Niedługo umrze, powtarza Douglasowi. Nie dożyje nowego wieku.

Douglas chce już iść.

Dobrze. Nie rozplącze się przecież przy stoliku w Grand Café!

– Nie dożyję nowego wieku – mówi Wilde, wstając – przez resztki patriotyzmu. Gdybym to zrobił, Anglicy byliby niepokieszeni!

No, nie najbardziej to błyskotliwe, ale lekkie i dość zręczne. Można się jeszcze raz roześmiać. Więc do widzenia, Oscarze.

Ani słowa o następnym spotkaniu.

Do widzenia? Kiedy?!

Nie śmie zapytać, nie chce zapytać. Uśmiecha się. Ścisną jego rękę. Odchodzi.

Purpura

Postarzał się. Jest ruiną.

Gruby, nadęty, źle ubrany, w zmiętym płaszczu, z papierosem w ustach, jeździ jeszcze do Włoch za wyżebrane pieniądze. Robi zdjęcia swym nowym aparatem. Chodzi oglądać papieża na placu św. Piotra: bajeczne! Ale cóż, gdyby o n, Sebastian Melmoth stanął przed papieżem z kwitnącą różdżką w ręku, zaraz zamieniłaby się ona w *parasol lub coś równie okropnego*. W pogodne dni siedzi na kawiarnianym tarasie nad butelką wina albo café gelato. Jak miło jest pić café gelato na tarasie kawiarni w pogodny rzymski dzień! C.3.3. pije mrożoną kawę i ma czym płacić pięknym włoskim chłopcom, usta spuchły mu od pocałunków, gorączkuje. Rzucił właśnie Armanda, zbyt kosztownego, żądającego codziennie nowych prezentów, butów, koszul, krawatów: nie można było przejść z nim ulicą, szalał przy każdej witrynie, prosił, domagał się, żądał... O, gdyby miało się dość pieniędzy, by spełniać od niechcienia te jego zachcianki, zachować go jeszcze, nacieszyć się do syta tym jego ciałem Apolla Belwederskiego, ciałem, które Sebastian Melmoth badał jak archeolog, przy którym czuł się jak odkrywca wykopanego z ziemi arcydzieła... Ale rzucił go, rzucił, nie było go na to stać (jakże się przyznać, że może to Armando go rzucił?), teraz jest z Arnoldem, Arnoldo żył przedtem z Armandem, ale to już skończone; Arnoldo jest zazdrosny (jakie to miłe, jakie upajające!), ale i z nim powinien może zerwać, z tym małym złodziejaszkiem, przechadzają-

cym się (ryzykant!) po Corso w ukradzionym palcie... Tak, zerwał i z Arnoldem, teraz jest z nim Omero, ale i piękny Armando. właśnie mu wybaczył zbyt chudy portfel, więc Omero i Armando na zmianę; a teraz młody Grek, taki piękny, najpiękniejszy z chłopców, jakich mu przedstawiono, ale i z nim zaraz koniec, zerwanie ze łzami – ze łzami, i z jednym, ostatnim pocałunkiem... tyle miłości! Obolałe, pogryzione wargi, rozpalone czoło i dłonie... *Jak ohydnie jest kupować miłość i jak ohydnie jest ją sprzedawać! A jednak co za purpurowe godziny można wyrwać z tej szarej, powolnej, nieruchawej rzeczy, którą nazywamy czasem!* Więc zakochuje się i odkochuje, cierpi, płacze, całuje te pięknie wykrojone usta, te wysmukłe ciała, tę skórę u każdego inną, u każdego inaczej pachnącą, cudowniejszą od wszystkiego na świecie... Gruby angielski pedał, zbyt ubogi, żeby mieć wiele purpurowych godzin, ale choć trochę, choć kilkanaście udało mu się wyrwać czasowi: purpura! I gdyby Bosie miał sumienie... O ile piękniejsze byłoby życie, gdyby Bosie miał sumienie i dawał mu pieniądze! Tak, żeby mógł kupować nowe buty szczuplutkim, czarnowłosym Armandom. Coś jest mu przecież winien za jego zmarnowane życie! Najłatwiej płacić pieniędzmi; Boże, jakież on byłby szczęśliwy, gdyby mógł spłacić wyrządzoną komuś krzywdę po prostu pieniędzmi! Takie to łatwe. A Bosie tego nie rozumie, na prośbę o pieniądze wpada w furję, nazywa go starą kurwą... on, przez którego stało się pół godziny na Clapham Junction, przez którego gniło się dwa lata w więzieniu! Powinien być szczęśliwy, że mu wybaczone – i tę krzywdę, której już nic nie zdoła naprawić, i ruinę całego życia, i odejście miłości... bo przecież Bosie go nie kocha, nie kocha, może nigdy nie kochał, a może przestał, kiedy tylko nazwisko jego wspianego kochanka i protektora, ulubieńca Londynu, zaklejono na plakatach teatralnych paskami papieru, kiedy z dostawcy ziemskich uciech, z fundatora ostryg i homarów stał się żebrakiem... bawił się na Riwierze, kiedy on, C.3.3., skubał w więzieniu pakuły krwawiącymi palcami... więc jeśli go nie kocha, niech mu chociaż zapłaci!

Powinien mu zapłacić. Chociaż pieniędzmi powinien mu zapłacić!

(Byłeś moim wrogiem; takim wrogiem, jakiego nikt nigdy nie miał. Dałem ci moje życie...)

Bosie oprzytomniał. Już nie łyży, nie przeklina. Tłumaczy: po prostu nie ma pieniędzy. Wydał wszystko!

Jak to sprawdzić?

Może ktoś sprawdzi, może ktoś się dowie, czy to prawda. Bo jeżeli prawda... Ach, jeśli Bosie nie przysłał mu pieniędzy, bo ich nie ma, to może nie wszystko jeszcze stracone! Bo gdyby nie zapłacił mu za jego krzywdy, mogąc zapłacić... to byłby dowód, że nigdy, nigdy go nie kochał, nawet w Londynie, nawet w Brighton, nawet w Algierze, że od pierwszego dnia kłamał, bawił się nim tylko, że śmiał się, kiedy go wieziono do więzienia, że cieszył się wiedząc, że on gnije w Reading... o, jakież to byłoby poniżenie, jakie straszne poniżenie, gdyby Bosie nie płacił mu, mogąc płacić!

Ale Bosie rozumuje jak mężczyzna, on – jak kobieta. Wiecznie ten sam podział, wiecznie to samo nieszczęście! Ci, którzy nie pojmują, jak można żądać pieniędzy za odtrąconą, sporniewieraną miłość – wołają nie wiedzieć, że naprawdę żebrze się o miłość, nie o pieniądze, Już nie mają wyrzutów sumienia. Bo jakże? Wobec kogoś, kto aż tak sam siebie upokorzył? Krzywdy, które skrzywdzony wycenia na sto funtów – czy na tysiąc – czy na sześćdziesiąt – nie są krzywdami; oni tak myślą. Pogardzają zamiast pocieszyć. A powinni wszystko zrozumieć. Powinni głaskać po włosach, i całować po rękach, i mówić, że już dobrze, wszystko dobrze, że już kochają i zawsze będą kochać, do śmierci i po śmierci... a oni wrzeszczą: *Stara kurwa!*, albo tłumaczą chłodno: *Nie mam pieniędzy*. Jak można to znieść?

Nie można, nie można, nie można.

Nikt niczego nie rozumie.

„Ale też byli między nami tacy,
Co idąc – głowy nisko opuścili;
Dobrze wiedzieli, że jak ten nieszczęśnik
Mogliby także zawisnąć w tej chwili.
On zabił tylko żyjącą istotę,
Gdy oni – nawet umarłych zabili.”

Czy z a t o nie należało go kochać?
Czy z a t o nie należy mu się sześćdziesiąt funtów?
Albo choć dwadzieścia?
Albo dziesięć; niech już będzie; chociaż dziesięć!
Wszystko się kończy.

Łatwo gardzić ludźmi poddającymi się rozpacz, dopóki się nie zna rozpacz. Gardzić grzesznikami przed tym wstrząsem – ilu ludzi nie zaznało go nigdy? – przed tym straszliwym wstrząsem ciała, przed tym odkryciem ciała, potęgi, której nic nie dorównuje, władzy, której niczego nie można odmówić, przed którą czołgasz się w błocie, gotów na każde szaleństwo, każde poniżenie: spluną ci w twarz, a ty podziękujesz Bogu za tę łaskę. Będą cię zabijać, a ty pozostaniesz samą miłością. Trudno uwierzyć: większość tego nie zna. Szczęśliwi. Nieszczęśliwi. A człowiek przyjmujący miłość – każdą miłość, nawet kupioną miłość Armanda, Arnolda, Omera – z tym strasznym niemym krzykiem: *Domine, non sum dignus!*... taki człowiek będzie dla nich żaloszny i godny pogardy. Sam by gardził, gdyby nie przeszedł tej granicy. Teraz już wie.

I ta ekstaza, ta modlitwa, ten sakrament, to wielkie *Non Sum Dignus* może kosztować dziesięć funtów, dwadzieścia, sześćdziesiąt. Zamiast być całkowicie niedostępne może tylko mieć swoją cenę – i niepodobna zapłacić tej ceny. Może być czymś realnym i bliskim, na wyciągnięcie ręki bliskim – a jednak nie do zdobycia. Jak to udźwignąć?

Każdy by nim teraz gardził. Każdy, kto nie zna takiej miłości – ani takiej klęski. Miłości, dla której człowiek poniża się, ośmiesza, narzuca, żebrze, płacze, skomli, płaci lub błaga o zapłatę, byle jeszcze cokolwiek było. Choćby zniewagi, choćby nieszczęście. Byle c o k o l w i e k było, cokolwiek trwało! I klęski, po której się wiąże pętlę, łyka truciznę. Albo wbija sobie w udo igłę i naciska tłok strzykawki z morfiną. Albo pije, cuchnie wódką lub absyntem; pije i łapie za guzik kogokolwiek, byle kogo, żeby łąkać przed nim: *Panie, co mnie spotkało! Panie, co za nieszczęście!* Zdarza się przecież, tak łatwo może się zdarzyć coś, co jest ponad nasze siły. O, ci szczęśliwcy, ci nieszczęśliwi, którzy nie zaznali niczego ponad własne siły i własną miarę – ani miłości, ani cierpienia!

Oto róża skończona

Ucho, dolegające od czasu, gdy tak rozbił sobie głowę mdlejąc w Reading, znowu boli. Często bolało, ale nigdy aż tak jak teraz, bez przerwy, nie do wytrzymania. I cała skóra swędzi, całe ciało pali, czerwone plamy, swędzenie, alergia, pokrzywka... Żaloszne. Pewnie, że to żaloszne. Ośmiesza. W uchu zrobił się wrzód. Przyszedeł lekarz, mówi, że trzeba operować. Ale to kosztuje! Operacja, pielęgniarstwo, wszystko kosztuje. Można zaciągnąć pożyczkę, wystawić rachunki, tylko jak to potem zapłacić? Ledwo oprzytomniał, już zamartwia się tym jednym: jak zapłacić? Bosie. Teraz powinien przysłać pieniądze, teraz naprawdę powinien. Więc listy, do niego, do innych. Do każdego, kto mu przychodzi do głowy. Wciąż ta sama żebranina. O zaliczki (ma pomysł świetnej sztuki, napisze ją, teraz naprawdę napisze, a pod cudzym nazwi-

skiem można by ją przecież wystawić), o pożyczki. Frank Harris jest mu winien 150 funtów, niechże je wreszcie zwróci! Liczby, wciąż liczby, gmatwanina liczb. A w odpowiedzi na to wszystko – tylko jeden przekaz. Miało być 175 funtów, jest 25; to za mało. Jak sobie z tym poradzić?

Zresztą wcale nie przychodzi do siebie.

Lekarz powiedział, że chodzi tylko o ucho, o wrzód! Więc czemu wciąż jest tak źle?

Nie wstaje.

Każdego dnia jest gorzej, niż było dnia poprzedniego.

A lekarz ciągle nie opłacony!

– Umieram – mówi. I zaraz, żeby ująć temu patosu, ucinając zaprzeczenia, dodaje: – Umieram tak, jak żyłem: ponad stan.

Jest październik 1900 roku. Paryż. Hôtel d'Alsace.

Nikt nie wierzy, by umierał.

Szesnastego ma urodziny. Czterdzieste szóste. No, to już ostatnie.

– Nie, nie przeżyję naszego wieku – mówi. – Odejdę razem z nim. Byliśmy dla siebie stworzeni.

Zawsze przecież kwękał! Zawsze – od wyjścia z więzienia. Trzy lata jęków, skarg, prób wywołania litości. Nie umiera się z powodu bólu ucha i swędzącej wysypki! Ani tym bardziej z rozpacz.

Leży w łóżku w hotelowym pokoju tak złym do umierania, wyklejonym tą wstrętną, tą ohydną tapetą. *Ona mnie zabija!* – skarży się, żali, i nagle konstataje wesoło: *Cóż, jedno z nas musiało odejść!*

Dobrze to przeczuł: on zedrze się pierwszy.

Hotelarz Dupoirier szaleje z niepokojem, biedaczek. Każe – na miłość boską! – nie przejmować się długami, przysyła do pokoju szampana na koszt firmy... Sebastian Melmoth pije szampana, wstrzykują mu morfinę. Leży w łóżku, drapie się, trzęsie obolałą głową, kona.

Nie ma już gardła, tylko piec wapienny; nie ma mózgu, tylko piec chlebowy; nie ma nerwów, tylko kłębowisko żmij. Mimo wszystko – skryba pozostaje skrybą nawet w sali tortur – mimo wszystko cieszy się, że tak to ładnie nazwał.

O, Szekspir miał rację! Nie przez nasze grzechy gubią nas bogowie. Klęska przychodzi jako kara za to, co jest w nas dobre, co jest najlepsze. Za miłość.

Któregoś dnia wstaje. Tak, ma szczęście: czym byłby teraz bez cudownej pedalskiej solidarności, bez tej wymuszonej prześladowaniami unii przeciwko światu? Są przy nim, zawsze ktoś jest przy nim. Jeden, dwóch przyjaciół. Jest kogo poprosić o pomoc przy ubieraniu, przy wyjściu na ulicę. Bo musi wyjść. Ten jeden, ostatni raz. Idzie z trudem, ale jednak idzie. Twarz ma postarzałą, włosy trochę posiwiały. W łóżku wyglądał lepiej. Siada przy kawiar-nianym stoliku, pije absynt, patrzy na ludzi, patrzy na ruch uliczny. Dobrze. A teraz już wróci.

Z ulgą kładzie się do łóżka. Leży z oczami pełnymi znów tej tapety, tej ohydnej tapety, która go przeżyje. Ostatnie tygodnie Wielkiego Wieku. Wielki Wiek też go przeżyje. W najlepszym wypadku odejdą razem.

Nagle przychodzi list. Brał tego dnia morfinę, wypił butelkę szampana, rozpacz nie mogłaby być większa. Ale przychodzi ten list, miły. Miły list z czekiem na 10 funtów. OD NIE-GO!

Odziedziczył 15 000 funtów, jemu przysłał 10. Ale jednak przysłał. Myśli o nim. Pamięta go jeszcze. Pamięta o chorym kochanku w paryskim hoteliku. I Sebastian Melmoth płacze, szlocha. Takie szczęście! Tak wielka pociecha!

Potem naprawdę zaczyna umierać.

Widać, że umiera. Widać to po tym, co mówi. Te plugawe słowa, których nigdy przedtem nie wymawiał, których nikt nie umiałby sobie wyobrazić w jego ustach, te przekleństwa po angielsku i po francusku... Wrywa się trzymającym go rękoma, chce wstać i nie może, więc

klonie, wymyśla tym, którzy są przy nim, krzyczy, chrypi... Trudno mu mówić, głos ucieka, więc tylko tyle, tylko przekleństwa. Zapalenie mózgu, mówi lekarz. I: teraz już naprawdę koniec.

Katolik Ross czekał tylko na tę chwilę. Wybiega z hotelu. Bierze dorożkę. Jedzie po księdza.

Ten się nada, ten nie będzie zbyt skrupulantem. Ojciec Dunne z zakonu angielskich pasjonistów. Ross informuje pośpiesznie: umiera człowiek – Irlandczyk, ale anglikanin – który zawsze chciał przejść na katolicyzm: może choć teraz, na łożu śmierci? Ostatnio w Rzymie siedem razy przyjmował na placu św. Piotra błogosławieństwo papieskie! (Nie, nie powtórzy tego, co grzeszny Sebastian Melmoth mówił tuż potem: *całe nieszczęście to to, że katolicy nie są chrześcijanami.*) A ile czasu spędzał wtedy w kościołach! (Nie powtórzy przecież tego, co mówił o kościołach grzeszny Sebastian Melmoth: *Bóg zamieszkał w tych tworach rąk ludzkich, przekonawszy się, że w ludzkich sercach nie zamieszka nigdy.*) Wioząc księdza przez ciemne, wietrzne ulice, Ross opowiada mu historię tego, który umiera: czy nie jest chlubą pozyskać takiego człowieka dla Kościoła? Dojeżdżają na rue des Beaux Arts. Hotelarz Dupoirier ma łzy w oczach. Żeby pan Melmoth tak się męczył! On, najwspanialszy, najmiłszy, najlepszy z ludzi... Za co go tak pokochał? Cud jeszcze, że nie dmie w dziecienną trąbkę i nie powiewa chorągiewką, że nie woła: *Vive monsieur Melmoth et la reine d'Angleterre!* Nie zastanawiają się nad tym, nikt nie zwraca uwagi na biednego, głupiego Dupoiriera. Zapewne rozpacza nad długami pana Melmotha, długami, których już nikt nie spłaci. Tak długo trzymał go tu i żywił za darmo, nawet koniak i szampana posyłał mu na każde życzenie – człowiekowi, o którym wiedział przecież, że jest niewypłacalny! Ross z księdzem wbiegają na schody. Dupoirier wyciąga chusteczkę. Za kilka dni będzie się włókł w deszczu aż na daleki cmentarz Bagneux, gdzie zaleją pana Melmotha niegaszonym wapnem; garstka żałobników wykruszy się z wolna w tej dalekiej drodze i ulewie, on zostanie do końca ze swoim wieńcem przystrojonym koralikami, naiwnie i tandetnie ozdobnym, z wieńcem noszącym wielki napis *A mon locataire...* Teraz ociera zaczerwienione, mokre od łez oczy. Ksiądz przyszedł do pana Melmotha, to już niedługo, już koniec, koniec...

A w pokoju hotelowym odbywa się wielki triumf Roberta Rossa. Dopiął swego! Wszyscy mają wyjść. Tylko konający, on – i ksiądz.

Pan Melmoth jest nieprzytomny, w gorączce. To nic nie szkodzi. Robert Ross przysięga, że zawsze chciał nawrócenia, zwlekał tylko za długo, tak bywa... Klęka przy łóżku. Odpowiada za tego, który nie może już mówić. Ojciec Dunne chrzci go z Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen. Jutro – jeżeli ten tu na łóżku dożyje – przyjdzie do niego z ostatnim namaszczeniem.

Dożył. Jest nawet przytomny. Widać to po tym, że prosi na migi o papierosa – choć gdy mu go włożono między palce, nie zdołał donieść go do ust. Na jego skroniach wiją się, pęczniąc od krwi, dwie pijawki, tak kazał lekarz. Palce trzymające papierosa drżą między pijawkami, starają się trafić do ust, nie mogą. Ale skoro chciał papierosa, jest przytomny i może otrzymać rozgrzeszenie. Ojciec Dunne namaszcza go świętymi olejami, klepie swoje formułki, niechaj ci Bóg odpuści wszystko, w czymkolwiek przewiniłeś wzrokiem... słuchem... powonieniem... mową... dotykiem... ruchem..., dotyka zwilżoną watką jego oczu, uszu, nozdrzy, Robert Ross wzrusza się do łez, Sebastian Melmoth leży z papierosem w bezsilnych palcach, ze wszystkich stron ta ohydna tapeta, która go przeżyje, porusza ręką, jeszcze raz próbuje unieść papierosa do warg zwilżonych olejem, do ust pełnych niesmaku; nie może. Jedna z pijawek opiła się dostatecznie; odpada. Na skroni pozostał purpurowy punkt.

Nikt nie podnosi pijawki z poduszki. Ross jest zbyt przejęty, ksiądz zbyt zajęty pracą, *...a modlitwa wiary uzdrowi niemocnego i ulży mu Pan, a jeśli by w grzechach był, będą mu odpuszczone...* Ach, prośby o uzdrowienie go na ciele i duszy, mimo wszystko. Żeby uleczony miłosierdziem Twoim mógł nadal wypełniać zleczone mu obowiązki... Jakie obowiązki?! Bło-

gosławieństwa zlewane na słabe ciała. I co jeszcze? Bóg otacza ustawiczną opieką stworzenie swoje. O tak, otoczył go opieką! Uleczyć, utwierdzić mocą, strzec potęgą... I co jeszcze? ...*a zaspokoiwszy pragnienia jego wszystkie...* O, gdyby to było możliwe. Ładna modlitwa. Pragnienia jego wszystkie! Ani płakać, ani się śmiać, już nic. Tylko zapalić papierosa. Już tylko tyle. Proszę: ktoś wyjął mu papierosa z palców. Robbie? I włożył go między jego wargi zwilżone olejem świętym. Pijawka z lewej strony też się nasyciła i odpadła z chrzestem. Nie błażaj mi w tym życiu, o mój Boże, ale przebac mi w wieczności, recytuje ksiądz, a Robbie powtarza nabożnie. Ale jeśli w tym życiu cios był zbyt wielki, kara zbyt ciężka, to nie ma wieczności! Jak to pogodzą? On już nie ma duszy. Nie ma już tego, czym się przyjmuje wieczność. Zawsze to wiedział, zawsze to przeczuwał. Ani wynagrodzić niebem, ani ukarać piekłem: niczego nie można zrobić z tymi, którzy zbyt cierpieli; jak oni z tego wybrną? Jak Bóg z tego wybrnie? On już się nie nadaje, stracił zmysł wieczności. Równie dobrze można by prowadzić kastrata do burdelu! Panie, w ręce Twoje oddaję duszę moją... I o rękach przebitych gwoździemi, o boku przebitym, o nogach zranionych, i Przenajdroższa Krwi Jezusa, obmyj mnie, i Najświętsza Panno, okaż mi się Matką, i jeszcze coś, i jeszcze coś. Pijawki leżą na poduszce po obu stronach jego głowy, papieros zwisa między wargami, tapeta trwa, on odchodzi; jakże się ci dwaj starają! Jak się starają – na próżno!

Wreszcie ksiądz zbiera swoje oleje, naczynia, krucyfiks, Robbie zbiera pijawki; niestety, nie wpadł na to, żeby zapalić mu papierosa.

Poszli sobie. Ksiądz z Panem Bogiem, Robbie z pijawkami.

Tapeta trwa.

ŚMIERĆ LORDA DOUGLASA

1944

Bombowce ze swastykami już nie nadlecą, wojna jest prawie wygrana, ale co z tego? Nie wystarczy wygrać, trzeba wygrać z honorem! A czy oni wiedzą, czym jest honor? Ten mały, gruby Churchill jest potomkiem diuków Marlborough, ale czy wie, co to honor? W 1923 był mordercą i żydowskim pachołkiem, w 1941 aniołem zesłanym przez Boga (skrzywdziłem go, nie zrozumiałem, nie doceniłem!), a teraz? Teraz łąsi się do Stalina, gotów przefrymarczyć sojuszników Imperium – biedna, bohaterska Polska! – w zamian za co? Cokolwiek by to było, nie ma prawa! Takie zwycięstwo okryje nas hańbą. Strąci nas w morze błota. Kto by się tego spodziewał w dniu, kiedy wszystkie dzwony Anglii dziękowały Opatrzności za El Alamein? Tak niedawno. Piękny, czysty dzień. A teraz? Ten łajdak Churchill gotów jest kupić zwycięstwo za każdą cenę, podsuwa bolszewikom wierną, dzielną Polskę jak handlarz rybami świeżego turkota: bydlę! Przeklęte bydlę! I stary człowiek w tweedowym ubraniu trzęsie się ze złości, czerwone plamy tańczą mu przed oczami, zaciska ręce tak, jakby miażdżył nimi tłustą szyję, kruche kości zdrajcy: już czuje ich chrzęst pod swoimi palcami! Jeden z tych ataków furii, z tych przyływów nienawiści, które miotają nim po kilka razy dziennie, i których nikt nie rozumie, którym ci głupcy dziwiają się tępo czy obłudnie – kto to może wiedzieć? Może lepiej nad sobą panują, a może po prostu nie czują niczego, bezduszne pnie, tępe kłody, głązy! Tak, tacy właśnie są. Jego życie jest tego najlepszym dowodem. Oto on, największy poeta od czasów Szekspira, siedzi w wynajętym mieszkaniu, zrujnowany, odrażony, nie doceniony: czy to mogłoby się zdarzyć, gdyby ludzie czuli cokolwiek? Gdyby cokolwiek rozumieli?

Stary człowiek z ogromnym, sinym nosem, z oczami ginącymi w fałdach zmęczonych powiek, z różańcem na szyi, z *Żywotami świętych* na półce – i z synem w domu wariatów, i z żoną w grobie, z bratem w grobie, z matką w grobie, wszyscy są już na cmentarzach, wszystkich przysypała ziemia, wszystkich prócz wrogów! Wrogowie żyją długo. Wrogom zawsze dobrze się wiedzie. Wróg nigdy nie wpada pod samochód, nie popełnia samobójstwa, nie zaraża się podczas epidemii, nie umiera ni stąd, ni zowąd we śnie, a jeżeli nawet – za rzadko! Za późno! I gdyby nie Tamten Świat, nie ta nadciągająca cicho i nieubłagane najwyższa, błogosławiona sprawiedliwość... Kochany Jezus wszystko mu wynagrodzi. Kochany, słodki Jezus. Jak błogie jest to uczucie. Spokojna dusza, czyste sumienie, niewzruszona opieka niebios. A co do t a m t y c h – milej zabawy w piekle!

Boli go serce. Dziwne byłoby, gdyby nie bolało. Biedne serce, tyle musiało wycierpieć, tyle się namęczyło... Zawsze go krzywdzono. A inni wygrywali, innych czczono, wielbiono, chwalono, zasypywano zaszczytami i pieniędzmi! Gdy on, największy po Szekspirze – co właściwie osiągnął? Po siedemdziesiątce pędził do Manchesteru, zachwycony, że chcą z nim tam zrobić wywiad radiowy... ładny mi wywiad! Audycja o współczesnych poetach hołdujących tradycji klasycznej: jak o dinozaurach! jak o mało znanej odmianie kangurów! I on jako jeden z TRZECH zaproszonych, z TRZECH przykładów tego literackiego dziwactwa: jak gdyby nawet na audycję jemu tylko poświęconą nie zasłużył, nawet na to! I cieszył się z tego – z największego sukcesu ostatnich lat, wielu lat; cieszył się, jakby był studentem, nie sie-

demdziesięcioletnim autorem tylu książek. I wypytywał wszystkich, czy słyszeli, wysyłał listy do znajomych, pytając, czy słyszeli. Kto by słuchał podobnej audycji w 1940? Nikt. Nikt nawet nie wiedział, że była. Ten spiszek, ten gigantyczny spiszek świata przeciwko niemu. Przez całe życie nim pomiatano, nikt się na nim nie poznał. Gdy takie zero jak Shaw zrobiło majątek. Gdy takie zera jak Eliot czy Auden są drukowane, recenzowane, wychwalane, sławne – ze swymi wstępniakami podzielonymi na wersy i udającymi poezję! Czymże jest całe to ich wierszoklectwo wobec jednej jego linijki, czymże ono jest wobec jego: *Nie ja, biada! nie teraz w każdym razie?* I nikt tego nie docenił! Nikt nie padł na kolana!

Wkrótce umrze. A ludzie się ucieszą.

Doświadczył tego. Dobrze wie, jak będzie. Przeżył już przecież swoją śmierć.

W chłodny, pochmurny dzień 1921 roku. Wyszedł z domu – mężczyzna po pięćdziesiątce, kiedyś najpiękniejszy w Anglii, teraz wciąż jeszcze przystojny (te oczy! ten blask najpiękniejszych oczu Imperium pod cieniem melonika!); wzdrygnął się na zimnym wietrze, poprawił szalik, podniósł kołnierz palta, zrobił jeszcze parę kroków w głąb londyńskiej ulicy – i nagle to zobaczył. Ten napis. ŚMIERĆ LORDA DOUGLASA. Sensacja dnia, krzycząca grubymi, czarnymi literami z kiosku pełnego gazet, mająca zwabić przechodniów, zmusić ich do kupienia tej jedynej, tej pierwszej gazety, która już wie, która o tym pisze... Kupił tę gazetę. Kupił *Evening News*. Oslaniając się od wiatru, od razu na ulicy przewracał kartki, szukając komentarza. Znalazł. *Zmarnowane życie*. Tym podsumowano jego rzekomy zgon. Ach, nie, tego już naprawdę za wiele!

Swoim wrogom życzyłby takiego nekrologu. Każdemu ze swych wrogów. I żeby przeczytali go żywi – jak on.

Oto dobiegł kresu – tak napisano – los świetny i nieszczęśliwy. Los człowieka, który przyszedł na świat pod najlepszymi auspicjami. Potomek jednego z najstarszych rodów Wielkiej Brytanii, arystokrata spokrewniony z tyłoma ludźmi z najściślejszej elity, olśniewająco zdolny, i do tego poeta... Wszystkiego mógł w życiu dokonać – a co zrobił? „Nic i gorzej niż nic”. Cóż, bądźmy miłośni. Zawsze trzeba być miłośnym, ale zwłaszcza wobec świeżo zmarłych. Miłosierdzie każe nam wiele wybaczyć temu biednemu, zagubionemu człowiekowi, który – przy takich możliwościach! – będzie zapewne pamiętany tylko przez skandale i awantury, które wywołał. Mimo to bądźmy miłośni. To dziedzictwo złej krwi. Zbyt wielu było w tej rodzinie degeneratów. Nie chcemy powiedzieć – tak napisano! – że w s z y s t k i e stare rodziny, ach, nie... ale co do Douglasów...

Zatrząsał się z wściekłości. I kto by się zatrząsał na jego miejscu?

W lepszych czasach wyzwałby autora tego świństwa na pojedynek. Niestety. Skoro nie żył w lepszych czasach, pozwól go do sądu.

Czyż nie został zniesławiony?

A redakcja *Evening News* oświadczyła, że przeprowadzi w sądzie dowód prawdy!

Przegrała proces. Zarobił na tym tysiąc funtów. Ale kiedy naprawdę zamknie oczy, kiedy nie będzie już mógł się bronić, procesować, odgrażać – podsumują go na dobre. Zaleją go takim samym morzem błota, w jakim Churchill – nie daj Boże! – utopi Anglię. Honor! Kto z nich wie, czym jest honor?

Dzwonek do drzwi.

Przyszedł jeden z tych młodych, których tak dobrze byłoby pozyskać. Nie młodzieniaszek, nie. Ale czymże są te lata około czterdziestki, jeśli nie najwspanialszym rozkwitem młodości? Ach, jaki on sam był wtedy młody!

Właśnie wszystko się dla niego kończyło. Zawaliło się. Całe życie. Wszystko. Ale mimo to – jaki był wtedy młody!

Przyszedł. Niestety, nie można go niczym poczęstować. Minęły czasy, kiedy lord Douglas podejmował gromady takich jak on przy długim stole zastawionym ciastkami z kremem, tartoletkami i konfiturami (a oni potem plotkowali o jego pedalskich nawykach! – ale co go to

obchodziło?). Jest wojna. Kończy się wojna. Tak trudno o jedzenie. Tym razem sam gość przyniósł to, co obiecał, czym się wkupił – tuzin jajek i butelkę brandy. Dobrze, trochę brandy dostanie. Ale nic więcej. Minęły czasy chwały.

Gość usiadł. Umoczył usta w kieliszku. I pyta:

– Może pamięta pan jeszcze coś, milordzie? Coś, czego pan nigdzie nie napisał, czego pan nikomu nie powiedział?

Nudziarz.

Ale dobrze, czemu nie? Można mu sprzedać ładną historyjkę. Będzie pierwszym, który ją poda do druku. I niech się cieszy!

– Owszem, przypomniałem sobie coś – mówi lord Douglas, zaciskając ręce na poręczach fotela i patrząc na gościa spod ciężkich fałd powiek. – Pewnego dnia Oscara napadli w Paryżu apasze.

Gość aż zastrzygł uszami. Jasne: to mu się przyda do książki. Może za następną taką historyjkę zapłaci dwiema butelkami brandy, nie jedną?

– Kiedy to było, milordzie? Po więzieniu?

– Ach, oczywiście. Biedny Oscar snuł się wtedy nocą po Paryżu, samotny i nieszczęśliwy... aż tu nagle napadli go apasze. Pieniądzy nie miał, więc chcieli mu zabrać zegarek. A on ich zagadał. Tak ich zagadał, że trafili razem do jakiejś knajpy. Opowiadał im fantastyczne historie... jak to on, zawsze umiał pięknie mówić, i to do ludzi na każdym poziomie... a oni słuchali jak najęci. Oczarował ich. I skończyło się na tym, że nie stracił zegarka, tylko zyskał kilka drinków!

– To mogło się zdarzyć tylko jemu! – woła młodociany skryba, notując pospiesznie.

– Cóż, może. Biedny Oscar zawsze był bardzo w y m o w n y.

I lord Douglas podnosi kieliszek do swego ogromnego nosa. Ścisza kieliszek w dłoni, żeby jej ciepłem pobudzić, wydobyć bukiet... Niestety! Tania, marna brandy! Nie do picia! Niewarta tak dobrej anegdoty!

Bądźmy sprawiedliwi. Trudno teraz o dobrą brandy. Nawet na czarnym rynku. Poprosi bratanka. On ma jakieś dojsčia. Ostatnio przysłał mu coś paskudnego, niech się zrehabilituje!

– Piszę właśnie rozdział o Wildzie w więzieniu – mówi skryba, przekonawszy się, że z anegdoty o paryskich apaszach nic już więcej nie wyciągnie (ach, ale on to ubarwi! widać to po nim! Zrobi z tego cacko! I na zdrowie). – I chciałbym... proszę mi wybaczyć, milordzie... chciałbym jeszcze raz pomówić o *De Profundis*.

Znowu to samo. Ręce lorda Douglasa ponownie puściły poręcze fotela. Zaciskają się na tłustej szyi, na kruchych kościach zdrajcy.

– Co mam powiedzieć?! Mówiłem to setki razy... w sądach i gdzie popadnie! Biedny Oscar był nienormalny, pisząc do mnie ten list. Wpadł w obłąd. To wpływ więzienia. Zarzucać mi, że nie dałem mu pić, kiedy był chory! – Stary człowiek trzęsie się z furii, czerwone plamy latają mu przed oczami. – A czemu m n i e o t o prosił? Był we własnym domu, mógł wezwać służbę! Czemu j a miałem mu dawać coś do picia? Też mi zarzut! Zarzut wariata! Czemu, no, czemu j a miałem przynosić mu wodę... czy lemoniadę? Czemu nie wezwał służby?

– To było w hotelu – przypomina ten smarkacz.

– Tak? Nie pamiętam. No, to we Florencji! We Florencji też był chory i chciał winogron! Czemu j a miałem kupować mu winogrona? Zgodzi się pan ze mną, że człowiek, który coś takiego pamięta latami, który to wypomina z więzienia jak zbrodnię... że taki człowiek jest obłąkany? Zgodzi się pan?!

– Ależ tak, lordzie Alfredzie – potakuje czym prędzej przekłety skryba. – Wilde był wobec pana niesprawiedliwy, wszyscy to wiedzą. Właśnie to chcę wykazać w mojej książce. Prosiłbym tylko...

– Człowiek chory zawsze kaprysi! – woła ostro, piskliwie starzec w tweedowym ubraniu. – Ciągłe czegoś chce... wody, lemoniady, winogron! Ale żeby aż tak pamiętać, że ktoś mu tego nie dał, żeby to wypominać... i jeszcze żądać robienia kopii z tych idiotycznych zarzutów, przepisywania ich na maszynie, przetrzymywania latami...

– To nie on, milordzie – protestuje szczeniak. – To intryga Roberta Rossa... którego też można zrozumieć. On kochał Wilde'a.

– Ross!

I duszność. Kolejny atak duszności. Kto tego nie zaznał...

Już. Minęło.

– Oscar był najlepszym, najmiłszym... – chrypi stary człowiek. – To był wspaniały facet. Ale więzienie... więzienie łamie ludzi. Sam byłem w więzieniu, sam wiem.

– Rozumiem, milordzie.

Ale on wciąż nie może się uspokoić.

– Zarzucać mi, że nie podałem mu szklanki wody! – warczy. – A czy nie mógł zadzwonić na służbę? Dlaczego j a miałem to robić?

– Oczywiście, milordzie. Nie trzeba się tak denerwować.

Czy on się denerwuje?

A zresztą – kto by się nie denerwował na jego miejscu?

– Zarzucać mi, że nie dałem mu lemoniady! – burczy jeszcze. – Dlaczego ja? Czy nie było służby?

– Ma pan rację, milordzie.

Niech go diabli. Mógłby już iść.

Nie idzie. Ciągłe głądzi o tamtym. O tamtym, którego już prawie pół wieku temu zalano niegaszonym wapnem. Jak wszyscy. Wszyscy tylko o nim. O tym drugorzędnym... o tym reklamiarzu... O kochanym, najdroższym Oscarze.

A ja?!

I stary człowiek – największy po Szekspirze! – zaczyna wreszcie, nie pytany, mówić o sobie. O swojej chorobie. Dusi go. O, tu dusi. To serce. Zastawki. Nie domykają się. Czasem tak strasznie dusi...

– Czemu pan ciągle myśli o chorobie, milordzie? Czemu nie poczyta pan Szekspira... żeby zapomnieć?

– Niech diabli wezmą Szekspira!!!

No, szczeniak spłoszył się. Jak przeżegnany Belzebub. Ucieka.

Gdyby wiedział, czym jest choroba... Gdyby wiedział, co to jest duszność... Czytać Szekspira, żeby zapomnieć! Śmieszne! Głupi, zarozumiały smarkacz!

On przecież umiera.

I znikąd litości.

I znikąd litości!

1900

A on był przecież inny. Był miłosierny. Tyle, że bez hipokryzji! I tego właśnie motłoch nie mógł mu wybaczyć.

Kiedy w 1900 przyszła depesza, natychmiast pojechał do Paryża. I zrobił piekło, że nie wezwano go wcześniej. Skąd mógł wiedzieć, że biedny Oscar naprawdę umiera?

Trumna zabita gwoździami. I biedny Oscar w środku.

Nie płakał, nie. Ale był na pogrzebie. To ich zresztą też nie rozbroiło. Nie darowali mu, że pojechał krytą dorożką, zamiast wlec się za trumną pieszo, w ulewnym deszczu, jak oni — hipokryci! Jak zalany łzami (a może po prostu deszczem?) Robbie Ross, ta postać z farsy, ta

zmija. Jak zwariowany paryski hotelarz z tym potwornym wieńcem – Oscar, taki esteta, umarłby ponownie, ze śmiechu, gdyby zobaczył tę tandetę, te ozdóbki, te koraliki, ten idiotyczny napis *Mojemu lokatorowi!* Nie przyszło im nawet do tępych głów, że po prostu nie chciał iść razem z nimi. Ze szlochającym zabojadem. I z Rossem, tym bydlakiem, który ochrzcił bezbronnego, konającego Oscara, tak, jak mógłby sobie ochrzcić pięć funtów barani-ny. Toż Oscar nigdy nie przyjąłby żadnej religii, nie, nie on! A już zwłaszcza tej, przez którą go skazano, tej, która zniszczyła jego życie. Ośmieszono go: zhańbiono i ośmieszono bezbronnego, konającego człowieka. Zresztą, gdyby przypadkiem ta przeklęta, żydowska religia była prawdziwa – Oscar jest z całą pewnością potępiony; czy o to właśnie chodziło Rossowi? O to, żeby spotkać ukochanego w piekle?

Szubrawiec.

Nie chciał iść za trumną Oscara obok tego szubrawca. Ani obok francuskiego mieszczaucha z jego komicznym wieńcem. Gardził nimi. Nawet się nie pożegnał, kiedy było po wszystkim. Ale uczył pamięć biednego Oscara tak, jak żaden z nich nie umiałby jej uczcić. Wierszem. Nawet dwoma!

„Niechaj zginę przeklęty i podły,
Jeśli nie miałbym pamiętać ciebie”.

Biedny, kochany Oscar!

Szalał za nim kiedyś. Naprawdę. Na początku szalał po prostu za biednym Oscarem. To Oscar wszystko zniszczył. Sam był sobie winien. Taki wspaniały, taki sławny, taki – imponujący. Czemu poddał mu się tak całkowicie, czemu zgadzał się na wszystko, czemu kochał go tak pokornie, z takim lękiem? Bogowie, jak on się bał czymkolwiek go urazić, ten biedny Oscar! Jak mało wiedział o życiu, jakim był dzieckiem – on, o tyle starszy; jak się wszystkim dziwił i wstydził się przyznać, że się dziwi! Jaki był na początku nieśmiały i pełen rezerwy. Przerażony potwornością własnego uczucia. Obiady, rozmowy o sztuce, i najłżejszego dotknięcia, i żadnego jednoznacznego słowa, nic, nic. Czysta przyjaźń. Aż do tego skandalu w Oxfordzie. Wystarczyło poprosić go o pomoc. Przyjechał natychmiast, opłacił szantażystów, wszystko załatwił. Blask bił od niego. Promieniał. Teraz już wiedział, kim jest lord Alfred Douglas: pedałem. A więc TO było możliwe, było możliwe! I zostali kochankami, a on, lord Douglas – no tak, szalał za nim. Być tak kochanym: to pochlebia. To nawet wzrusza. Dopóki Oscar zachował dystans, dopóki mówił o swej miłości nazbyt kwiecistymi, szumnymi, a więc także ironicznymi zdaniami, dopóki zachowywał resztki godności – szalał za nim. Tylko to psie spojrzenie. To niepokoiło. To było groźne. Ale skąd miał to wiedzieć, był za młody!

Mądry, wspaniały człowiek. Opiekun. Podpora. Człowiek, zauważany i rozpoznawany gdziekolwiek się pojawił. Te głowy, odwracające się w ich stronę, te szepty... Wielki, promienny mężczyzna z kwiatem w butonierce, cudownie pewny siebie, nonszalancki, zuchwały – i on przy nim, i te spojrzenia, które zatrzymywały się na nim, zgorszone i zachwycone... Najpiękniejszy w Anglii! To także Oscar zdołał narzucić innym: patrzcie na najpiękniejszego chłopca w Anglii! Lord Douglas wkraczał przy nim do restauracji, do teatru, do baru, do hotelu jak na scenę, jak na trybunę honorową w dniu świętowania zwycięstwa, szedł przy nim szczupły, złotowłosy, z wysoko podniesioną głową, z arogancko wygiętymi ustami, rzęsy mu trzepotały jak motyle – najpiękniejszy, wszyscy musieli to uznać, najpiękniejszy. Kochał tę chwilę. Ten szmer zgorszenia i zachwytu. Ten hołd. I kiedy Oscar – biedny Oscar – chciał tego uniknąć, kiedy poprosił go, żeby wchodzili bocznym wejściem, bez takiej ostentacji... zrobił scenę. Wstydziś się mnie? Więc koniec! Właśnie niech patrzą, niech widzą, niech mówią: *Idzie Oscar Wilde ze swoim dudusiem*, tego chcę! No tak, Oscar miał żonę, dzieci, przez tyle lat nie wiedział, kim jest naprawdę, kim się kiedyś stanie: tym gorzej. Niech wszyscy wiedzą! Oscar mu uległ. Zawsze mu ulegał. W końcu już nic z niego nie zostało poza

uległością, poza miłością: był jak pies, wystarczyło gwizdnąć. To – no cóż, to rozzuchwała. Więc jak daleko mogę się jeszcze posunąć? Nie było granic. Wtedy zaczyna się pogarda.

Nie, nie gardził Oscarem, kochał go!

Wtedy, kiedy szli razem szpalerem zgorzonych mieszczuchów.

Kiedy klaskano po premierach, kiedy Oscar wychodził na scenę – taki wspaniały! – i patrzył na niego. Zawsze to spojrzenie w jego stronę. Widzisz? Tak, kochał go wtedy.

I za jego miłość, za pewność jego miłości, za tę ostoję.

I za tę czułą opiekę, kiedy zachorował. Biedny Oscar całymi dniami siedział przy jego łóżku, czytał mu, rozmawiał z nim, rozweselał, pocieszał... On by tak nie potrafił. Nie próbował nawet udawać. Ja się nie nadaję na pielęgniarkę. Ludzie są różni. Przyjmij mnie takim, jakim jestem! Czy nie o to właśnie chodzi w miłości?

A Oscar zgadzał się na wszystko.

Jego nerwy, jego kaprysy, jego dąsy. Ta furia, która nim trzęsła, codziennie, po kilka razy dziennie, niczym epilepsja! Ludzie uciekali przed tym, nie akceptowali go takiego, nie kochali. Tylko on jeden, tylko Oscar. Przyjmij mnie takim, jaki jestem! Nie panuję nad sobą, z byle powodu wpadam w szał, krzyczę, chcę mordować, trzaskam drzwiami, odchodzę na zawsze i wracam po dwóch godzinach: będziesz mnie kochał właśnie takiego? Kochał. Nie mam pieniędzy, nie skończyłem studiów, pokłóciłem się ze wszystkimi, wszystkich do siebie zrazam, mam samych wrogów: i jak? Kochał. Tylko on jeden oprócz matki. Tylko on jeden.

Matka widziała wszystkie jego wady i uważała, że mimo nich jest wspaniały. Tamten tak samo. Tylko oni dwoje.

Każdy chce, żeby go kochano takim, jaki jest! I wszyscy kłamią, chcą się wydać lepsi: on nie kłamał i Oscar to docenił, on jeden. Bo Oscar też nie kłamał. Ach, to powszechne udawanie, ta krecia walka o miłość! Jeżeli nie będziesz się częściej mył – jeżeli nie przestaniesz pić czy palić – jeżeli nie ubierzesz się lepiej – jeżeli nie zdasz egzaminów – jeżeli do niczego nie dojdiesz w życiu – jeżeli zadasz się z kim innym – jeżeli będziesz zbyt wierny: byle czego wystarczy, żeby utracić czyjąś miłość. Jak strasznie każą o to walczyć, jak się starać, jak podtrzymywać ten nędzny płomynek! Gardził tym. Nie chciał. Był sobą. Oscar to docenił.

(A później okazało się, że nawet on. Że i on kłamał. Judasz. Zdrajca. Chwalił jego wiersze, żeby mu się przypodobać, naprawdę uważał go – jak wszyscy – za marnego wierszokletę: nie cenił tego, co w nim było najważniejsze! Co było nim samym! Jego wierszy. Och, tego nie można wybaczyć.)

Przepadał za Oscarem. Potem już nie. Przyszedł czas, kiedy nie mógł go znieść, kiedy uciekał przed nim jak przed pożarem – przed tą jego niezłomną, niezmienną, duszącą miłością. Nudził się z nim. Miał go dosyć. A jednak, kiedy w 1900 przyszła depesza...

Przyjechał do Paryża.

Ta trumna zabita gwoździami.

Tym lepiej. Nie chciał go widzieć martwego. Lepiej, żeby zamknięto go na wieki wieczne w tej skrzynce, bezbronno jak zawsze, bezbronno na zawsze, razem z tą jego upartą, nierozsądną, psią miłością. Co komu przyjdzie z oglądania trupa? Co komu przyjdzie z bycia przy konającym? Ale gdyby wezwano go wcześniej – wtedy, gdy biedny Oscar był jeszcze przytomny, a już skazany – może by nawet przyjechał. Może by z nim jeszcze porozmawiał. Gdyby ten łajdak Ross go uprzedził... Gdyby zapewnił, że sprawa jest naprawdę poważna, naprawdę beznadziejna... No, trudno.

Tylko to dziwne, to straszne uczucie.

Co się właściwie stało?

Ta trumna.

Ten deszcz, ten cmentarz.

Słońce zaszło!

Od dawna go nie kochał. Od dawna wszystko było skończone. A jednak – słońce zaszło, słońce zaszło! Słońce jego życia!

Geniusz

Był najpiękniejszym dzieckiem świata. Te ogromne, przejrzyste oczy, te długie rzęsy, te złote loki, te delikatne rysy, ta cera – jak porcelana! A potem był najpiękniejszym chłopcem, najpiękniejszym młodym mężczyzną. Do subtelności, czystości i słodczy doszła duma. Arogancja. Bezcelność. Wzgardliwe wygięcie ust, wyzywające spojrzenie. I dopełniły dzieła.

Cierpienie dopełniło dzieła. I geniusz. I samotność.

Samotność geniusza!

Co z tego, że nikt w nim geniusza nie uznawał? Poza matką i Oscarem – a Oscar kłamał. Inni nie kłamali. Wzruszali nad nim ramionami, śmiali się z jego pychy. Banalne wierszyki wyrostka, który nie chciał dorosnąć! Każdy uczeń pisze podobne. Gwiazdy i księżycy, klejnoty i słowiki, i własna niezwykłość (oto, jaki jestem! nigdy nie było duszy podobnej mojej!) – i nic więcej, wiekiuisty banał. Ani myśli, ani uczucia; nie ma o czym mówić. Tak twierdzili – i kpili z niego, kpili z niego. Z jego wierszy. Z ich treści i formy: nawet z formy! Jednym tylko – tak twierdzili – próbował się lord Douglas wznieść ponad poziom setek tysięcy chłopczków, w których pierwsze nocne polucje zbudziły na chwilę poetów: formą. Odrzucił z pogardą wszystkie nowe mody, nowe prądy: nie napisze niczego, co by nie było klasycznym sonetem, zgodnym ze świętymi regułami quattrocenta! Z tego także kpili: ha, to byłoby coś, gdyby lord Douglas w ogóle potrafił napisać sonet zgodny ze świętymi regułami quattrocenta. Gdyby w swej wyniosłej ignorancji nie popełniał błędów, od których znawcom włosy stawały na głowach. Mało tego, że nie zdołał nigdy zrozumieć, na czym polega obowiązkowa dialektyka sonetu (teza, antyteza i synteza), że powtarza beztrósko po kilka razy (grzech nad grzechy) te same słowa: na Boga, toż zdarza mu się nawet gubienie rytmu przez dodawanie lub ujmowanie głosek z kolejnych wersów, a o jakości rymów lepiej nie mówić! Tak twierdzili. Wzruszali nad nim ramionami. Nie śmiali się nawet, nie napadali na niego w gazetach, to już byłoby sukcesem, nie: milczeli o nim. Uśmiechali się drwiąco, słysząc w połączeniu z jego nazwiskiem to słowo: poeta. Cóż, ładny pedał zawsze załatwi sobie trochę reklamy, ale...

Sens jego życia. Treść jego życia. Zlekceważona. Wyśmiana. Nie doceniona.

Mimo to nigdy nie zwątpił we własny geniusz. Przez skromność nazywał siebie największym po Szekspirze: zdarzało mu się myśleć, że i Szekspira przewyższył. Te jego frazy, porównania, zwroty! *Przeliczone są dni w różańcu młodości!* W czymże to gorsze od szekspirowskiego: *Święta dlatego w takiej u nas cenie Że są tak rzadkie w zwykłych dni bezliku...* i tak dalej, i tak dalej? A to jego porównanie nocnego Londynu do kobiety ubranej w klejnoty okien i latarni, kobiety w tiarze, to pisanie o Londynie „ona”, czy to nie było wielkie? Czy sam Szekspir zdołałby nazwać lampy w oknach bladymi kwiatami, czy znalazłby to słowo, to jedyne, wstrząsające słowo – b l a d e? Blade kwiaty! Ach, nie doceniono go nigdy! Może docenią po śmierci. Dopiero po śmierci. Zrozumieją, kogo stracili! Smutne, ale taka jest kolej rzeczy. Za życia wybijają się pospolicie tandeciarze – jak biedny Oscar. Żeby ogarnąć ogrom geniuszu, potrzeba czasu. Ale to boli.

Uroda i geniusz. I cierpienie.

Czy łącząc w sobie to wszystko, mógł nie stać się tym, czym się stał w zaraniu życia? Pedałem, jak mówi motłoch? Nie mógł.

I nieprawda, że był oschły. Że niczego nie czuł. Napisze o tym kiedyś; napisze w kolejnym sonecie. Oto, co powinno znaleźć się na jego grobie:

*„Miłość jak lampa dniom jego królowała,
I życie jego było niczym jasny pokój...”*

O tak, pokój, w którym nie znajdzie się kąta ani szczeliny nie odwiedzanych przez łagodne złote promienie; pokój, kąpiący się w płynnym bursztynie; w płynnym bursztynie miłości! Tym było jego życie. Sam Szekspir nie zdołałby lepiej tego nazwać!

Siedzi pod budą dorożki, w rytmicznym dudnieniu deszczu; nogę założył na nogę, postukuje palcami o kolano. Kopyta uderzają o bruk, krople o napięte, czarne płótno. Inni wloką się pieszo za trumną. Nie; już przestali. Pedalska solidarność ma swoje granice. Już tylko dwóch ludzi zostało z małego żalobnego orszaku: Robbie Ross z zadartym nosem opuszczonym na kwintę, z opuchniętymi od deszczu, kłaskającymi przy każdym kroku butami, i paryski hotelarz, dźwigający swój idiotyczny wieniec. Lepiej, że tylko dwóch. Jak oni na niego patrzyli, ci szlachetni ludzie, opiekujący się chorym, konającym Oscarem, te półgłówki! Na niego, nędznego żigolaka, który go zgubił. Niech sobie myślą, co chcą: nie zniży się do wyjaśnień. Nie będzie im dowodził, że jest czysty jak łąka i bez winy. Wystarczy, że sam to wie.

Zgubił Oscara! On, który go bronił jak nikt na świecie. Przed własną matką i przed całym światem. Oczywiście łatwiej tego nie pamiętać. Jakie to wygodne!

Przed własną matką. Biedaczka umierała z niepokoju. Czytała *Doriana Graya*. Jakże się bała wpływu człowieka, zdolnego napisać takie paskudztwo, na swojego syna! A on tego człowieka bronił. Gloryfikował.

Matka pytała go z lękiem, czy Wilde jest d o b r y. A on śmiał się z tego pytania: po co dzielić ludzi na dobrych i złych? Wilde mówi, że książki nie mogą być dobre ani złe; mogą być tylko dobrze lub źle napisane. Tak samo jest z ludźmi. A Wilde jest d o b r z e n a p i s a n y. Czy to nie wystarcza? Ach, najdroższy Damusie, zrozum to! Spróbuj zrozumieć!

Przecież to nie ty i nie pastorki nauczyliście mnie, jak wspaniała, jak niewymownie piękną rzeczą może być dobroć; to on. Nie wy nauczyliście mnie, sceptyka i aroganta, wierzyć choć w m o ż l i w o ś ć istnienia Boga, w m o ż l i w o ś ć prawdziwości chrześcijaństwa; to on. To on mi wytłumaczył, jak wulgarnie i głupie jest kpienie z czegoś, czego się nie rozumie, tylko dlatego, właśnie dlatego, że się nie rozumie! Wyleczył mnie z tępego, krzykliwego ateizmu ignorantą. Zrozum, Bosie (tak powiedział): to jest mroczne. To tajemnica. Nie rozumiesz jej? Więc milcz, nie kpij! On to powiedział, Oscar, ten niemoralny Oscar, którym gardziła każda dziwka z East Endu; on, nie wzniośli duchowni i nie pobożna matka; znalazł słowa, które trafiły w sedno, które przekonały! Jego pogarda dla wulgarności i głupoty. Jego zasada: sądzić rzeczy po tym, co w nich najważniejsze. Ależ tak, Oscar jest dobry, Oscar jest dobry!

Prosty i naiwny jak dziecko. Nie skrzywdziłby żadnej żywej istoty. W książkach – ach, wiesz, mateczko, Damusie mój najmilszy, w książkach człowiek przesadza, próbuje szokować, gorszyć, zbijać z tropu; nie można oceniać moralności człowieka po tym, co napisał!

Dałem mu do przeczytania twój list, kipiący obelgami pod jego adresem. I moją odpowiedź: też obelżywą, gwałtowną, okrutną. Nie pozwolił mi wysłać tej odpowiedzi. On, tak zraniony! *Pomijając wszystko inne, Bosie, nikt nie ma prawa być niegrzecznym wobec własnej matki*, tak powiedział. Pisałaś o swojej nienawiści do tego grubego, zepsutego do szpiku kości, obrzydliwego pedała; pisałaś, że mogłabyś go zamordować; a on... Kto inny natychmiast skorzystałby z okazji, postarałby się nas rozdzielić; nie on. A przecież on też ma matkę, myślącą o mnie to samo, co ty o nim; zawsze tak jest; pomyśl i o tym, moja najmilsza, pomyśl i o tym! On też ma matkę!

Tak kiedyś pisał. Tak mówił.

Zbliżają się do cmentarza. Deszcz jest coraz gęstszy, błoto chlupocze pod nogami zapłakanego Rossa, pod nogami pociągającego nosem, zrozpaczonego żabojada; widzi ich przez okienko dorożki, widzi spojrzenia, które od czasu do czasu kierują się w stronę tej dorożki, w stronę okienka: samo potępienie. Co oni rozumieją?

Kochał go. Trudno w to uwierzyć, ale kochał go – tego tłustego, rozlazłego trupa w zabitej gwoździami trumnie.

Nie ma rzeczy, której bym dla niego nie zrobił – pisał do matki – a jeśli umrze przede mną, ja też nie będę chciał żyć dłużej. Od samej myśli o tym robi mi się czarno przed oczami!

O nie, teraz nie chce umierać. Nie szlocha. Serce mu się nie ściska z rozpacz. Jest mu dziwnie, jest przykro, ale to minie. Cóż, wypaliło się, skończyło się, przeszło. Jeszcze tylko przebrnąć przez ten pogrzeb, przez tę farsę, i wrócić do własnego życia. Nudzi się. Trudno, dotrwa jakoś do końca.

A taki był kiedyś dumny z tego związku, z tej miłości, z tego romansu! Kiedyś będą o nas pisać w książkach jako o idealnej parze kochanków. Jak o Szekspirze i panu W.H. Jak o Platonie i Sokratesie.

Co za bzdura! Nie uwierzyłby teraz, że mógł kiedykolwiek czuć – myśleć – coś podobnego. A przecież czuł, a przecież myślał.

– Po prostu chcę być szczęśliwy – mówił matce. – Mam dość tych naszych dramatów, tych rodzinnych tragedii. Tak by się chciało mieć trochę zwykłego, mieszczańskiego szczęścia! W związku z mężczyzną? A dlaczego nie? Tak.

Brama cmentarza.

Nie kochał go? Nie dbał o niego? A kto przez cały wieczór płakał w Paryżu, kiedy to Oscar miał dość, kiedy to Oscar nie mógł już tego wytrzymać i chciał go porzucić? Przez cały wieczór ściskał jego rękę, i płakał, i prosił: zacznijmy jeszcze raz! Spróbujmy jeszcze raz! Tak łatwo o tym zapomnieć. Sam zapomniał.

Uciekł przed procesem i więzieniem, zawiódł go, nie pisał do niego, miał innych, wycofał się, odszedł, prawda, to wszystko prawda; ale czy i wtedy go nie bronił?

Jego – albo homoseksualizmu, wszystko jedno. Czy to nie wszystko jedno?

Dobrze, nie chodziło mu już o Oscara. Już go nie kochał, już o niego nie dbał. Ale to, co pisano w związku z procesem – co pisała ta banda hipokrytów i świętoszków – och, to obrażało go osobiście, dźgało w samo serce! Musiał odpowiedzieć. Pisał, trzęsąc się z wściekłości, ledwo mógł utrzymać pióro w dygoczącej ręce – ale ta pewność jednocześnie, ta niezłomna pewność: teraz zrozumieją! Cały świat zrozumie. Na Jowisza, to ustawi sprawy raz na zawsze!

Ta banda hipokrytów, kamienująca homoseksualistę! A więc nie tylko Oscara, w ogóle mniejsza o Oscara, nie o niego teraz chodzi: kamienująca jego, lorda Douglasa! Tyle że lord Douglas może odpowiedzieć – i odpowie.

Gorszycie się? Potępiacie to, obłudnicy, kretyni? Więc posłuchajcie!

Wszystkie prześladowania, wszystkie świństwa, które zdołacie jeszcze wymyślić, tak samo nie zabijają tego instynktu, każącego mężczyźnie kochać innego mężczyznę, jak nie zabiły wiary w chrześcijańskich męczennikach. Prześladowajcie nas od tysiącleci! I co? Nic. Ale żeby wyciągnąć wnioski z tej klęski, trzeba odrobiny inteligencji – której wy nie macie.

W swojej tępotnie nadal wierzycie święcie, że to, co my robimy, jest gorsze od tego, co robicie wy. A niby dlaczego gorsze? Czy dlatego, że nie może sprowadzić na świat dzieci? Biednych, zhańbionych, cierpiących bez żadnej winy bękartów? I że nie może się łączyć z cudzołóstwem, kolejną krzywdą niewinnych? Zresztą dobrze, przyjmijmy za pewnik to oczywiste łgarstwo, że nigdy nie kopulujecie bez ślubu, wy, bando hipokrytów, że nie zdarza wam się płodzenie bez błogosławieństwa niebios, że nie dopuściliście przynigdy nawet myśli o zdradzie: i tak dowiodę wam, że jesteście gorsi od nas. Od nas, którymi gardzicie. Od nas, pedałów.

Wystarczy porównać tych dwóch, z których jeden, przy wtórce waszych oklasków, wpakował za kraty drugiego. Mój ojciec wpakował za kraty Oscara Wilde'a, mojego kochanka. Mój ojciec, niezłomny heteroseksualista, wpakował za kraty pedała, deprawującego jego syneczka. Więc porównajcie ich, proszę: porównajcie ich obu!

Ojciec przez dwanaście lat zadreślał moją matkę, złamał jej serce, zrujnował zdrowie, odebrał jej wszelką radość, potem się z nią rozwiódł... I co? Czy dał jej chociaż spokój? Skądże! Ten heteroseksualny drań, ten sadysta potrzebował ofiary. Nie przestał jej prześladować. Robił wszystko, co łajdak może wymyślić. Co kilka dni – tak, co kilka dni, latami! – dostawała listy pełne zniewag. Potrafił z wraskiem dobijać się do drzwi jej domu, gdy ona, zamknięta, konała ze strachu. Ograbił ją, okradł, zabrał jej każdego pensa, którego zdołał zabrać. Tylko prawo uratowało ją i dzieci od śmierci głodowej – prawo, i tak okrutne dla rozwiedzionych kobiet... A cóż robił, jak żył ten zacny, heteroseksualny obywatel? Szlajał się z dziwkami, z nimi tracił pieniądze, których odmawiał własnym dzieciom – o, dzieciom nie dał żadnego wsparcia, dzieci najchętniej widziałyby na marach! A potem ożenił się z siedemnastolatka i porzucił ją nazajutrz. I jeszcze wygłaszał odczyty, wynoszące pod niebiosa „wolną miłość” – ładna mi wolna miłość, po prostu poligamia i krzywda bezbronnych, krzywda dzieci, to przecież opatrzone tą wzniosłą nazwą! Z takiego właśnie człowieka, z takiej kanalii zrobiono bohatera, bo zaatakował homoseksualizm. Na Jowisza! Czy nigdy nie zrozumiecie, przekłeta hołota, czym naprawdę jest homoseksualizm?

Rodzajem życia seksualnego, który najmniej krzywdzi innych.

Właśnie tym!

Napisał to wszystko – a motłoch wzruszył ramionami i zarechotał.

Bo nieważne, co się pisze. Ważne, kto pisze. To napisał tchórz, łajdak i zigołak. Człowiek, krzywdzący innych wcale nie mniej niż jego pomyślony tatuś – tyle że odrzucający z góry poczucie winy, niedostępny poczuciu winy, przypinający sobie do głowy aureolę świętości... Morały lorda Douglasa! Lord Douglas w szacie moralisty! Ekstrawagancja godna śmiechu albo splunięcia. Więc śmiali się albo spluwali; za bardzo nim gardzili, żeby go wysłuchać; niczego nie zrozumieli!

Dół wykopany w ziemi. I trumna wpadająca w ten dół, trumna opuszczana wolno na linach, dosięgająca dna. Teraz jeszcze niegaszone wapno i koniec. Śladu po nim nie zostanie. Po biednym, żalonym Oscarze.

Rozwieje się w niepamięci. Rozpłynie się w nicości. Ta fala, którą było jego życie, już się spłaszczyła, wygładziła; na powierzchni wody pozostała tylko drobna zmarszczka. Za chwilę i jej nie będzie. Za chwilę wszyscy o niej zapomną – na wieki.

Lord Douglas przystanął nad tym dołem, nad tą ostatnią zmarszczką zakłócającą gładkość oceanu przed nadejściem kolejnej fali. Przystanął w bezpiecznej odległości od tamtych dwóch. Żabojad nic o nim nie wie, ale Ross – ach, Ross oczywiście uważa go za mordercę! Wierzy święcie, że biedny Oscar umarł przez niego! Nonsens. To nawet pochlebne, ale co za nonsens!

On, lord Douglas, nigdy nie skrzywdził biednego Oscara. I nie zniży się do tłumaczeń!

Ostatecznie człowiek nie jest przez całe życie sobą. Co jakiś czas staje się kim innym. Z zewnątrz to widać. Jeżeli się wtedy zdradzi, to już nie jest zdrada; jeżeli się wtedy porzuci, to już nie jest porzucenie. I trzeba być skończonym hipokrytą, żeby tego nie przyznać.

Jaki zmieniony był biedny Oscar, kiedy spotkali się po jego więzieniu!

Pospolity businessman z Dublina.

Zgolone włosy odrastały, ale na piękną fryzurę à la Neron trzeba by czekać miesiącami. I to marne ubranie. I te popsute zęby. W dodatku przygłuchł. To było najgorsze. Śmieszne. Ośmieszało ich obu. Oscar źle słyszał! Źle słyszał na jedno ucho, trzeba było o tym pamiętać, siadać z właściwej strony, mówić z właściwej strony: czyż to nie koszmar? Trudno sobie wyobrazić coś bardziej koszmarnego!

Hipokryci zgorszą się, oczywiście, że takie rzeczy mogą zabić nie tylko miłość (miłość skończyła się wcześniej), ale nawet przyjaźń. Nawet chłodną lojalność zwykłego znajomego.

Przyzwoitość dłużnika. A przecież potrafią zabić wszystko, wszystko! Kto chciałby widywać się z człowiekiem o tak zniszczonych zębach? Dobrze, biednego Oscara nie stać teraz na dentystę, ale czy to naprawdę moja wina?

On, Alfred Douglas, nigdy nie był hipokrytą.

I tak zrobił dla biednego Oscara aż zbyt wiele.

Poświęcił mu w końcu kilka tygodni własnego życia. Tak mu kazał honor. Jakże on rozkwitł przy nim, ten biedny Oscar! Jakże się cieszył, że są znowu razem przeciwko światu! A skoro r a z e m – to świat się nie liczy. Te chwile wrogości świata. Te chwile, kiedy ich rozpoznawano – jedyne dobre i dla niego, lorda Douglasa, to go bawiło, to nadawało wreszcie sprawie jakiś sens – kiedy ich wypraszano z restauracji, z hoteli, ich, dwóch osławionych zboczeńców... Ta chwila na Capri, kiedy maître d'hôtel odmówił im obsługi, a on, lord Douglas, uderzył go lekko laską po ramieniu, mówiąc niczym król do uszlachconego prostaka: *W imieniu Anglii, przyjacielu, moje gratulacje!* Jaki szczęśliwy był wtedy biedny Oscar. No, tak. Ale w ogóle – to się nie dawało wytrzymać, każdy by przyznał, że coś takiego nie da się wytrzymać. Każdy prócz szaleńców. Hipokryta mógłby udawać. On nie.

Nigdy nie był obłudny.

To szczęście, kiedy uciekał od biednego Oscara! To upojenie!

Oscar cierpiał przez dwa lata w więzieniu, on cierpiał przez kilka tygodni w willi w Neapolu, zmuszony do przebywania z Oscarem; są kwita.

Szczęście ucieczki. Szczęście odjazdu.

Odzyskana wolność.

Piękny, słoneczny dzień odzyskanej wolności. Morze i niebo, błękit morza i nieba, i lekki wietrzyk, i kilka puszystych obłoków: jakież to szczęście, w taki właśnie dzień odejść od kogoś, kogo się nie kocha! Kazać wynieść walizki. Wsiąść do dorożki. Odjechać. W nowe, wspaniałe życie, w nieskończoność!

Ta cudowna chwila, kiedy dorożka skręciła za róg ulicy, kiedy nie mógł już widzieć tego banalnego grubasa o zbyt krótkich, posiwiałych włosach i popsutych zębach, tego głuchawego nędzarza – i kiedy tamten nie mógł go już widzieć. Ta radość.

Dla nikogo nie zrobił więcej. Przez kilka tygodni wił się z nienawiści i wstrętu, uwięziony razem z nim w willi nad błękitnym morzem, czekając na coś, co pozwoli mu odejść bez winy i z honorem. Bo to honor go tam trzymał, honor nie pozwalał mu odejść od razu; naprawdę chodziło o honor!

Musiał skontaktować się z matką, dostać pieniądze, kupić bilet. To wymagało czasu. Ale ładniej powiedzieć, że wiązał go honor.

Gdyby Oscar n a p r a w d ę chciał, żebym został, to bym go nie opuścił! Ale przecież wcale tego nie chciał, zrozumiałem to, domyśliłem się tego; odszedłem z jego woli, za jego zgodą, dla jego dobra! Wyczułem to. Wyczułem, że mogę odejść nie sprawiając mu bólu i nie popełniając niełojalności: co za ulga! Uciec z honorem z więzienia!

Bo on, lord Douglas, też miał swoje więzienie, może i gorsze od Reading. Przez parę tygodni, nie przez dwa lata, ale co z tego? Być z kimś, kto nas kocha, a kogo my nie znosimy, być z kimś takim choć przez dzień, choć przez godzinę, to piekło. Wtedy wszystko jest usprawiedliwione. Taka niechęć usprawiedliwia wszystko.

Godzina po godzinie, dzień po dniu – a Oscar wciąż nie robił niczego, co mogłoby być pretekstem do zerwania. Lord Douglas tak czekał na pierwszy lepszy pretekst, wszystkiego by się uczeplił, byle co wykorzystał. Niestety. Oscar wciąż był słodki i miły, oddany i wierny, był prawdziwym dżentelmenem, najlepszym przyjacielem – tyle że ja miałem dosyć!!! Rozumiecie? Miałem go dosyć!

Gdyby choć był niemiły.

Gdyby dopuścił do jakiegokolwiek kłótni, gdyby odpowiedział gniewem na jakąkolwiek obelgę, na jakiegokolwiek mające go zranić zdanie. *Złapałbym każdą szansę!* Nic z tego. Nie

było sposobu, żeby przerzucić na niego winę. Wmówić jemu czy komukolwiek, że to on sprowokował zerwanie.

Pozostało tylko jedno. Stara sztuczka, równie dobra w życiu jednostek, co w życiu milionów, sztuczka stosowana przez polityków i przez kochanków, przez wszystkich, którzy są u władzy, niezawodna. Trzeba wytłumaczyć sobie, że wyrządzona przez nas krzywda jest w gruncie rzeczy błogosławieństwem dla krzywdzonego. Sobie, nie jemu: bo on i tak nie uwierzy.

A także, że to, co się stało, jest zgodne z najgłębszymi, choć nieświadomymi pragnieniami tego drugiego – tych drugich. Przecież tak naprawdę wcale mnie nie kochasz! Kiedyś zrozumiesz, że to było dla twojego dobra! Kiedyś mi podziękujesz!

Uwierzyc w to samemu. Nic prostszego.

Oscar nie chciał być z nim. Udawał. Może nawet sam się ludził, ale wcale tego nie chciał. Zapłatał się. Byłby wdzięczny, gdyby coś z zewnątrz uwolniło go z tej matni. Gdyby zrobił to sam lord Douglas. Gdyby odszedł pierwszy. Zatem lord Douglas odszedł pierwszy. I – na Jowisza! – nikt nie oddał nigdy biednemu Oscarowi większej przysługi, nikt nie postąpił wobec niego szlachetniej, niż lord Douglas, odchodząc od niego.

Wreszcie mogłem odejść z czystym sumieniem!

Matka go rozumie. Masz rację, Bosie, ten człowiek kiedyś jeszcze będzie ci za to wdzięczny. Inni nie rozumieją, inni potępiają, ale mniejsza o innych – o tę bandę hipokrytów!

Wyniesiono walizki. Wsiadł do dorożki. Dorożka ruszyła.

Był wolny.

Na resztę życia – wolny!

Co za błogość.

Trumnę zalano niegaszonym wapnem, przysypano ziemią. Można iść.

Nie ma się z kim żegnać.

Jeszcze raz wsiąść do dorożki. W deszczowy paryski dzień, nie w słoneczny neapolitański, ale jest prawie tak samo. Skwaszeni, zapłakani nudziarze, którzy czegoś od niego oczekiwali, którzy do czegoś próbowali go zmusić, zostają w tyle. Już ich nie widać.

Deszcz stuka w budę dorożki. Wtedy buda była opuszczona, świeciło słońce, wiał wietrzyk od morza, ale jest prawie tak samo. To uniesienie. Ten wzlot na najwyższą dostępną człowiekowi wysokość – wzlot w wolność. Jest wolny! Spełnił swój obowiązek, postąpił zgodnie z honorem, a teraz jest wolny. Nareszcie.

Dorożka skręciła za róg ulicy. Już jej nie zobaczą.

Naprawdę wolny!

Niczym jasny pokój

Przestał kochać. Porzucił. Zapomniał.

A potem zobaczył trumnę zabita gwoździami. I pomyślał, że słońce zaszło. Ale to trwało chwilę, to nie było ważne.

Wrócił do Szkocji. Do nowego kochanka. Do koni i psów, polowań i wyścigów, do życia. Życia, które było niczym jasny pokój. A mimo wszystko czasem, przez sekundę, przez mgnienie robiło się ciemno. Słońce zaszło!

Zapomniał. I wstydził się, że zapomina. To normalne, to ludzkie. Odchodzimy, porzucaamy. Nagle przychodzi depeza, list, albo słyszemy to po prostu od znajomych: ten ktoś umarł. Przychodzi żal, mija. Zaczynamy zapominać nawet o tym, że umarły żył kiedykolwiek. Czasem przyłapujemy sami siebie na tym, że już nie pamiętamy, że już zapomnieliśmy. Czujemy

wstyd. Jakby należało pamiętać. Potem mija i wstyd, i pamięć, i wszystko. Żyjemy jeszcze dwadzieścia lat, trzydzieści, pięćdziesiąt. Umarłych nie ma już ani na ziemi, ani w myślach, ani w pamięci: nigdzie.

Kto by uwierzył, że tu będzie inaczej?

Wszystko toczyło się normalnie. Żył, dobrze się bawił, zapominał i wstydział się tego. Więc napisał sonet o zapomnieniu. Jakże się nim sam wzruszył!

Tak, niestety, ścinającą falą
Wbrew mej stracie i nad nią czas idzie.
Smutku złoto płaci żużlem żalu,
Zapomnieniem zupełnym, o wstydzie.

Było oczy mi zamknąć żałobne,
Serce rozbić na krzyżu lat reszty,
Myśli skuć – zanim ptakom podobne
Po bezkresach mórz i lądów przeszły.

Ale jakże tu oprzeć się życiu?
I mnie światła kuszące wiodły.
Przez szła każdy – przebacz – i w użyciu,

Które miłość i wspomnienie grzebie,
Niechaj zginę przeklęty i podły,
Jeśli nie miałbym pamiętać ciebie.

Ale czy mógł przewidzieć, że będzie m u s i a ł pamiętać? Że nie pozwolą mu zapomnieć?

Skończył się Wielki Wiek. A on żył z Georgem Montagu, tym dyplomata, tym Judaszem. Judasz go rzucił. Więc nienawiść. Z tej nienawiści po raz pierwszy zadał się z kobietą. Z dziewczyną. Miłą dziewczyną, która też pisała wiersze i nazywała go księciem z bajki, z córką szacownego pułkownika. To mu dodało pewności siebie. Czemu nie miałby znaleźć sobie czegoś lepszego? Pojechał do Ameryki – po żonę. Po milionerkę. Czy nie jest wart milionerki, on, szkocki lord i najpiękniejszy mężczyzna Imperium Brytyjskiego? Sprzeda swój tytuł za dużo dolarów, jak inni, jak wszyscy! Przegrał. Nie udało mu się. O, gdybyż zadawał się z kimś mniej sławnym od biednego Oscara! Wszyscy wiedzieli. Te afronty, ten skandal. Który milioner wydałby córkę za pedała? Choćby i lorda? Uciekł do Anglii sponiewierany, upokorzony, zhańbiony. I pomyślał o tamtej. O swoim małym paziu. O naiwnej, głupiutkiej córce pułkownika. Też miała pieniądze. Nie tyle, ile by chciał, ale miała. A ona wychodziła właśnie za tego Judasza, za George'a Montagu! Akurat za niego! Rozbił to. Powiedział, że wzgardził milionerkami wijącymi się u jego nóg, że odesłał z kwitkiem amerykańskich królów żelaza, bawełny i szpulek do nici, błagających, by poślubił ich śliczne, obwieszane brylantami jedy-naczki – wzgardził przez nią i dla niej. Dla swego małego pazia. Uwierzyła. Uciekła z domu. Wyszła za niego. Ojciec w końcu wybaczył.

Teraz tamten z paryskiego cmentarza naprawdę został zapomniany. Lord Douglas stał się przyzwoitym człowiekiem.

Miał żonę. Spłodził syna. Polował, łowił ryby, jeździł konno. Przeklęty Oscar nie pozwalał mu poznać tego, co najlepsze w angielskim życiu: sportów. Ten intelektualista, ten leń, który najchętniej spędziłby życie w zadymionym pokoju, jedząc, pijąc, paląc, czytając, pisząc, gadając i kochając się: niczego więcej nie było mu trzeba. A przecież sens życia jest poza pokojem pełnym tytoniowego dymu! Odnalazł go. Odnalazł sens życia. Porządny człowiek.

Napisał cykl sonetów do żony. Kupił własne pismo, interesuje się polityką, poluje na lisy: tak, jest porządnym człowiekiem! Prawdziwym dżentelmenem!

Z jednym dziwactwem: przeszedł na katolicyzm. On, który tak potępiał Rossa za to, co wyczyniał z nieprzytomnym ciałem Oscara. Nadal go zresztą potępia. Nie można wciągać siłą do Kościoła człowieka konającego na zapalenie mózgu, nie można nazywać księzowskich harców nad umierającym nawróceniem. Ale on – cóż, przyjął katolicyzm. Absolutnie intelektualna konwersja! Przeczytał najnowsza encyklikę. Uznał, że to słuszne. Że po tej stronie jest prawda. Chodzi na msze. Modli się. Nosi przy sobie różaniec. Od dawna już żadnych chłopców. Porządny człowiek. Przystojny, dobrze sytuowany lord, wzorowy mąż i ojciec, wydawca *Academy* – kto rzuciłby w niego kamieniem?

No tak, istnieją maniacy. Fanatycy. Szaleńcy. Co dzieje się z człowiekiem, który zaczyna żyć tylko dla jednego celu, dla jednej sprawy, człowiekiem, dla którego nie istnieje reszta świata? Jak dla biednego Oscara nie istniało nic poza jego miłością. Jak dla Roberta Rossa nie istnieje nic poza jego miłością. Miłością do Oscara.

Ten nieszczęsny pokurcz, Robert Ross!

Całe życie wypełnione jednym: miłością do Oscara Wilde'a, żywego i umarłego. Wierną, cichą, psią miłością: nie docenianą? Docenianą? Najlepszy przyjaciel! Ten, który odwiedzał Oscara w więzieniu, czekał na niego przy wyjściu, zawiózł go do Francji, wywalczył dla niego pieniądze, przekazywał je, który czuwał przy nim w chorobie, który zamknął jego martwe oczy: jedyny wierny. I co dostał w zamian? Śmiechu warte: dostał spadek. Oscar zapisał mu w testamencie wszystko, co pozostawiał na tej ziemi: swoje papiery. Marne, bezwartościowe bazgroły drugorzędnego literata. Bo tym przecież był biedny Oscar, nie ma się co łudzić: drugorzędnym literatem, którego dotknęła infamia. A Ross, ten głupi pokurcz Ross zachowuje się, jak gdyby spotkał go najwyższy zaszczyt. Wmawia samemu sobie i wszystkim, którzy chcą go słuchać, że Oscar był największym z wielkich. Chwali się nawet – ależ tak, ten dureń uważa to za powód do chluby! – że był jego pierwszym mężczyzną. Swoją drogą, oczywista bzdura. Kłamstwo. Ale ten dureń uważa, że go to kłamstwo wywyższa! Że go unieśmiertelnia!

W 1905 roku Ross zdołał wydać książeczkę swego ukochanego nieboszczyka: jego długi list z więzienia, we własnym opracowaniu, po skrótach. Dał temu tytuł *De Profundis*. Dał własny wstęp. (Robbie Ross, najwierniejszy z wiernych!) I proszę: książeczka wywołuje sensację. Piszą o niej we wszystkich gazetach. Prasa opląkuje biednego, skrzywdzonego Wilde'a. Rehabilitacja!

Cała Anglia płacze nad człowiekiem, którego zamknęła w więzieniu, zaszczuła, ukamienowała na Clapham Junction. Nad tą jego nadzieją w więziennej celi. Nad tą jego naiwną wiarą, że jeszcze będzie szczęśliwy. *Bo i któż nie byłby szczęśliwy, mając wolność, kwiaty, książki i księżyc?* Wiadomo, co było potem! Trzy lata życia wygnańca i nędzarza, zbroczeni obłożonego anatema, wyrzucanego z hoteli i barów, znieważanego na każdym kroku, poniżanego na każdym kroku... a potem marna śmierć i grób zalany niegaszonym wapnem. Cała Anglia żałuje, że tak się stało. Cała Anglia przepasza. Skrzywdziliśmy go, skrzywdziliśmy! Ach, gdybyśmy poznali w porę ten jego list do przyjaciela, list do Roberta Rossa, gdybyśmy wiedzieli, jaka była naprawdę i co czuła ofiara... Ten list z za grobu wstrząsnął Imperium Brytyjskim. Imperium Brytyjskie wstydi się, bije się w piersi, żałuje. W pięć lat po śmierci biednego Oscara powraca sława. W pięć lat po śmierci biedny Oscar jest większy niż kiedykolwiek przedtem. Znow go drukują. Wystawiają jego sztuki. Piszą o nim. Zasługa Roberta Rossa, nie da się ukryć. Lord Douglas wysłał do niego nawet liścik z gratulacjami. Cóż, udało mu się. Taki triumf!

Wysłał liścik i przestał o tym myśleć.

Mijanie czasu. Dobrego, miłego czasu. Życie jak jasny pokój. Wysprzątnany, wywietrzony, pachnący czystością. Msza. Ruletka. Koń, wędka, kij golfowy. Żona, dziecko. Szary cylinder.

Redagowanie pisma, pisanie wierszy. Granie na wyścigach. Sprawy sądowe. Duma: nikt nie zeznaje w sądzie tak dobrze jak on, powiedziano mu to po pierwszej sprawie, w której był świadkiem, teraz powtarza tę rozkosz, ten sukces przy każdej okazji, pozywa do sądu kogo popadnie, zgłasza się na świadka, kiedy tylko to jest możliwe: odkrył swoje powołanie. Ta skupiona cisza, w której go słuchają. Waga każdego słowa. Pełne szacunku spojrzenie spod sędziowskiej peruki. On, tak niedoceniany, zepchnięty w cień, wyśmiewany przez miernoty, w sądzie jest wielki i ważny. Niezastąpiony. Może decydować o cudzym życiu, o kształcie tego życia, o sensie tego życia: jeżeli coś powie w skupionej, napiętej ciszy sali sądowej, jeżeli powie to tak a nie inaczej, jeżeli przekona przysięgłych, jeżeli zaimponuje sędziemu, czyjeś życie stanie się inne niż do tej pory. Ktoś poniesie klęskę. Ktoś wyjdzie na dumnia. Ktoś będzie zrujnowany. Albo na odwrót. Gdzie, jeśli nie w sądzie, można żyć pełnią życia? Z cudowną świadomością własnej siły, własnej władzy?

Miał rację, zmuszając wtedy Oscara do procesu. Ale Oscar się nie nadawał. To trzeba mieć we krwi. Ten talent, ten dar, ten geniusz.

Poranna msza. Sąd. Wyjazd. Kasyno. Wyścigi. Klub. Redakcja. Koń, wędka, kij golfowy. Czysta kartka papieru, na której powstaje wiersz. Życie jak pokój wypełniony płynnym bursztynem. Szczęście. O tak, jest szczęśliwym człowiekiem.

Naprawdę szczęśliwym.

Upiór

Mija rok po roku, a każdy rok kąpie się w płynnym bursztynie, każdy jest niczym jasny pokój: nie znajdzie się w nim nawet pyłka kurzu, nie znajdzie się cienia, każdy kąś lśni od czystości. Życie człowieka, który nie ma sobie nic do zarzucenia. Człowieka bez skazy. Nie rozstającego się z busolą honoru. Aż wreszcie przychodzi rok 1913: rok klęski. Ale kto mógłby to przeczuć, kto zdołałby zwietrzyć niebezpieczeństwo?

Kiedy rok się zaczyna, lord Douglas ma dwa procesy o oszczerstwo: w jednym jest pozywającym, w drugim pozwanym. Wygra oba, nie ma wątpliwości, cieszy się na to z góry. Pozwany w sprawie Custance kontra Douglas: teść-pułkownik ośmielił się po latach dąsów wydać mu otwartą wojnę i zostanie zniszczony, starty w proch. Owszem, lord Douglas lżył staro-pułkownika w piśmie i w słowie, w listach, depeşach i pocztówkach, w klubach, bankach, mieszkaniach znajomych... ale czy te zniewagi są naprawdę zniewagami? Na szczęście w sądzie można przeprowadzić dowód prawdy! Można dowieść, że pułkownik jest łajdakiem, łotrem, świnią: jeżeli ten bydlak sądził, że wolno mu wtrącać się do wychowania wnuka tylko z powodu jakichś tam podpisanych umów o dziedziczeniu, z powodu pieniędzy dawanych na jego utrzymanie, z jakiegokolwiek zresztą powodu, mylił się. Zasłużył na wszystkie obelgi, którymi został obrzucony; zasłużył, i na sali sądowej zostanie to dowiedzione ponad wszelką wątpliwość. Nie warto nawet o tym myśleć.

Druga sprawa, Douglas kontra Ransome: tę sam wytoczył.

Oto skutki rehabilitacji Wilde'a. Jakiś Arthur Ransome napisał i wydał jego biografię – z pomocą Rossa, z informacjami od Rossa, pod kierunkiem Rossa. Nie, nie pada tam jego nazwisko, nie ma słowa o lordzie Douglasie, ale każdy może go bez trudu rozpoznać w tym anonimowym młodym arystokracie bez grosza, w tym pedale, w tym nędzniku, histeryku, egoiście, który go zgubił. Oscar Wilde, ten wielki artysta, ten wspaniały człowiek, został omotany i zgubiony przez nędznika, którego kochał: wciągnięty przez niego w skandaliczny proces, skazany, zhańbiony, wygnany z ojczyzny, oszukany, porzucony, zabity równie pewnie, jak gdyby poderżnięto mu gardło – choć t a k i e zabójstwa nie są karalne... Nie są karalne, ale osądowi moralnemu podlegają. I jakiś tam Arthur Ransome dał swój – pożał się Boże – osąd moralny, a za każdym jego słowem widać cień Rossa, za każdym cytatem, każ-

dym faktem czai się Ross: tego nie można puścić płazem. Wolno pozwać tylko Ransome'a, ale prawdziwym pozwanym jest Ross. Zmierzą się nareszcie. Najwyższy czas na jawną walkę. Lord Douglas unicestwi Roberta Rossa, zmiecie go z powierzchni ziemi. Ta żydowska, pedalska żmija przestanie kasać! Wreszcie znalazł się pretekst.

Dobry początek roku. Radosne, rozkoszne podniecenie przed walką.

I nagle wszystko się wali.

Żona zabrała rzeczy i wróciła do ojca. B o i s i ę przebywać dłużej pod jednym dachem z kimś takim, jak on, lord Douglas: tak napisała. Boi się o własne życie, boi się o życie jedyne-go syna! Czyżby chodziło o te jego ataki furii? Ależ zawsze był taki! Cóż, Olive zносиła to – jak twierdzi – aż nazbyt długo; dłużej nie może. Teraz już zgodnie wystąpili oboje – dziadek i matka – o opiekę nad dzieckiem. A z niego robią wariata, człowieka niepoczytalnego, człowieka niegodnego zaufania. Muszą wyrwać wrażliwego, jedenastoletniego chłopca spod tak fatalnego wpływu. Dzieciak i tak jest z nimi, ale chcą mieć wyrok sądowy, chcą to usankcjonować. Cóż, to z pewnością wpłynie na wynik procesu Custance kontra Douglas. Własna żona stała się jego oskarżycielką! Szale wagi poszły w ruch, jego szala skoczyła do góry, atuty są po drugiej stronie. A to dopiero początek. Rok ma zaledwie dwa tygodnie.

Ten czarny rok. Rok 1913.

Jeszcze nie zdołał przyjąć do wiadomości tego pierwszego ciosu, a już zatrzęsł się pod następnym.

Ogłoszono jego bankructwo.

Fakt, zawsze miał długi, zawsze przesuwiał terminy płatności i nie płacił, zawsze kręcił w sprawach finansowych, taki już był. Ale żeby doszło aż do tego, teraz?

Oczywiście, że teraz. Zdjęto znad niego parasol ochronny bogatego teścia. Teść nie będzie odpowiadał za jego długi. A zatem...

Bankrut!

Natychmiast, automatycznie – jakby tylko na to czekano – wykluczają go z klubu. Z klubu Białych, z którego był tak dumny: jakże mu zazdrościł biedny Oscar, nędzny syn irlandzkiego lekarza, jakie wymówki mu robił, kiedy zostawiał go samego wieczorami, udając się do swego KLUBU! Klubu, który nigdy nie przyjąłby parweniusza – takiego, jak biedny Oscar. A teraz drzwi klubu zamknęły się przed nim na zawsze. Nie jest już człowiekiem honoru. Wykluczony.

I to jeszcze nie koniec.

Tego samego dnia przynoszą mu grubą kopertę. Dokumenty, wspierające obronę tej małej kanalii, Ransome'a, i tej wielkiej kanalii, Rossa. Ich d o w o d y! Ma prawo poznać je przed rozprawą. Nie chce nawet otwierać tej koperty. Trzęsie się cały po tym, co go spotkało. Wykluczony z Klubu Białych! A więc jest teraz pariasem?

Nie chce otwierać tej koperty. Nie dzisiaj.

Otwiera ją jednak.

W środku jest list. Kopia listu.

Na początek powiem ci, że straszliwie siebie potępiam. Kiedy siedzę w tej ciemnej celi, w łachmanach, zhańbiony i złamany, potępiam siebie.

List sprzed piętnastu lat. List od Oscara, z więzienia. List, którego nigdy nie dostał. Z którego najniewinniejszych fragmentów – opisów więzienia, opisów męki, opisów nadziei – Robert Ross wykroił swoje *De Profundis*. A on Rossowi gratulował! Och, mógł się domyślić. Powiedziano mu, że Oscar pisze do niego. Oczywiście, nie mógł tego wysłać z Reading, a po wyjściu na wolność już nie chciał. Pogodzili się przecież. A potem, kiedy lord Douglas ostatecznie go porzucił...

Pewnie nie wierzył wtedy, żeby list mógł mu cokolwiek dać. Żeby mógł mu pomóc. Nie zniszczył go, nic więcej. Zostawił go Rossowi – ten list, długi jak książka. Ten list pisany w celi poranionymi, poznaczonymi odciskami łapami więźnia. Ten skowyt niekochanego, sko-

wyt porzuconego, który już się nawet nie wstydzi, że nie jest kochany, że został porzucony; który przyjął swój los. Jak wyjący pies. Jak pies, wyrzucony z domu, który wraca kulawy, wychudzony, zapchlony, przez wszystkich obrzucany kamieniami, żeby wyc pod twoim oknem. Już bez nadziei, że zostanie wpuszczony do środka. Już prawie bez nadziei. Ale nie zdarza się przecież, żeby człowiek usłyszał to wycie dopiero po piętnastu latach!

Upiór wyrwał sobie kołek osinowy z serca i powstał z grobu.

Przekopał się przez warstwę niegaszonego wapna.

Na początek powiem ci, że straszliwie siebie potępiam...

Lord Douglas czyta te słowa. W swoim pustym, londyńskim mieszkaniu, ograbionym przez żonę, przez tę idiotkę. Czterdziestoletni, czyta list do chłopca z brzoskwinową cerą i złotymi lokami, najpiękniejszego w Anglii. Bankrut, katolik, szacowny dżentelmen, pieniacz, ruina. Czyta.

Czyta list od człowieka, gardzącego sobą za związek z nim, lordem Douglasem. Z tym kiepskim artystą. Ze złym uczniem, marnym studentem, marnym poetą...

Marnym poetą!

Więc tak właśnie tamten o nim myślał. I kochał go mimo to. I starał się nigdy nie zranić jego bezsensownej (tak myślał) pychy. Kłamał, żeby mu się przypodobać. Kłamał, udając, że są sobie równi (Wilde, ta miernota!) – i nie wątpiąc, że o równości nie ma mowy, że go nie-skończenie przewyższa (Wilde, to zero!). Uważał go za kiepskiego artystę, za marnego poetę, za beztalencie. I to wystarczy. Dalszy ciąg listu nie ma znaczenia. Nawet ten, który kochał lorda Douglasa bardziej niż jakikolwiek człowiek na świecie, nie cenił jego wierszy! Nigdy ich nie cenił!

Kłamał, bo go kochał.

Przez cały czas kłamał.

Tyle zachwyków nad każdym sonetem lorda Douglasa! Tyle długich rozmów. Każdy wers analizowali razem i nad każdym tamten rozplątywał się z podziwu. Geniusz. Nowy Szekspir. Cóż, Wilde był człowiekiem delikatnym, człowiekiem dobrze wychowanym, nikomu nie powiedziałby złego słowa, a już zwłaszcza komuś, kogo kochał, ale jednak... Ostatecznie, czy lord Douglas zadawałby się z tym grubasem ufryzowanym à la Neron, z tym efekciarzem i karierowiczem, gdyby nie pewność, że on jeden ceni go tak, jak na to zasługuje? Że przepowiada wspaniałą przyszłość tym jego tomikom, wydawanym niezmiennie w nakładzie tysiąca egzemplarzy? Ile toastów wznosili za jego, lorda Douglasa, przyszłą sławę, za jego nieśmiertelność! I to wszystko było kłamstwem.

Marny poeta.

Tak go widział. Kochał wbrew sobie. Bez podziwu, bez uwielbienia. Za kolor oczu, za wygięcie rzęs, za uśmiech; za gładkość skóry, za dotyk palców; za pozory! Pragnienie jego ciała, jego obecności, jego twarzy, głosu, spojrzenia nazwał miłością; pragnienie tak straszne, że nie było już życia bez jego spełnienia; namiętność bez szacunku, namiętność podszytą pogardą nazwał miłością i umarł przez nią. Jak umiera się z powodu zarażonej, obłąkanej dziwki. Bo takie było przeznaczenie. Bo taki się wyciągnęło los, na swoje nieszczęście. Ale nawet konając wie się, że to tylko zarażona, obłąkana dziwka. Że to nieszczęście, nie miłość. Tym był dla Wilde'a: jego nieszczęściem. Nie miłością, nieszczęściem!

Cóż, nie dbał o tę jego parszywą miłość. Ale wierzył w nią. Aż do tej chwili – wierzył.

Marny poeta!

Reszta nie ma znaczenia. Resztę wystarczy przekartkować. Te podłe żale. Wciągnąłeś mnie w ten proces, zgubiłeś, pokłóciłeś mnie ze wszystkimi i śmiałeś się z tego, raz chciałeś mnie zamordować, szklanki wody w chorobie, wymysły, że śmiałem zachorować, ponizaleś mnie, pomiataleś mną, takie okrucieństwo, dałem ci moje życie, wszystko ci wybaczyłem, na wszystko się godziłem, a ty... Stek bzdur! Ani odrobiny godności! Nie pisze się czegoś takiego. Trzeba nie mieć wstydu.

I to wszystko o więzieniu. I o pragnieniu wolności. Te bzdury o kwiatach, książkach, księżycu, bzdury znane już wszystkim z książki wydanej przez Rossa!

A on Rossowi gratulował.

A Ross śmiał się w duchu i czekał na swoją chwilę. Na zemstę.

I wiedział – przez cały czas wiedział – że nim, lordem Douglasem, gardzono. Miał dowody tej pogardy. Człowiek, którego Ross kochał, kochał innego, ale gardził tym innym. Rossa nie kochał, ale go szanował. Szanował, lubił, cenił. Czy to nie więcej warte?

Oczywiście, że więcej.

Ta żmija Ross. Nie docenił go, zlekceważył żmiję, i oto skutki. Ross zawsze był taki miły, taki serdeczny! On, lord Douglas, nienawidził go, oczywiście: jak wszystkich. Cztery lata temu okazał mu to wreszcie, okazał to tak, żeby nawet ta głupia żmija musiała zrozumieć. Ross próbował drukować jakieś artykuły w *Academy*. Wspólnik Rossa nie znośli, żona go nie znosiła, oboje nalegali: zerwij z nim wreszcie! A Ross – Żyd i parweniusz – nie rozumiał, co oznacza to, że lorda Douglasa nigdy nie ma dla niego w domu ani w redakcji, że nigdy nie może go zastać, że nie dostaje odpowiedzi na swoje listy: nie rozumiał tego, co człowiek honoru, szlachcic, rozumiałby od razu! Pisał do niego. Prosił go – grzecznie, miło – żeby wyjaśnił, o co właściwie chodzi, co się stało. To przecież jakieś nieporozumienie! Zupełnie jak Oscar. Parweniusze, plebs. Nieznośni natręci. Nie wystarcza im oczywisty fakt, że ktoś ich unika, że ktoś nie chce ich widzieć, pytają, co się stało, dopatrują się w tym jakichś nieznanym sobie faktów, może czyjejs intrygi, może obmowy; chcą, żeby im powiedzieć jasno, o co właściwie chodzi! Dobrze. Lord Douglas odpowiedział, o co chodzi. *Nie chcę dłużej znać takich osób jak ty, zaangażowanych w czynne praktykowanie i propagowanie wszelkich brudów, od socjalizmu do sodomii!* Napisał to i czekał na proces o zniesławienie, cieszył się na ten proces... Na próżno. Ross śmiał się tylko. Śmiał się, pokazując ten list ludziom. Mówił: *I żeby coś takiego napisał właśnie Bosie, właśnie on!* – i śmiał się. Teraz pewnie śmieje się jeszcze głośniej.

Jeżeli lord Douglas nie wycofa oskarżenia przeciw Ransome'owi, cały świat pozna te potworne słowa. Zostanie to przeczytane na sali sądowej. Znajdzie się w dziennikach. „Mamy poeta”!

Wszyscy będą wiedzieć.

Więc niech wiedzą, do diabła!

Będzie walczył.

Wbije upiowski kołek osinowy w serce, i zaleje go nową warstwą niegaszonego wapna, i nigdy już nie pozwoli mu powstać. Podejmie walkę z upiorem. Pokona go i unicestwi. A potem...

Ale czy warto w ogóle myśleć o tym, co będzie potem? Jakie to ma znaczenie?

Ręce, które unoszą się nad stołem. Ręce, które się trzęsą. Gotowe zmiażdżyć tłustą szyję, kruche kości zdrajcy. Ich chrzęst pod palcami. I ciemne plamy w oczach. Będzie walczył z upiorem. Z samym diabłem będzie walczył – o honor. O swój honor! O duszę!

Myśleli, że się złęknie? Że cokolwiek może skłonić go do wycofania się z walki przed zwycięstwem? Nie jego!

Będzie walczył.

Proces

Napisz do mnie! Napisz, dlaczego nigdy nie napisałeś!

Przeczytano to wreszcie. Przeczytano oschłym, monotonnym głosem w ciszy sali sądowej i odłożono ten plik kartek: list upiora. List sprzed piętnastu lat. C.3.3., więzień Reading, wykrzyczał w końcu swoje błagania, wyznania, skargi, zniewagi i umilkł. Ale teraz już nigdy nie będzie ciszy, nigdy nie będzie milczenia. Echo odbija się od ścian sali, od murów Londynu, od brzegów Anglii. Upiór osiągnął tym listem więcej, niż mógł sobie wyobrazić w najśmielszych marzeniach – tam, w celi więziennej. Na spacerunku. Przy darciu powrozów zakrwa-

wionymi palcami o połamanych paznokciach. Po piętnastu latach zmiądzzył tego, przez którego sam został zmiądzony. Zwyciężył.

Robert Ross siedzi z twarzą bez wyrazu. Nie okazuje triumfu. Robert Ross, jeszcze jeden odtracony, jeszcze jeden niekochany. Zemścił się wreszcie. Obaj się zemścili. Ach, nie są tak bezbronni, za jakich się podają – szaleńcy!

Lord Douglas nie ma już szans. Nie po tym liście.

Wszystko przez miłość. Przez tych szaleńców, którzy kochają. Których życie od pewnego dnia – i już do końca – staje się tylko tym jednym, miłością. Przegrywają, muszą przegrać. Ale mogą wciągnąć innych w swoją klęskę. Jak Wilde, łagodny i pokorny Wilde, który żebrał i płakał, który umarł z miłości – żeby po latach wstać z grobu, upiór, widmo, już nie łagodny, już nie pokorny, straszny. I dzięki komu powrócił? Jeden szaleniec wywłókł spod ziemi i wapna na paryskim cmentarzu drugiego szaleńca. Sarabanda dwóch upiorów, żywego i martwego!

I on pośrodku. Wciągnięty w ich taniec, obracany na prawo i lewo jak kukła: on, człowiek, który nie kochał, nie szalał. Który nie umiał myśleć o kim innym bardziej niż o sobie. Normalny człowiek!

Wilde kochał lorda Douglasa. Robert Ross kochał Wilde'a. I do czego to doprowadziło?

Ogłaszają wyrok.

Przeprowadzono dowód prawdy. Lord Alfred Douglas zdradził, oszukał, porzucił, zawiódł i zgubił Oscara Wilde'a, swego homoseksualnego kochanka, i nie ma prawa skarżyć o zniesławienie tych, którzy to powiedzą, napiszą, wydrukują. Przegrał proces.

Wychodzi z sądu samotnie. Ludzie odwracają się od niego. A Robert Ross przyjmuje gratulacje. Teraz pojedzie na moskiewską premierę *Salome*: on, jedyny przyjaciel autora, opiekun jego osieroconych dzieci, najwierniejszy z wiernych! Ludziom na jego widok wilgotnieją oczy. Dobry, szlachetny Ross!

Niesprawiedliwość.

Wieczna niesprawiedliwość.

Oto społeczeństwo!

Nienawidząc lorda Douglasa, społeczeństwo oczyszcza się ze swoich grzechów. Ono Wilde'a s k r z y w d z i ł o, tylko skrzywdziło; zgubił go lord Douglas. Doprawdy nie jest winą społeczeństwa, jego praw, jego przesądów, jego więzień, że ktoś kogoś nie kochał, że ktoś kogoś oszukał, że ktoś z kimś zerwał. Wszyscy to robimy. Ale czasem przychodzi kara. Wszyscy jesteśmy grzeszni, ale t o b i e twojego grzechu nie darujemy. Miliony zdradzają przyjaciół, ale Judasz płaci za te miliony.

Jak z tym walczyć?

Lord Douglas wychodzi z sądu samotnie. Z wysoko podniesioną głową, z pogardliwie wygiętymi ustami. Reszta jego życia będzie zemstą. Tyle wie. Zniszczy ich obu. Tę kanalię Wilde'a (nigdy, nigdy więcej nie nazwie go biednym Oscarem!) i tę kanalię Rossa. Obaj mu zapłacą – za wszystko. Jeden po śmierci, drugi za życia.

W pięć dni później przegrywa także sprawę Custance kontra Douglas. Tuż potem traci prawo do własnego syna. Mniejsza o to. Liczy się tylko tamto, tylko zemsta.

Zemsta

Ale jak? Jak można się zemścić? Najboleśniej, najskuteczniej, najszybciej?

Jedyny sojusznik, współwydawca *Academy*, Crosland, ma gotową receptę: trzeba zniszczyć kult Wilde'a. Zburzyć jego kapliczkę, wytłuc jego apostołów. Ale apostołów zostawmy sobie na drugie danie. Najpierw trzeba odpowiedzieć temu głosowi zza grobu, a odpowiedzieć może tylko lord Douglas. I to zaraz. Musi napisać książkę. Pięćset funtów zaliczki, ratunek finansowy! Ale książkę? Prozą? Nie potrafi! To nic nie szkodzi. Książkę napisze

Crosland, on ją tylko przejrzy i skoryguje. *Oscar Wilde i ja* – czy to nie jest tytuł bestselleru? Zemsta, na której można zrobić majątek, nie ma nic lepszego! Książka pokaże Wilde'a jako świnię i łajdaka, jako brudne, podłe, kłamliwe bydło, a jego, lorda Douglasa, jako świętego męczennika. O, tak. To właśnie trzeba zrobić. Byle szybko.

Książka jest gotowa po dwóch miesiącach. Ukazuje się błyskawicznie – i wywołuje śmiech. Cała Anglia huczy od śmiechu.

Ach, a więc lord Douglas nigdy nie był pedałem? Nie miał pojęcia o paskudnych, zбочonych gustach swego przyjaciela, Wilde'a? Nawet się ich nie domyślał w swojej niewinności? Łączyła ich przyjaźń czysta jak lza – a potem, dopiero potem lord Douglas dowiedział się, kim był człowiek, któremu naiwnie zaufał. Pederastą. Odrażającym zбочeńcem. I nie tylko tym: także podłym, podstępny intrygantem gotowym na wszystko, byle zgubić młodego poetę, szczerze gardzącego jego grzesznymi gustami. O, gdyby lord Douglas wiedział wcześniej, kim był Wilde! Czy kara za naiwność musi być aż tak wielka? Czy kara za czystość musi trwać w nieskończoność?

Śmiech. Wszyscy się śmieją.

Ale może choć niektórzy uwierzą?

Crosland bombarduje Rossa obelżywymi listami. Robić świętego z brudnego sodomity? O, nie miną pana konsekwencje tego podłego czynu! Ross milczy. A więc takimi samymi listami zasypują obaj – Crosland i Douglas – sądy, premiera, prokuratora generalnego, ministrów, Scotland Yard, redakcje gazet... Wszyscy milczą. Jakby się zmówili! Brudny sodomita Ross robi świętego ze swego kompana, brudnego sodomity Wilde'a, a wy co? Będziecie milczeć? Milczą.

Lord Douglas drukuje dwa pamflety na Rossa, tego deprawatora niewinnych chłopców, szantażystę, socjalistę, notorycznego sodomitę... Milczenie. Ross jest coraz bardziej lubiany, on – coraz bardziej znieawidzony; to wszystko.

Od dawna już policja nie reaguje na donosy przeciwko pederastom. Nie ma aresztowań. Chyba że z oskarżenia prywatnego i z wyroku sądu. Paragraf pozostał, a jakże – ale na papierze. Wstyd, powszechny wstyd po sprawie Wilde'a zadecydował. Kolejny sukces Rossa z jego *De Profundis*, kolejny sukces tego skowytu z więzienia! Nie rozpatruje się już takich donosów. Nie sadza się za to. Barbarzyńskie, średniowieczne prawo, hańba Anglii!

Lord Douglas – człowiek c z y s t y, człowiek p o r z ą d n y, katolik nie ruszający się nigdzie bez różańca – nie ma się z czego cieszyć. Wszyscy pederaste świata powinni gnić po więzieniach, wszyscy co do jednego: mówi to od lat. Mówi to na każdym kroku. W końcu sam nie jest już pederastą, jego to nie dotyczy. I zawsze odpowiadają mu dziwne uśmieški, zakłopotane miny, nagłe milczenia. Jak gdyby nawrócony grzesznik nie miał więcej praw do wzniesienia przeciw grzechowi płomiennego miecza niż ktokolwiek inny! Dobrze, że ma przy sobie Croslanda. Są zgodni. Pijaków, cudzoziemców, zбочeńców, Żydów, całą tę bandę należy wreszcie zamknąć i wyrzucić klucz. Ta przekłeta tolerancja wobec nich zgubi Anglię. Czy nikt tego wreszcie nie zrozumie? Nie rozumieją. Nie słuchają. Chichoczą.

Dobrze.

Skoro pedałów karze się tylko z oskarżenia prywatnego – postaramy się o to, żeby Rossa zamknięto, osądzono i skazano z oskarżenia prywatnego. Wszystko da się załatwić.

Sekretarz Rossa, Millard, odwiedził w areszcie chłopca siedzącego za „natarczywość seksualną”, Garratta. Crosland i Douglas docierają do niego. Czy oskarży Rossa jako zбочonego uwodziciela? Ach, jeśli go tylko stąd wyciągną, oskarży, kogo zechcą! W porządku. Wszystko da się załatwić. Wystarczy wyłożyć trochę gotówki. Wyciągnęli go. Chłopak podpisuje w Scotland Yardzie oświadczenie, oskarżające Rossa o deprawację nieletnich. Wygrana!

Ale Scotland Yard nie podejmuje żadnych kroków. O, to już nie są czasy Wilde'a – ani królowej Wiktorii! A policja ma ważniejsze zadania niż grzebanie się w cudzych łózkach.

Gorzej. Garratt, to małe ladaco, sypie. Wyznaje wszystko. Mówi, że go przekupiono. Że go nakłoniono do fałszywego oskarżenia. Crosland zostaje aresztowany. Douglasowi raz jeszcze – jak wtedy, jak w czasach Wilde’a – udaje się uciec do Francji. Tak samo jak wtedy patrzy na wszystko z bezpiecznej odległości. Oddzielony Kanałem La Manche od policji, sądów i więzień. No i co? Czy zwycięży sprawiedliwość?

Skądże.

Oskarżono ich obu. Croslanda i jego. Zdaje się, że naprawdę obaj strzelili kulą w płot. Żaden pedał nie sypia ze wszystkimi innymi pedałami na ziemi, Ross w ogóle nie znał tego małego łajdaczka, którego pozyskali i przekupili, mały łajdaczek nie rozpoznał go na sali sądowej, za to opisał dokładnie machinacje Croslanda i Douglasa, ich namowy, by świadczył fałszywie. Przekłęta, brudna bestia!

Nie ma sprawiedliwości.

Nie na tej ziemi.

Tylko Bóg jest po stronie lorda Douglasa. Ale Bóg milczy. Bóg ma własne plany.

Arcyksięcia austriackiego zastrzelono w Sarajewie.

Gorące dni.

Wojna.

Jeden kraj wypowiada wojnę drugiemu, drugi trzeciemu, trzeci pierwszemu... Wojna światowa! Europa w ogniu!

Jakie to ma znaczenie?

Czy wojna światowa pomoże wykończyć tę parszywą kanalię, Rossa?

Ze wszystkich plakatów patrzy lord Kitchener, ten groźny olbrzym obwieszony orderami, ten stary znajomy, z wycelowanym w przechodnia – niczym rewolwer – palcem: ojczyzna cię potrzebuje! Co teraz nakazuje honor?

Lord Douglas pisze do lorda Kitchenera, starego znajomego. Aby pomóc ojczyźnie, wstąpi do francuskiej Legii Cudzoziemskiej! Zgłasza się na ochotnika! I nie czeka na odpowiedź. Czym prędzej wyjeżdża z ogarniętej wojenną gorączką Francji – do domu.

Cela

Jest wojna.

Pierwsza wojna światowa, tak to kiedyś nazwą.

Fale Kanału La Manche, paciorki różańca między palcami. Zdrowaś Mario, Zdrowaś Mario, Zdrowaś Mario – i przerwa, i grubszy koralik, Któryś Jest w Niebie – i znów Zdrowaś Mario, Zdrowaś Mario, Zdrowaś... Stoi na pokładzie i odmawia różaniec. Bezszelestnie poruszające się wargi. I brzegi Anglii. Jak tyle razy przedtem. Setki razy. Powrót z wakacji do domu. Dobrze znana radość. Dobrze znana lekkość. Pierwszy schodzi na brzeg. Ktoś zastępuje mu drogę. Nieznajomy. Cywil. Lord Alfred Douglas?

Znowu te nudziarstwa. Ta stara sprawa. Croslanda przecież wypuszczono, wszystko przyszło. Że też mają jeszcze do tego głowę, teraz, podczas wojny! Cywil jest detektywem. Lord Douglas musi udać się z nim na policję. Dobrze. Trudno. W końcu to tylko formalność. Jada dorożką. Cywil jest grzeczny. Na policji też wszyscy są grzeczni. Czestują herbatą, tartinkami, ciastem. Musi pojechać do Londynu. I tak miał jechać do Londynu! Oczywiście, milordzie. Więc jedzie: razem z detektywem. Detektyw stawia whisky z wodą sodową, wciąż jest miło. I na policji w Londynie też jest miło. To tylko formalność. Oczywiście. Aleniechodzi już o tę starą, przyschniętą sprawę, o sprawę Croslanda. Sytuacja się zmieniła. Robert Ross oskarżył w końcu lorda Douglasa o zniesławienie. Co za bzdura! Lord Douglas bez trudu przeprowadzi w sądzie dowód prawdy. Rzecz jasna, aby to zrobić, musi najpierw stąd wyjść. Oczywiście, milordzie. Ile wynosi kaucja? Pięćset funtów, tak? Mój kuzyn z pewnością za-

placi, proszę go zawiadomić. I tu zaskoczenie: chwileczkę! To nie wszystko! Lord Douglas nie zapłacił jeszcze kosztów sądowych ze sprawy Custance kontra Douglas i nie może zostać zwolniony dopóki ich nie uiści. Sprawa Ross kontra Douglas i ewentualna kaucja to co innego. Krótko mówiąc, milordzie, pan stąd nie wyjdzie.

Obląkany żart.

Ale to nie jest żart.

Czy coś podobnego czuł t a m t e n? Ta brudna świnia, Wilde? Ten łajdak, ten sodomita? Ach, nie, nie mógł czuć czegoś takiego! Nie był przecież niewinny!

Twarze, jeszcze przed chwilą uprzejme, zmieniają wyraz. Obojętne, zimne, twarde twarze policjantów. Nikt już nie chce go słuchać. Przestał być wolnym człowiekiem.

Proszę wstać. Idziemy.

Samochód.

Wiozą go do więzienia Brixton.

To niemożliwe!

Mała, parterowa cela. Zamykające się drzwi.

To niemożliwe! Niemożliwe!

Po raz pierwszy w życiu dał się złapać.

Rozgląda się. Dyszy ciężko. Krąży po celi.

Przecież nie udowodni Rossowi niczego! Boże wielki! Łatwo było grozić, kiedy się było na wolności. Łatwo było się procesować, kiedy się było na wolności. Ale to? Zamknięcie. Cztery ściany, drzwi, krata. Zamknięcie! Na jak długo? Na pół roku, rok, półtora? Jest zimno. Mimo to pot cieknie mu strugami po twarzy. Kąpie się w pocie! Jest tu już kwadrans. Pół godziny. Godzinę. I to miałoby trwać dłużej? A on miałby to znieść? Inni to znoszą? Niemożliwe!

Po dwóch godzinach zaczyna krzyczeć. Do Boga.

Dlaczego go opuścił?

Boże, dlaczego? Boże, czemuś mnie opuścił?

Nikt nie odpowiada, nikt się nie zjawia. Jest zimno. Lord Douglas poci się. Drży. Ta zgroza. Ta niewypowiedziana zgroza! O Boże, nie może istnieć nic straszniejszego. Uwięziony. On także. Uwięziony!

W końcu sięga po książkę. Jedyną książkę, jaka jest w celi. Czarna okładka. Nowy Testament. Powróży sobie. Zamyka oczy, otwiera... Uratowany! Wybawiony!

Wtem zjawił się anioł Pański i światłość zajaśniała w celi. Trąceniem w bok obudził Piotra i powiedział: „Wstań szybko!” Równocześnie z rąk opadły kajdany.

Odpowiedziano mu. Czego mógłby się jeszcze obawiać?

A jednak kajdany nie opadają z rąk, anioł się nie zjawia. Przychodzi noc, a on wciąż jest w więzieniu. Przychodzi dzień, a on wciąż jest w więzieniu. I znowu noc. I znowu dzień.

Po pięciu dniach – pięciu dniach! – wyprowadzają go z celi i wiozą do sądu. To nie trwa długo. Sześć miesięcy więzienia. Chyba że zgłoszone przez oskarżonego osoby jeszcze się zjawiają, zapłacą karę, wniosą kaucję... Nikt się nie kwapi z płacaniem długów bankruta, z wnoszeniem kaucji za piniacza. Czekaają. Nadchodzi wieczór. Trudno. Jazda.

Jest ich dwunastu. Dwunastu skazańców – niektórzy są w kajdanach, inni bez – jedzie więzienną suką przez Piccadilly. Przez szpary w ścianach widać wolność. Kluby i restauracje, i zapalające się latarnie, i roześmianych ludzi – wolnych, wolnych! – idących do klubów, idących na obiad, idących na spacer; wolnych ludzi kroczących spokojnie londyńskim chodnikiem. Nieświadomych własnego szczęścia. Nieświadomych tego spojrzenia pełnego zgrozy, tego osłupiałego spojrzenia z więziennej karetki, z innego świata. Biały wieczorowy szalik rozwiany na wietrze. Cylinder. Czyjaś unosząca się – i zatrzymana na zawsze w tym uniesie-

niu, w tym nieważnym geście wolnego człowieka – ręka. Zatrzymana na zawsze w pamięci więźnia. Kto tego nie doświadczył, nie może wiedzieć, czym to jest. Nie domyśli się nawet.

Ten szybki przejazd przez cudzą wolność. Ten jej ostatni błysk. To mgnienie.

Wormwood Scrubs.

Półtoragodzina ceremonia przyjmowania więźnia. A potem, już w przydzielonym ubraniu, w tym mundurze niewolnika, już bez imienia, bez nazwiska, z numerem, schodami w górę, wciąż w górę, w duszącym, słodkawym zapachu gazu, wszystko tu jest szare, żelazno-stalowe i szare, i wszędzie czuć gaz, więc schodami, schodami, wciąż w górę, aż na najwyższe piętro... Czy nie w tym samym budynku był kiedyś, na początku, Wilde?

Cela.

Prycza.

Leży na niej w ciemności. Nieszczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu. Schwytyany w po-trzask. Wbity na szpilkę i umieszczony pod szkłem. Złapany, zamknięty, bezbronny. Dusi się. Stąd nie ma wyjścia. Więc duszność. Pierwsza duszność. I ten paniczny strach. I nagła, niespodziewana myśl: „Biedny Oscar!”

Po raz pierwszy tak o nim pomyślał. Po raz pierwszy od przeczytania tego potwornego li-stu. O tej grubej świni, o tym parszywym pedale, łajdaku, kłamcy, nikkzemniku. Biedny Oscar. O Boże, jak on to wytrzymał przez całe dwa lata?!

Zasypia.

O wół do szóstej – dzwonek. Ubrać się. I co dalej?

Jego już nie ma. Już nie ma lorda Douglasa. Jest numer. W numerowanym grobie celi. Czy numer może dygotać ze strachu? Czy numer może umierać ze zgrozy?

Przyniesiono śniadanie. Śmierdzi. Jak ono śmierdzi! Numer nie je. Siedzi na stołku. Czeką. Ręce mu się trzęsą.

Dzień mija. Minuta po minucie. Pierwszy dzień więzienia. Pół godziny. Godzina. Dwie, trzy, pięć? Nie ma już zegarka. Jest tak ciemno. Tylko stanąwszy na stołku można dosięgnąć do małego, zakratowanego okienka. Nie wie która godzina. Jest mu zimno. Jest głodny. O Boże, a on nie zjadł lunchu w sądzie, nie zjadł kurczęcia na zimno z dobrym, świeżym chle-bem, był zbyt podniecony! I taki pewny, że zaraz wyjdzie na wolność. Zapach świeżego chle-ba, smak pieczonego kurczęcia. Szczęki mu latają.

Zabrano to nietknięte, cuchnące śniadanie. Skamieniały kawałek chleba funkcyjny więzień chytrze wsunął sobie za pazuchę – jak rzecz godną pożądania. Jak skarb. Czyżby i on miał tak myśleć – za tydzień, za miesiąc? Więzienie. Gdyby ludzie wiedzieli. To właśnie jest piekło. To właśnie jest piekłem.

Ten wrzask. Strażnik na niego krzyczy. Na n i e g o! Czemu nie złożył pościeli? Czemu nie przystawił pryczy do ściany? Jazda, ruszać się! Składać pościel! Natychmiast! Ten wrzask. A on, lord Douglas, on, taki dumny, co na to odpowie? Co zrobi?

Rozpłakał się.

Ukrył twarz w dłoniach i szlocha.

Niewiarygodne. Strażnik się zlitował. Strażnik, dozorca, klawisz, wszystko jedno, jak się tu nazywa władzę. Zlitował się. Próbuje go pocieszyć. Pierwszy raz, co? Pierwszy dzień? No, synku, nie płacz, tu nie jest aż tak źle, to przejdzie, przywykniesz...

Płacze coraz bardziej. Dusi się, łka, chlipie. Przywyknąć? Nigdy!

Praca. Setki więźniów przy pracy. Zająć swoje miejsce. Szyć worki. On także. Szyć worki. Boże!

Potem spaceriak. W kółko, i w kółko, i jeszcze raz w kółko...

Obiad. Dostaje mdłości na sam jego widok, cudem powstrzymuje wymioty przy jego zapa-chu. Ten smród! Wciąż nie je. Obiadu też nie je. I znów do pracy. Do szycia worków. To spi-sek. Spisek. Dlaczego nikt nie wpłacił kaucji? Dlaczego nikt nie przychodzi? Co się stało?

Wieczorem strażnik wywołuje jego numer. Ma iść do naczelnika.

Są. Ci dwaj, którzy mieli za niego poręczyć: kuzyn Sholto i pastor Mills, obaj uśmiechnięci. Wszystko załatwione. Trochę to potrwało, trudno, nie dało się szybciej. Jest wolny.

Przynoszą mu ubranie, papiery, zegarek.

– No, powodzenia! I niech pan tu nie wraca!

Lord Douglas wychodzi z Wormwood Scrubs wciąż z tym samym, osłupiałym spojrzeniem.

Więc tak wygląda więzienie.

Więc to właśnie spotkało Oscara.

Ale czemu jego, czemu jego, za co? O Boże, nigdy więcej. O Boże, wszystko, byle tu nigdy nie wrócić. Zrobi wszystko. Pogodzi się z Rossem. Przeprosi Rossa. Padnie przed nim na kolana, jeżeli trzeba.

I nagle myśl: o to im właśnie chodziło! Chcieli, żeby tak czuł. Chcieli go złamać. I złamali. Gdyby nie te pięć dni w areszcie policyjnym, gdyby nie ta doba w więzieniu, nigdy coś takiego nie przyszłoby mu do głowy. Gdyby nie wiedział, co to jest. Udało im się. Będzie się czołgał przed tą żmiją. Będzie błagał o wybaczenie. Zrobi wszystko, czego od niego zażądata. Wszystko. Wszystko.

Rano – po śnie w czystym łóżku, przy jajkach sadzonych na bekonie i grzankach z marmoladą – znowu jest sobą. Pogodzić się z Rossem? Chyba oszalał! Zniszczy tego gada. Wpakuje go do celi więziennej – i to nie na sześć dni, na lata! Litować się nad Oscarem? Ta brudna świnka zasłużyła sobie na to, co ją spotkało. Szkoda, że Oscar nie żyje. Szkoda, że nie można go wsadzić za kraty po raz drugi. Obaj mu zapłacą za te sześć dni, obaj, żywy i umarły. Przeprowadzi w sądzie dowód prawdy i zniszczy na wieki ich obu: upiora i szubrawca zakochanego w upiorze.

Zrobi to. Na Jowisza, zrobi!

Sąd

Tak samo jak wtedy. W 1895 Oscar Wilde oskarżył o zniesławienie jego ojca, w 1914 Robert Baldwin Ross – jego. Taki sam proces, tylko czasy są inne.

T a m t a sprawa ciągle budzi wstyd.

Największe sławy zgłaszają się na świadków obrony Roberta Rossa. Właśnie dlatego, że Wilde'a, nieszczęsnego, zaszczutego Wilde'a nikt nie bronił. Świat nie dopuści, żeby to się powtórzyło. Świat jest po stronie Rossa.

A jakże, wszyscy wiedzą, że „zniesławienie” nie było zniesławieniem. Że w oczach prawa lord Douglas ma rację. Prawo nie zostało j e s z c z e zmienione, ale to nie powód, by pozwolić Douglasowi wygrać. Dobrze Robert Ross jest pedałem – i co z tego? Jest dobrym, miłym człowiekiem! Najwierniejszym z przyjaciół. Opiekunem ubogich artystów. Mecenasem sztuki. Obrońcą skrzywdzonych. Bezinteresowny, uczciwy, szlachetny. Wszyscy go lubią. LUBIĄ GO, rozumiecie? A lorda Douglasa – tego faryzeusza, kłamcy, pieniacza, łajdaka – nikt nie lubi. I tym gorzej dla prawa, tym gorzej dla sprawiedliwości!

Taki jest świat.

Wszystko sprowadza się do tego, czy jesteś czy nie jesteś lubiany. Prawda, słuszność, sam Bóg są wobec tego niczym. Bogu żywemu zadadzą kłam, byle ten, kogo lubią, wygrał; byle ten, kogo nie lubią, przegrał. Synowi Bożemu wrażą włócznię w bok. Światło nazwą ciemnością, prawdę nazwą kłamstwem. Robert Ross jest miły i dobry, więc musi wygrać. Lord Douglas jest zły i niemiły, więc przegra, choć sam Bóg jest po jego stronie – sam Bóg i prawo Anglii. Tacy są ludzie.

Lubią Rossa, nienawidzą Douglasa. Wszyscy go nienawidzą. Kiedyś pedałem, teraz świętoszek, bigot, ultrapravicowiec, antysemita i tak dalej: o Jezu! Tarcza strzelnicza dla obu stron:

dla Przyzwoitych Ludzi i dla inteligentkiej elity. Ci pierwsi nigdy mu nie darują pedałstwa, ci drudzy tego, czym jest teraz. Elita jest – oczywiście – za wolnością i tolerancją. Wieczna, zażydzona kolebka lewicowości. Trudno. Ponad tym wszystkim, poza tym wszystkim jest jeszcze Bóg – i honor. Mogą go nienawidzić. Obejdzie się.

Wychodzą na ring. On i Ross.

Ten sam sąd, w którym skazano Wilde'a. I dwaj mężczyźni – ten, który go kochał, i ten, który był przez niego kochany – stojący naprzeciwko siebie jak przeciwnicy.

Jeżeli Ross wygra – jeżeli sąd uzna, że lord Douglas dopuścił się przestępczego znieśławienia, oskarżając go o sodomie i szantaż – dwa lata więzienia dla lorda Douglasa.

Jeżeli Ross przegra – zostanie aresztowany w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jak kiedyś Wilde. Dwa lata więzienia dla Rossa.

Gdzieś daleko toczy się wojna. Trwa bitwa pod Ypres. Niemcy użyli gazów trujących, spełnili swoją groźbę, stało się! I co teraz? Co dalej?

Dla nich dwóch nie istnieje bitwa pod Ypres, nie istnieją Niemcy, nie istnieje wojna. Tylko miłość i brak miłości, i ta sprawa sprzed lat, z zeszłego stulecia, i stary list z więzienia, list człowieka w zeszłym stuleciu zalanego niegaszonym wapnem, i decyzja świata, decyzja sądu: jak wolno żyć? Jak żyć należy? Czy lepsza jest grzeszna miłość, czy bezgrzeszny brak miłości? Toż już Szekspir napisał: *Miłość ma grzechem, cnotą twa nienawiść, Nienawiść grzechu mojego, miłości!* Ale Szekspir uważał tę nienawiść do grzechu – do t a k i e g o grzechu – za zło; a sąd? Co postanowi sąd?

Komu przyzna rację: Rossowi czy Douglasowi? Psu czy człowiekowi? Bo społeczeństwo już rozstrzygnęło, świat zadecydował: rację ma pies. Widać to po twarzach ludzi, wchodzących na salę, po życzliwym, serdecznym tłoku wokół Rossa, po pustce wokół Douglasa. Ale na szczęście są jeszcze niezawisłe sądy!

Racje lorda Douglasa

O tym nie mówi się w sądzie. O tym nie mówi się nigdy. Nawet w książkach się o tym nie pisze.

O tym, że brak miłości może być namiętnością równie silną jak miłość. Takie same dające ekstazy, takie same uniesienia. Ale nikt nie chce przyjąć tego do wiadomości. Ta namiętność nawet nie ma nazwy. B r a k miłości! Jakby tylko o brak tu chodziło. O puste miejsce. O nicłość. O obojętność.

Jakkolwiek to nazwać – to jest wielkie.

Zerwanie, to piekło dla kochającego – jakim wzlotem w światłość potrafi być dla tego, który nie kocha! I gdyby zrobić rachunek przyjemności i bólu, jak proponował kiedyś ten stary cynik, Bentham, kto wie, czy sprawiedliwość nie zostałaby oddana nie kochającemu? Czy potęga jego radości, jego ulgi w tej boskiej chwili ostatecznego wyzwolenia nie przeważałaby szali na jego korzyść? Czy wszystkie męki tego wypędzonego na mróz, oszukanego kundla – człowieka, który kocha – nie okazałyby się niczym wobec szczęścia zatrzęsnięcia przed kundlem drzwi, powrotu w głąb własnego, ciepłego mieszkania, w spokój i wolność?

Nie rozumieją tego, durnie. Udają, że nie rozumieją. Smrodliwy zaduch miłości po jednej stronie – i czysta, chłodna, krystaliczna wolność po drugiej. Szum skrzydeł, unoszących nas na wyżyny, ostrość widzenia, oddychania pełną piersią, wzlot aż do Boga! Czym innym jest brak miłości? Ale ludzie zawsze będą litować się nad wypędzonym psem zamiast czcić tego, który go wypędził. Obłudnicy. Hipokryci. Kłamcy.

Czy szczęście lorda Douglasa, kiedy wyrzucił za drzwi tego natrętnego, nieznośnego, zapchlonego psa – miłość do siebie – nie zmazuje w oczach Najwyższej Sprawiedliwości wszystkich cierpień psa? Wstrząsu, którego pies doznał? Jego zawiedzionej ufności? Przera-

zonych, nie mogących uwierzyć oczu, i skomlenia pod drzwiami, i błąkania się po mroźnych zaułkach z podkuloną, zranioną kamieniem łapą, i szukania ochłapów na śmietnikach, i skowytu przez sen, i długiego zdychania na jakimś wysypisku? To brzmi ohydnie. A jednak!

Ostatecznie to właśnie nakazał ludziom Chrystus. Kazał porzucić tych, którzy nam ufają, zniechęcić tych, którzy nas kochają – i pójść za nim. *Ktokolwiek z was nie ma w nienawiści ojca swego i matki swojej* – i tak dalej, i tak dalej. A oni wmawiają sobie, że to przenośnia, figura retoryczna, że Chrystus nie żądał nienawiści. Oni litują się nad Wildem, potępiają Douglasa, i jeszcze nazywają siebie chrześcijanami!

Ten proces to walka między chrześcijaństwem a pogaństwem. Między Chrystusem a społeczeństwem. Nikt tego nie widzi, nikt tego nie wie poza lordem Douglasem, jedynym sojusznikiem Chrystusa, jedynym chrześcijaninem.

I jeszcze jedno.

Męka znoszenia nie odwzajemnionej miłości do siebie. Ta straszna nuda. To spętanie.

Może kiedyś uległo się złudzeniu. Może kiedyś powiedziało się coś nieostrożnego. Z litości, albo dlatego, że ktoś grał na skrzypcach, wypilo się za dużo, był półmrok, było ciemno, świecił księżyc, miało się kłopoty, było się w złej formie, wszystko jedno: czy ma się cierpieć z tego powodu przez całe życie? Na Jowisza, nikt tego nie robi! Wszyscy się wycofują, wszyscy odchodzą – wszyscy prócz dziwaków i ludzi bez charakteru. Wszyscy wyrzucają na mróz natrętne, pokorne, łaszące się psy; wszyscy, także i ci, którzy sami bywali psami, których także wypędzono, którzy dobrze pamiętają mróz, pustkę, ból w zranionej łapie, krążenie po śmietniku; wszyscy! Bo to jest nie do zniesienia. Bycie kochanym jest rzeczą NIE DO ZNIESIENIA, czemu nikt tego wreszcie nie powie?

Te naiwne podstępny, żeby wymusić nasze zainteresowanie.

Te naiwne popisy: zobacz, jaki jestem wspaniały! Czemu mnie nie kochasz?

Te nudne listy, układane tygodniami, poprawiane i przepisywane dziesiątki razy, zawsze za długie, listy, których się przecież nie czyta: ot, rzuci człowiek okiem, żeby wiedzieć, o co chodzi, i odkłada toto z ziewnięciem. Na darmo te piękne frazy, te wstrząsające zaklęcia, te trafiające w sedno wymówki – i merdanie ogonami, i lizanie po rękach, i spojrzenia pełne oddania. Znów ten zapchlony kundel, znów to nudziarstwo: ach, kiedyż on się wreszcie od-czepi?

I w ogóle – jak śmie?

Nie pasuje do nas. Poniża nas. Ośmiesza.

Z chartem syberyjskim wyglądaliśmy lepiej. Chyba, żeby się roztył.

Te nudne błagania.

Ta irytująca pamięć, tak różna od naszej: trafili na chwilę naszej słabości, zaskoczyli nas, wyłudziili spotkanie, i znów zaczynają swoje. – Czy pamiętasz, jak dawno się nie widzieliśmy? (Kto by to pamiętał: wydaje się, że to było wczoraj.) – Od piątego czerwca, sześć tygodni i dwa dni! Chryste Panie. No dobrze: człowiek inteligentny wie, czym były te tygodnie (i jeszcze dwa dni) dla kochającego. Średniowiecznymi torturami, pobytem w celi śmierci, strachem, modlitwą, naszą obecnością w myślach w każdej chwili, w każdej sekundzie, od przebudzenia do zaśnięcia (a może i w snach), wiecznym czekaniem, drzeniem na widok listonosza, zatrzymywaniem się serca przy dzwonku lub pukaniu do drzwi... powiedzmy, że to wiemy, ale co z tego? To nie powód, żeby ulec. Żeby oddać własną duszę na zatracenie. I co z tego, że ktoś cierpi? Cierpi z naszego powodu, nie z naszej winy? Bo winy nie ma nigdy. Czasem nie ma jej naprawdę: nie dawaliśmy ani krztyny nadziei, nie pozwoliliśmy się tknąć, stawialiśmy sprawę jasno, i mamy teraz ulec tylko dlatego, że ktoś TAK STRASZNIE CIERPI? To niech sobie cierpi, do diabła, ale po cichu! Nie zwracając nam tym głowy! Czasem jest jakaś wina, może najwyższy sędzia dopatrzyłby się w tym winy: użyczyliśmy naszego ciała, zawróciliśmy komuś w głowie miłosnymi wyznaniem, nazwaliśmy kogoś naszym kotkiem, pieskiem, szczęściem, aniołem, zbawieniem, wszechświatem i Trójcą Świętą, przysię-

galiśmy, że nigdy nie zdarzyło nam się nic podobnego, przysięgaliśmy, że to na zawsze, padaliśmy na kolana, oddawaliśmy siebie w niewolę... ale nie nasza wina, że ktoś to potraktował inaczej niż my, robiąc z tego pretekst, żeby nas potem zanudzać. Bo cudza miłość jest nudna i to w niej najgorsze. Na Jowisza, jaka ona jest nudna!

Nawet współczuć nie można komuś, kto nas tak strasznie nudzi. Bardziej by się współczuło obcemu, któremu ukradziono portmonetkę w autobusie. Bo on nam nie zagraża.

A ci, którzy nas kochają, są nie tylko nudni: są groźni. Diabli wiedzą, co im strzeli do głowy. Jak Oscarowi z tym jego listem. Jak Rossowi z tą jego zemstą za krzywdę wyrządzoną Oscarowi. Jak tym, którzy przychodzą z rewolwerem, z nożem, z trucizną. Doprawdy, jeśli się o tym pomyśli, widać że odmowa miłości jest bohaterstwem.

I jeszcze jedno. Tego nikt nie widzi. W odmowie miłości jest wielkość.

W tej desperackiej obronie własnej niezależności i dumy.

W odrzuceniu jakiegokolwiek litości. Smrodliwej, zgubnej litości.

Nie słucha się czyichś jęków i błagań. Odtrąca się kogoś, kto się przed nami czołga i poniża, płacze i grozi samobójstwem, błagając o tydzień, dzień, chwilę naszego życia. Odmawia się nawet tej jednej chwili. Zatrząskuje się drzwiami. Wiatr, noc, gwiazdy. Odetchnięcie aż do dna płuc, całym ciałem, całą duszą. Nareszcie sami! Wolni, dumni, z ocalonym honorem. Wszystkie drogi są przed nami otwarte. Wszystkie możliwości świata. Kto doznał takiej chwili, ten nigdy nie będzie się litował nad słabeuszem umierającym z miłości. Ciało jak z kamienia, dusza jak ze światła, myśli ostre jak brzytwa, wzniesienie się na wyżyny, ponad ten skowyt, i bełkot, i barłóg... To jest wielkie! Gdyby świat oddał wreszcie hołd tej wielkości...

Nie odda. Zbyt jest zakłamanym.

Gdyby chociaż zrozumiał.

Nie zrozumie.

Po jednej stronie miłość, po drugiej wolność: czy rachunek zysków i strat jest naprawdę oczywisty?

Dla nich tak.

Dla ciebie też.

I właśnie dlatego nigdy ci nie wybaczą.

Sąd

Stoją naprzeciwko siebie, pies i człowiek. I ta sfora kundli na sali sądowej!

Lord Douglas powtórzył to, co zrobił przed blisko dwudziestu laty jego ojciec, markiz Queensberry. Zadał o świadków oskarżenia. O tłum świadków. Takich samych, jak ci, którzy pograżyli kiedyś tę kanalię, Oscara. Czternastu świadków, przysięgających, że Ross jest pedałem. On się malował. Wysoki Sądzie, on się pudrował. Wysoki Sądzie, widziałem to na własne oczy, słyszałem o tym na własne uszy: to pedałem!

A oto koronny świadek. Skarb, znaleziony przez Douglasa dzięki widomej opiece niebios, dzięki gorącej modlitwie: to był cud! Znak, że Bóg jest po jego stronie. Żołnierz. Dzielny żołnierz, obrońca ojczyzny, którego brat uciekł z domu, mając szesnaście lat, i nigdy nie wrócił. Słuch po nim zaginął. Żołnierz słyszał, że to sprawka Rossa. Ktoś mu to powiedział, nie pamięta, kto. W każdym razie żołnierz spotkał kiedyś Rossa w barze i zapytał go, co zrobił z jego bratem. A Ross ofiarował mu pieniądze. – Czy to ten człowiek? Ross wstaje. – Tak, ten. Żołnierz go poznaje. To on.

Emerytowany inspektor policji z West Endu widywał Rossa z męskimi prostytutkami.

Lord Douglas zaciska usta, żeby powstrzymać uśmiech triumfu. Przygwoździł go. Przygwoździł Rossa. Wykończył go. W dodatku jak on źle zeznaje, ten Ross!

Sąd jest wobec niego łagodny jak wobec dwuletniego dziecka. Sąd – to naprawdę świństwo! – daje mu wszelkie fory. No, wywiń się z tego, człowieku! Oburz się! Złóż oświadczenie, że potępiasz homoseksualizm, nic więcej nam nie trzeba. Powiedz choć parę zdań, a wygrasz tę sprawę. Ale Ross tych paru zdań nie mówi.

Chryste, jak można tak zeznawać!?

Zapytano go, czy brał udział w orgiach. A on odpowiedział: *Nie*. To wszystko. Nie oburzył się na tak potworne posądzenie, nie krzyczał. *Nie*. Jakby uważał, że nawet w orgiach nie ma nic złego, jeżeli ktoś to lubi: on nie lubi, ale czemu miałby się gorszyć? Łagodne, spokojne *Nie*. Do licha, kogoś mniej niż Ross nadającego się do stawania w sądzie nie można sobie nawet wyobrazić!

A sąd ciągle nie chce uznać jego przegranej. Sąd jest po jego stronie. To widać.

Znowu to wyciągnęli. Znowu chcą czytać te stare listy, listy Oscara. Ten wielki z więzienia – i krótkie do Rossa, do innych. *Nie*, tego już za wiele! Do tego lord Douglas nigdy nie dopuści! Nie pozwoli, by szantażysta Ross...

Chwileczkę. Cokolwiek myśleć o świadkach oskarżenia, cokolwiek myśleć o ich zeznaniach, s z a n t a ż u Rossowi nikt nie udowodnił. Homoseksualizm – może. Choć to jeszcze nie jest pewne. Ale szantażu – na pewno nie!

– A czy to nie szantaż – krzyczy lord Douglas z miejsca dla świadków – czy to nie szantaż, przechowywać stare listy przyjaciół, a po dwudziestu latach wyciągać je w sądzie? Nie szantaż?

Sąd naradza się przez trzy godziny. I nic.

Znów się naradza. Nie ma zgody.

Odkładają sprawę!

Cóż, nie chcą powtórzyć tego, co ich poprzednicy zrobili z Wildem.

Nie chcą okryć się hańbą drugiego, podobnego wyroku. Nie będą skazywać za homoseksualizm nie łączący się z wymuszaniem, uwodzeniem, szantażem; za homoseksualizm jako taki, bez żadnych innych win. Trudno im skazać lorda Douglasa za oszczerstwo, skoro bije w oczy, że połowa tego oszczerstwa oszczerstwem nie jest. Ale nie skazać go – to skazać Rossa; a tego nie zrobią. Tego zrobić nie chcą.

Na szczęście wniósł się w to Bóg. Bóg, stojący po stronie lorda Douglasa. Bóg, stojący po stronie prawdy. Złamał wolę tej kanalii, Rossa.

Ross zrobił to samo, co kiedyś jego ukochany, ten upiór z paryskiego cmentarza. Nie wytrzymał. Nie zniósł koszmaru sali sądowej, okropności przesłuchań – tego, w czym lord Douglas czuje się niczym ryba w wodzie; nie ma siły, by znosić to dłużej. Te pytania, czy brał udział w orgiach, czy się malował, czy się pudrował. Tych zakłamanych świadków. Nawet nie widzi życzliwości sędziów. Nie zdaje sobie sprawy z własnych szans. Wycofuje się. Proponuje ugodę.

Pełnomocnicy Rossa proponują oskarżonemu ugodę. Pokryją koszty sądowe i dodatkowe koszty poniesione przez lorda Douglasa. Sześćset funtów, zgoda? O, gdyby nie był zrujnowany! Nigdy by nie przyjął tych sześciuset funtów, dobiłby gada, zakułby go w kajdany, wpakowałby go za kraty... Niestety. Ma nóż na gardle. Zgadza się. Jedno jest w tym wszystkim dobre: po takim zakończeniu procesu – *nolle prosequi* – ma już p r a w o nazywać Rossa sodomitą i szantażystą, a Rossowi nie wolno protestować. Po *nolle prosequi* – nie wolno. To już nie jest obelga.

Skorzysta z tego. Na Boga, skorzysta!

Zresztą więzienie Rossa i tak nie minie. Załatwi się to – prędzej czy później.

Lord Douglas wychodzi z sądu rozpromieniony i triumfujący. Jak jego ojciec dziewiętnaście lat temu, po zgubieniu tej kanalii Wilde'a.

Tyle że ojca powitano przed sądem owacją. Wydano przyjęcie na jego cześć. Wznoszono toasty.

Kiedy lord Douglas wychodzi z sądu, ludzie odwracają się do niego plecami.

Kiedy z wyciągniętą ręką zbliża się do znajomych, znajomi ręki mu nie podają. Nie odpowiadają na jego powitanie. Odchodzą.

A to dopiero początek.

Ross, ta kanalia Ross, otrzymuje list z wyrazami solidarności. Trzysta podpisów. Wielkie nieba, sam premier Asquith to podpisał! Jego żona! Biskup Birmingham! Lordowie, hrabiowie, artyści. George Bernard Shaw. H.G. Wells. Dostojnicy. Arystokraci. Sławy.

A protestu Douglasa gazety nie chcą drukować. W końcu prasa jest wolna. Nie muszą.

I nie wyrzucono Rossa z jego klubu. Gdy jego, lorda Douglasa, wyrzucono ze wszystkich klubów, ze wszystkich! Tego parszywego Żyda, którego po procesie każdemu wolno bezkarne, bez konsekwencji, nazywać pedałem i szantażystą, klub Reforma ostentacyjnie, podając to do publicznej wiadomości, zatrzymał w gronie swych szacownych członków. Brawo! Niech żyje Reforma! Sam premier bije brawo. I biskup Birmingham. I cała ta przeklęta klika. Kochany, szlachetny Ross. Nie pozwolimy, żeby stał się kolejną ofiarą tego łajdaka Douglasa. Robbie, jesteśmy z tobą!

Nawet Crosland odwrócił się od lorda Douglasa. Nie chciał zeznawać w sądzie przeciwko Rossowi. Nie napisze kolejnej książki mieszającej z błotem Wilde'a. Co z tego, że książka ukazałaby się – oczywiście – pod nazwiskiem lorda Douglasa? Crosland boi się ludzkiej nienawiści. Boi się cierpienia swojej biednej żony. Jeśli Douglas potrafi, niech pisze sam; jeśli nie potrafi, niech wynajmie kogo innego. Ostatni sojusznik odchodzi. Człowieku, zrozum wreszcie: teraz już nikt przy zdrowych zmysłach nie zechce mieć z tobą nic wspólnego!

W porządku. Napisze sam. Najpierw sonet przeciwko Croslandowi, a potem książkę. Jeżeli takie zero jak Wilde umiało pisać książki, nie ma w tym widać nic trudnego. I na nikogo już nie będzie liczył. Sam przeciw światu? W porządku. Będzie sam przeciw światu. Sam z Bogiem. On i Bóg po jednej stronie, reszta po drugiej. Całe to grzeszne robactwo po drugiej. Przynajmniej sytuacja jest jasna. Trudno o coś jaśniejszego. On i Bóg, i płomienny miecz w jego dłoni.

Pieniacz

– Czy świadek żałuje, że znał Oscara Wilde'a?

– Żałuję. Ogromnie żałuję. Ten człowiek miał diaboliczny wpływ na każdego. Myślę, że był najpotężniejszą siłą zła w Europie w ciągu ostatnich trzystu pięćdziesięciu lat!

Szmer na sali sądowej – i chichot. Chyba chichot!

– Czy świadek uważa jego prace za klasykę?

– Stały się klasyką tylko z powodu skandalu, który wywołały. To przerażająco przeceniony drugorzędny literat.

– Czy pisząc *Salome* Wilde studiował Krafra-Ebbinga?

Tego Szwaba. Tego Szkopa. Teraz, w 1918, u schyłku wojny, to prawie oskarżenie o szpiegostwo.

Lord Douglas jest świadkiem obrony Billinga, porządnego człowieka, posła do parlamentu, który odważył się napisać o Czarnej Księżce tajnych służb niemieckich. Czterdzieści siedem tysięcy brytyjskich prominentów prowadzi takie życie seksualne, że mogą być szantażowani przez Niemców. Szantażowani i zmuszani do szpiegostwa. Czterdzieści siedem tysięcy szwabskich szpiegów, ani o jednego mniej! Bo kto jest zboczeńcem, rozpustnikiem, cudzołożnikiem, ten niezawodnie zostanie także szpiegiem. I dlatego mamy prawo żądać od każdej postaci publicznej CZYSTOŚCI, nieskalanej czystości obyczajów! Słusznie. Szlachetny Billing. On, lord Douglas, od lat żyjący w niczym nie zmaconym celibacie, może mu tylko przyklasnąć. I po stokroć miał rację Billing, zarzucając tym, którzy przychodzili na prywatne

przedstawienia *Salome* – sztuki tego sodomity Wilde’a – że na pewno trafili do niemieckiej Czarnej Księgi. A skoro do niej trafili, ulegli szantażowi, zostali szpiegami, zdradzili ojczyznę; wystarczy pójść na sztukę tej kanalii Wilde’a, żeby stać się zdrajcą ojczyzny! To logiczne. To oczywiste. Skoro to pornograficzne sztuczdyło szło w Berlinie dwieście razy przy pełnej sali, przy entuzjazmie publiczności – na pewno jest bardziej zgodne z kulturą niemiecką niż brytyjską. Czyżby Wilde sam był pruskim szpiclem? O tak! Duchowo na pewno tak! Teraz, podczas tej strasznej wojny, widać to jasno. Lord Douglas wie to lepiej niż ktokolwiek: czyż sam nie tłumaczył niegdyś tego napisanego przez snoba Wilde’a po francusku świństwa na angielski? Zna *Salome* jak własną kieszeń. Ktokolwiek to czyta, ktokolwiek to ogląda, jest zbrodnicem i zwolennikiem Kaisera. Może i szpiegiem. Prawdopodobnie szpiegiem. A skoro ci zbrodniecy, ci szpiegowie, którzy oglądali *Salome*, mają czelność uważać się za zniesławionych, skoro ośmielili się wytoczyć brytyjskiemu patriocie sprawę o zniesławienie dlatego tylko, że nazwał ich po imieniu – obowiązkiem lorda Douglasa jest być świadkiem obrony brytyjskiego patrioty. W końcu znał tę kanalię Wilde’a lepiej niż ktokolwiek. I jego obrzydliwą sztukę także.

Czy Wilde studiował Krafra-Ebbinga?

Tego Szkopa. Tego szwabskiego seksuologa. Tego rozpustnika, tę gniębę. Oczywiście!

– To nie mogło zostać napisane przez kogoś, kto nie studiował Krafra-Ebbinga – mówi lord Douglas dobitnie.

No, znowu to samo. Na żądanie oskarżenia zostanie teraz odczytany list Wilde’a do świadka obrony, lorda Douglasa.

– Protestuję! To list napisany do mnie! To moja własność! Został mi wykradzony i jest wyciągany za każdym razem, kiedy tu przychodzi! – (Chichot sali: za każdym razem, kiedy lord Douglas, ten pieniacz, „przychodzi” do sądu, swojego drugiego domu!) – A kto ten list wyciąga? Ten niemiecki szantażysta, George Lewis! – (Szmer na sali: George Lewis jest oczywiście Anglikiem. Ale ożenił się z Niemką: może to teraz, podczas wojny, wystarcza?) – Piętnasty raz wyciągają ten list w sądzie! Ile razy tu przyjdę, czyta mi się ten stek zaślinionych bzdur...

Wrzawa. Krzyki. List jednak zostanie odczytany. Zaczynają go czytać.

– *Na początek powiem ci...*

– Protestuję! To list napisany przez diabelskiego łotra do nieszczęśliwego, naiwnego młodzieńca! Jak można?

– Proszę świadka o odpowiedź na jedno pytanie.

– Odpowiem, jeśli tak mi się spodoba, a nie jeśli p a n u tak się spodoba.

– Świadek zastosuje się do poleceń sądu albo zostanie usunięty z sali.

– Nie dbam o to, czy zostanę usunięty. To dla mnie żadna przyjemność, być tutaj.

Śmiech. Tym razem – życzliwy. Rozbawił ich! Chyba życzliwy. Chyba ich rozbawił.

– Jeśli to się powtórzy, każę opróżnić salę!

A z p a n i c h żartów, milordzie, czy wolno się śmiać?

– Nie, nie wolno!

To właśnie jest wspaniałe w sądzie. To właśnie lord Douglas lubi.

– *Na początek powiem ci, że straszliwie siebie potępiam...*

Lord Douglas zamyka oczy. Wyciąga rękę przed siebie. Zaciska pięści.

– Przestańcie! Przekleć prawnicy, wyciągacie te świństwa latami, bo się wam za to płaci! Sprzedawczyki!

Lord Douglas dusi się. Łapie się za serce. Jest purpurowy.

– Ministrowie, i ci parszywi adwokaci, i Asquith, i ci wszyscy, wszyscy, wszyscy dostają dobre stanowiska i wysyłają listy solidarnościowe... – (Dusi się: Ross, przeklęty Ross! Ross, który już nie żyje. I z którego zrobiono jego kolejną ofiarę: to on go zaszczuł, doprowadził do choroby, zamęczył, zabił! Dobre sobie!) – A na mnie napadają, bo nie jestem już po ich stro-

nie. Gdybym był po ich stronie, dostałbym wielki adres solidarnościowy, i masę pieniędzy, i stanowisko, i mówiono by o mnie, że jestem wspaniałym człowiekiem i cudownym artystą. Tak było z Rossem! Dali mu ten list solidarnościowy tylko dlatego, że był zbrojcem!

Każą mu usiąść. W końcu siada. Milczy. Słucha.

– *Byłeś moim wrogiem: takim wrogiem, jakiego nikt nigdy nie miał. Dałem ci moje życie...*

Trudno. Wysłucha tego do końca. Który to już raz?

W końcu to sąd nad *Salome*, nad zdegenerowaną, dekadencją, niemoralną *Salome*. Nad Wildem mogą się teraz litować, ale tego świństwa nikt nie usprawiedliwi. Aktorka, która w tym gra, musi być zbroczoną kreaturą – mówi pastor. Nawet na akademii medycznej nie można by tego pokazywać, żeby nie gorszyć studentów – mówi lekarz. Słusznie.

I po takich zeznaniach sąd wydaje wyrok skazujący! Billing musi zapłacić odszkodowania ludziom, których znieważył. O Boże, „znieważył”! To śmieszne. Lord Douglas wygraża, krzyczy. Jak można uznać, że ktoś, kto oglądał sztukę tej kanalii Wilde’a, nie jest niemieckim szpiegiem i zdrajcą ojczyzny? Jak może dojść do takiego wniosku sąd, mieniący się niezawisłym?

Sąd doszedł do takiego wniosku.

A jego, lorda Douglasa, ludzie już nie tylko nienawidzą. Patrzą na niego z przerażeniem albo z niechętną litością. Ależ to wariat! Szaleniec!

Mają swoją tępą rację: roznosi go wściekłość. Szaleje.

Zemści się. Za wszystko mu zapłacą, za wszystko!

Nie oddano mu syna. Wykończył Rossa, ale syna mu nie oddano. A kiedy go wykradł, kiedy bezprawnie – bezprawnie? on, ojciec? – zawiózł go nad Loch Ness, kiedy oddał go tam do szkoły klasztornej, porządnej, katolickiej szkoły... szczeniak uciekł. Uciekł do swego przekłętogo dziadunia! A on, ojciec, najpierw szalał z niepokoju – wypadek? utonięcie? – potem oskarżył teścia o kidnapping, a potem... Co mógł zrobić poza wyrzeczeniem się tej bestii, własnego syna? Syna, który wyrzekł się jego? Cóż, świat potwierdził raz jeszcze, że jest okrutny i niesprawiedliwy. Nie będzie już szczęścia w życiu, nie będzie szczęścia. Tylko wiara mu pozostała. Tylko Bóg. Bóg jest po jego stronie.

Bóg skarże wyrodnego syna tak samo, jak pokarał zdrajcę Wilde’a, intryganta Rossa, jak pokarze po śmierci tych, którzy dzisiaj triumfują. Och, stanie się to później, po latach, ale chłopca, uciekającego w panicznym strachu przed własnym ojcem, nie minie kara. Oszaleje. Trzeba go będzie zamknąć w zakładzie. Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Pan Bóg zemści się za najwierniejszego ze swych wyznawców. Za biednego, skrzywdzonego ojca.

Ludzie j e g o nazywają wariatem. Jego, lorda Douglasa. Nie mają wątpliwości. Jest po prostu obłąkany. Gdy jego syn zachoruje, ujrzą w tym tylko fatalne dziedzictwo. Biedny chłopiec! Cokolwiek zrobi lord Douglas, cokolwiek powie, potwierdzi tylko tę ich opinię. Tacy są ludzie. Teraz już rzadziej nazywają go łajdakiem niż wariatem. Ależ jego nie można traktować poważnie, jest obłąkany!

Wariat. Wije się w fotelu, ani chwili nie może usiedzieć spokojnie, rzuca się z jednej strony na drugą, krzyczy ostrym, piskliwym głosem, wybucha bez powodu ostrym, piskliwym śmiechem – więc wariat. Choć raz dziennie wpada w tę swoją furię, od której sinieje, od której dostaje drgawek – więc wariat. Żyje we własnym świecie, innych prawie nie widzi, inni przestają dla niego istnieć, gdy tylko odwróci głowę, czują to – więc wariat. Jaki łatwy, jaki prosty jest ten ich świat – świat bez honoru i bez Boga! Świat głupców, świat parweniuszy.

Wariat. Napada na łagodnego Conan-Doyle’a, na tę owieczkę, piszącą o Sherlocku Holmesie... Co za list wysłał do niego po przeczytaniu jego niewinnego artykułu o spirytyzmie! Człowiek pasjonujący się jakimś parszywym spirytyzmem jest bestią, twierdzi lord Douglas. Należy go wychłostać szpicrutą. Nie ma nic gorszego niż apóstata katolicyzmu – a Conan-

Doyle zdradził katolicyzm, żeby dla pieniędzy i rozgłosu prowadzić swój nędzny spirytystyczny biznes. Godna pogardy bestia!

Conan-Doyle spokojnie i grzecznie podziękował Douglasowi za ten list. Przesłał mu wyrazy szczerzej wdzięczności. *Tylko pańska aprobata mogłaby mi zaszkodzić.* Oczywiście! Poczciwy doktor Watson trafił w sedno! Nie można sobie wyobrazić czegoś bardziej ośmieszającego niż pochwała lorda Douglasa!

Na szczęście nikomu to nie grozi. Nikomu prócz Szekspira, Swinburne'a i paru reakcyjnych maniaków.

Bo – oczywiście – każdego, kto staje po stronie lorda Douglasa, samozwańcza elita nazwie reakcyjnym maniakiem. Nie mogą znieść myśli, że istnieją jeszcze ludzie wierni zdrowym i świętym wartościom, słudzy Boga i Imperium Brytyjskiego. A oni są, istnieją. Poparli go. Wyłożyli pieniądze. Pomogli mu założyć tygodnik. Pierwsze uczciwe pismo w Anglii. Pierwsze, atakujące uczciwie i wprost żydowską klikę, rujnującą gospodarkę Imperium. A także Irlandczyków, tych zdrajców Imperium, tych sprzedajnych pseudopatriotów swej nędznej wysepki, rodaków sodomity Wilde'a. I nie-katolików, wrogów Boga Żywego. Nie, nie jest sam, nie jest sam. Za to nikt nie ma takiej odwagi jak on – i dlatego właśnie inni składają los wielkiej i świętej sprawy w jego ręce. Wiedzą, że on nie zawiedzie.

Drukuje rzeczy, na jakie nie odważyłaby się żadna inna gazeta. Każdą plotkę, każdą pogłoskę, każde pomówienie. Nie boi się atakować największych potęg w kraju. Prowadzi kampanię przeciw Churchillowi, temu współnikowi żydowskiej kliky (jak Asquith, podły chwalec Rossa, jak Lloyd George, jak tylu innych). Czyim dziełem były pierwsze, niepełne i kłamliwe wiadomości o bitwie w Jutlandii, jeśli nie Żydów, pragnących zarobić miliony na giełdowej bessie? Wiadomo przecież, że fortuna Rotszyldów wyrosła na ich wiedzy o wyniku bitwy pod Waterloo, na znajomości wyniku tej bitwy, przyniesionej im pierwszym przez gołębia pocztowego. O, Żydzi są chytry, umieją dorwać się pierwsi do każdej informacji, na której można zarobić! A Anglicy pozbawieni honoru wchodzą z nimi w spółki. Czyż sir Ernest Cassel, Żyd urodzony w Niemczech, nie jest przyjacielem rodziny Churchillów? Jest. Skoro tak, czy wojna światowa mogła być wojną uczciwą?

Churchill milczy. Nie wytacza procesu o zniesławienie. Zatem mają rację. Zatem można posunąć się dalej.

Lord Douglas odkrywa spisek.

W 1916 roku lord Kitchener, zaproszony przez cara, płynął statkiem do Astrachania. Statek wpadł na minę, Kitchener zginął. Twierdzono, że to przypadek. Co za nonsens! Morderstwo!

Kitchener wiozł ze sobą ekspertów, którzy mieli zastąpić w carskim rządzie Skorumpowanych Bolszewickich Żydów. Ależ tak. W 1916 Rosją już rządili bolszewicy, lord Douglas wie to na pewno. Najszlachetniejsi ludzie Imperium Brytyjskiego robili, co mogli, żeby położyć temu kres. A dalej... Chyba wszystko jest jasne! Niemiecki oficer marynarki zapewniał, że na drodze statku nie było niemieckich min. Skoro tak – na lorda Kitchenera dokonano zamachu. Kto mógł to zrobić jeśli nie żydokomuna i jej sługusy z Churchilllem na czele?

I tak oto nadchodzi największy triumf w życiu lorda Douglasa. Warto było czekać tak długo.

Przestaje być izolowany. Przestaje być samotny. Nie jest już dziwakiem, pieniaczem, wariatem, którego nikt nie traktuje poważnie. Zbiegają się do niego tłumy: zwolenników, popleczników, przyjaciół. Choć raz to, co mówił, co pisał, znalazło oddźwięk. Kogo obchodziła sprawa biednego Oscara, kogo obchodziła sprawa tej żmii Rossa? T o obchodzi każdego. Zatem zdradzono i sprzedano Anglię? Ci, którzy nami rządzą lub rwą się do rządzenia są agentami i szpiegami międzynarodowej żydowskiej kliky? I chodzi po prostu o pieniądze, jak zawsze o pieniądze?

Wiec. Pierwszy wiec w życiu lorda Douglasa. Pierwsze publiczne przemówienie. Pierwsze oklaski. Ludzie wiwatują na jego cześć, ludzie biją mu brawo! Powstaje komitet, mający wyjaśnić sprawę śmierci lorda Kitchenera i sprawę bitwy jutlandzkiej: kilka dam z towarzystwa, jeden pułkownik, jeden generał i on, lord Douglas. Naprawdę nie jest już samotny! Rozsyła na wszystkie strony kopie swego pierwszego wiecowego przemówienia (zawsze to robił, zawsze rozsyłał kopie wszystkiego, co napisał lub powiedział, znał wagę reklamy – nie tak, jak biedny Oscar), drukuje pamflety... Trzydzieści tysięcy nakładu broszury, poświęconej sprawie dotyczącej każdego Brytyjczyka i każdego uczciwego człowieka, tyle rozejdzie się na pewno? Na początek drukujemy trzydzieści tysięcy. Rozchodzi się sześć tysięcy. Przeholował. Ach, trudno! To jeszcze nie koniec. Lord Douglas dopiero rozwija skrzydła!

Nie zdążył.

Przychodzą policjanci. Jest aresztowany. Oskarżony o zniesławienie Churchilla.

O, tym razem nie może się uskarżać. Prasa aż kipi jego nazwiskiem. Wszędzie go pełno. Jak to mówił ten łajdak Oscar przed s w o i m procesem? *No, teraz nikt nie będzie mógł udawać, że o mnie nie słyszał!* Powtórzyło się. To także się powtórzyło. Tytuły w gazetach. Afisze. Winston Churchill kontra Alfred Douglas! Nareszcie. To jest wielkość. To jest sława.

Winston Churchill, Wielki Lord Admiralicji z wojny światowej, człowiek stulecia, kontra lord Douglas! Długo się wahał przed wydaniem otwartej bitwy temu dudusiowi Wilde'a, temu historykowi, piniaczowi, pomyłonemu wydawcy *Plain English*. Ale w końcu się zdecydował. A zatem uznał sprawę za poważną – albo doszedł do wniosku, że, choć niepoważna, może mu się opłacić. Trwa kampania wyborcza. Sztaby doradców, gromady politycznych graczy naradzały się nad kolejnym posunięciem. I zdecydowały się. Proces o zniesławienie.

Lord Alfred Douglas oskarżył Churchilla o zarobienie 40 tysięcy funtów na pierwszym, fałszywym komunikacie o wyniku bitwy pod Jutlandią. Te 40 tysięcy miały być tylko jego dołą w zarobku *Żyda Cassela* i jego syndykatu: cała klika dostała 18 milionów z brytyjskiego skarbu i 36 milionów z niemieckiego. Tak brzmiało oskarżenie w *Plain English*. Oczywiście, lord Douglas może przeprowadzić w sądzie dowód prawdy. Czekamy!

Jest grudzień 1923 roku. Trwają wybory. Churchill, kandydat konserwatystów, witany jest na wiecach okrzykami *Podżegacz wojenny!* i *Wróg ludu!* Na placach Londynu gromadzą się manifestanci, ulicami Londynu przeciągają pochody z transparentami. Na chodnikach trzeszczy szkło z potłuczonych szyb. Jakież ręce wrywają kamienie z bruku i ciskają nimi w te szyby, które jeszcze ocalały, w policjantów, w latarnie. Wolność, sprawiedliwość i godziwe zarobki. Nie dopuścimy do nowej wojny. Skończyć z bezrobociem! Ludzie szaleją pod zimnym, pochmurnym niebem. Mały, gruby Churchill musi się chronić za murem policji pieszej i konnej, ale i tak wytłuczono mu kamieniami szyby w samochodzie – wróg ludu, podżegacz wojenny! – i tak rozjuszony tłum zagłuszył swym wyciem każde wypowiedziane przez niego słowo, i tak pozostaje mu tylko ucieczka... *Ależ to rosyjskie wilki, nie angielscy robotnicy!* – mówi mały, gruby Churchill wsiadając do samochodu, z którego pospiesznie wymieciono kawałki szkła, i zapala cygaro, i uśmiecha się, i wśród wycia stada wilków, i wśród chrzęstu stłuczonych szyb odjeżdża do sądu.

Stary wariat Douglas, człowiek, którym wszyscy gardzą, dał się użyć do walki wyborczej ze swymi naiwnymi oszczerstwami, które da się obalić pstryknięciem palców. Całe szczęście. Z tym trzeba się rozprawić, i to z hukiem. Do wyborów zostało już tylko kilka dni.

A trzy z tych dni zajmie proces. O nie, nie zostaną zmarnowane. Niech Bóg błogosławi tego durnia Douglasa!

Churchill przez całe trzy dni nie opuszcza sądu. Uśmiechnięty, wesoły. Żartuje, rozbawia salę. Czy wdałby się w ten proces, w takiej chwili, gdyby wygrana nie była stuprocentowo pewna?

Wielka klęska lorda Douglasa.

Ośmieszony. Zniszczony.

Wspiera go tylko jeden świadek. Kapitan Spencer, zacy człowiek, wspierający finansowo *Plain English*, zacy wróg Żydów, zbrojńców, złodziei, całej tej bandy... Człowiek, któremu Churchill powiedział – ależ tak, powiedział mu to osobiście i kapitan Spencer powtórzył to przed sądem! – że dał pierwszy komunikat o bitwie w Jutlandii po to, żeby dostać forszę od Jankesów, dosłownie! Kapitan Spencer staje wreszcie na miejscu dla świadków. Zeznaje. Ale zanim jeszcze zaczął zeznawać, na twarzach lordów, politykierów, spryciarzy pojawiają się triumfujące uśmiechy. No, posłuchajmy tego koronnego świadka, posłuchajmy go!

– Kapitanie Spencer... Właśnie, czy świadek ma prawo do tytułu kapitana?

I już na tym pierwszym pytaniu wszystko się załamuje! Kapitan Spencer zaczyna jąkać się, kluczyć, kręcić. O co pytano? O to, czy naprawdę jest kapitanem?

Cóż, mówiono mu, że był taki rozkaz w *Gazette*, który pozbawił go godności kapitana...

Rozkaz w *Gazette*! Sala zaczyna się śmiać. Słuchajcie, słuchajcie.

– Czy świadek był dwukrotnie skazany przez sądy cywilne?

Przełknięcie śliny.

– Tak.

– Czy świadek został trzykrotnie uznany za chorego umysłowo?

– Nie pamiętam.

– Czy świadek leczył się w szpitalu dla umysłowo chorych w Salonikach?

Kapitan Spencer ożywia się. O, to pamięta! To było tak.

Odkrył w Rzymie spisek związany w celu zabicia rosyjskiego cara. Uciekł ze szpitala, żeby uprzedzić o tym kogo trzeba, ale schwytano go i uznano za chorego umysłowo. To też był spisek. Drugi spisek. Chodziło o to, żeby wykluczyć go z armii!

– Czy był pan prześladowany?

– Nie. Oni zamordowali lorda Kitchenera, ale dla mnie byli bardzo mili.

O Boże!

Przygważdżają go, rozstrzeliwują krzyżowym ogniem pytań, wbijają na szpilkę i pakują pod szkło. A on niczego nie rozumie, niczego nie rozumie!

Więc Churchill osobiście powiedział mu, że brał pieniądze od Jankesów? A gdzie i kiedy mu to powiedział? Gdzie świadek poznał pana Churchilla?

– U lady Churchill na St. James Place.

Triumf! Lady Churchill nie mieszka tam od czasów, kiedy „kapitana” Spencera nie było na świecie!

– A jednak tam poznałem pana Churchilla – upiera się świadek. – A w 1912 spotkałem go wychodzącego z Boodle’s Club...

– Nigdy w życiu nie byłem w tym klubie!

– A w 1915 przywiozłem z Ameryki dwie maszyny, na których Churchill oparł ten swój pomysł czołgu. I dostałem za to od rządu pięć tysięcy funtów. Miałem informacje, że Lenin i inni bolszewicy jadą ze Szwajcarii do Rosji. A jeszcze inny bolszewik ma zabić cara. Doniosłem o tym sir Roddowi w maju 1917. W Salonikach powiedziano mi, że mam halucynacje o bolszewikach w wyniku porażenia słonecznego. Uciekłem w stroju pielęgniarki Czerwonego Krzyża...

– Pieszko?

– O, nie. Na rowerze. Trzy mile jechałem na rowerze w stroju pielęgniarki do amerykańskiego konsulatu. Tam mi powiedziano, że wszystko będzie dobrze, i odesłano mnie do Salonik.

Śmiech. Cała sala się śmieje. Kliniczny przypadek!

– Kiedyś pracowałem na Downing Street 10! – woła jeszcze biedny szaleniec. – Sekretarz pana Lloyd-George’a dał mi tam pokój, biurko, materiały piśmienne i kazał mi czuć się jak u siebie w domu. Mój oficjalny adres w Ministerstwie Wojny... na wypadek, gdyby ktoś mnie potrzebował... jest c/o 10 Downing Street! Razem z listami premiera!

Ach, wszystko jasne.

Obrona czepia się ostatniej, żalostnej niteczki: a może lord Douglas szczerze wierzył w to, co pisał i drukował? Może nie domyślił się, że ma do czynienia z człowiekiem obłąkanym? Może był tylko naiwny? Uwierzył? Dał się oszukać?

Sąd naradza się przez osiem minut. Ani chwili dłużej. I wraca na salę z wyrokiem: winny. Lord Douglas jest winny!

I tak zostanie potraktowany łagodnie. Sąd przyjął za dobrą monetę argumenty obrony. Inaczej wyrok byłby surowszy. A tak...

Rok więzienia. Ścisłej: sześć miesięcy bezwarunkowego więzienia, następne sześć do uniknięcia, jeżeli wplacona zostanie kaucja – *aby zagwarantować spokój poddanym Jego Królewskiej Mości.*

Więc jednak!

Już nie jeden dzień. Pół roku, może rok. Wróci do piekła, którego kiedyś tylko dotknął, które mignęło przed nim jak ostrzeżenie. Zgubiony! Jest zgubiony!

In excelsis

O nie, nie posłano go do Reading. Tego by tylko brakowało, żeby to też było Reading. Życie nie jest aż takim żartownisiem.

Wormwood Scrubs. To samo szare, cuchnące gazem Wormwood Scrubs, gdzie mu powiedziano: *Niech pan tu nie wraca!* Wrócił.

Wrócił z wysoko podniesioną głową. Już nie struchlały i przerażony jak wtedy, gdy musiał tu spędzić jeden dzień i jedną noc. Bóg poddał go próbie, a on tę próbę wytrzyma. Ofiara żydowskiego spisku. Ofiara zbrojeńców. Bohater. Męczennik. O nie, tym razem nikomu nie uda się go złamać!

Już nie jest tak, jak za czasów tego pedała Wilde'a. Łazienki z ciepłą wodą. Raz w miesiącu wolno napisać i otrzymać list. Raz w miesiącu ma się widzenie.

Tylko jedzenie jest wciąż takie samo. Cuchnące świństwo w zardzewiałych miskach.

Nie weźmie tego do ust.

Głodówka – nie. To byłby nonsens. Ale niczego prócz chleba i chudego kakao na wodzie nie weźmie do ust. To jest pewne. Nie da się złamać. Wytrzyma.

Chudnie. Chudnie błyskawicznie. Niknie w oczach. Przez całe pięć tygodni. Aż wreszcie – sukces. Udało się!

Przenoszą go do szpitala. Tu zostanie do końca wyroku. W lepszych warunkach, z lepszym jedzeniem. A nie prosił o to! Duma, że o to nie prosił. Och, jest sprytniejszy od biednego Oscara, od tej kanalii. Sprytniejszy i twardszy. Zniesie więzienie z godnością, nie tak, jak on. Nie pozwoli się złamać.

Odsiedzi swoje w szpitalu. Będzie pracował w ogrodzie. Będzie grał na organach w katolickiej kaplicy. Jest człowiekiem, nie psem: wytrzyma. Bez tęsknoty za kimś, kto pozostał na zewnątrz. Bez skomlenia, bez skowytu. Tamten dzień, tamta próba więzienia była straszna. A to – o dziwo – jest lżejsze. Łatwiej znieść to przez pół roku teraz niż przez jeden dzień wtedy. Takie już jest życie.

Tylko jedno mogło go złamać, tylko jedno. Ale Bóg jest miłosierny.

Głodził się przez pięć tygodni. Wygrał. Zabierają go do szpitala. I co go wita u progu?

Kot. Kot z myszą w pysku!

Tego nie przeżyje. Od tego umrze.

Jeżeli tu są myszy...

W jego poprzedniej celi nie było żadnej! O tak, mówiono mu, że w szpitalu są myszy, ale nie wierzył w to, nie śmiał wierzyć. Zatrzymuje się. Drży. Pot skrapla mu się na czole. Kot czmychnął ze swoją zdobyczą, strażnik pogania...

– Czy tu... są... myszy? – pyta rwącym się głosem lord Douglas. A strażnik, ten grubianin, kpi sobie:

– Może i są. I co z tego? Myszy nic panu nie zrobią!

Ach, ci prostacy nie rozumieją wstępu.

Trzęsie się ze zgrozy. Ocieka potem. Wreszcie zaczyna się modlić.

Nigdy w życiu nie modlił się tak żarliwie. Nigdy i o nic. Do świętego Antoniego. Niech tu nie będzie myszy! Spraw, żeby tu nie było myszy!

Cud. Nie pierwszy i nie ostatni w jego życiu, w tym życiu pełnym cudów, pełnym widomych znaków Łaski Bożej, w życiu wybrańca niebios. Ani jednej! Ani śladu! Tylko ta pierwsza w kocim pysku na progu szpitala, więcej myszy nie będzie. Ani jednej. Święty Antoni go wysłuchał. Jak wtedy, gdy szukał świadka przeciwko tej kanalii Rossowi, i zjawił się anioł – w przebraniu chłopca z gminu – i pomógł mu znaleźć świadka. Tego żołnierza, którego brat uciekł z domu – podobno z powodu Rossa; niewykluczone w końcu, że z powodu Rossa. I jak jeszcze nieraz. Ani jednej myszy!

Pracuje w ogrodzie w piękne, wiosenne dni. Gra na organach. Pisze sonety – o więzieniu.

To chyba lepsze niż Szekspir?

Nie może uwierzyć, że to on napisał coś podobnego. Sam Bóg musiał kierować jego ręką.

Bo przecież Bóg był w więzieniu tak samo jak on. Wydany i zgubiony przez Żydów – takich samych jak Ross czy lord Cassel – i przez ich rzymskich sojuszników – takich samych jak Churchill. *Z zamętem w ciele i zamętem w dusz* — tak, to właściwe słowa – przyjął *ból, głód, zniewagi i ciężką niewdzięczność*, i znalazł się w tym *piekle, gdzie żywimy się własnym mięsem...* ale *kto pozostanie na zewnątrz, gdy Bóg jest w więzieniu?* A kto raczej da się zamknąć wraz z nim, *stawiając czoła furii Żydów?*

Tylko on. Tylko lord Douglas.

Bóg jest z nim.

Obu ich zamknięto w celi.

Dla tego poganina Wilde'a więzienie było przedsionkiem piekła, dla niego jest przedsionkiem nieba. Dla Wilde'a było ciemnością, dla niego światłem. *De Profundis?* Sam tytuł, sam tytuł tego, co wyniesie z więzienia lord Douglas, będzie odpowiedzią i nauką: *In excelsis!* Tak nazwie swoje wiersze. Samym tytułem dowiedzie, kto jest lepszy. Samym tytułem udowodni, po czyjej stronie jest Bóg.

Dawniej też to robił. Ale delikatnie, nieśmiało, mimochodem. Pokazywał swą wyższość nad tym rozdętym jak zeppelin beztalenciem, Wildem. Nikt nie zauważył tej jego wyższości. Cóż, teraz odrzuci wszelkie skrupuły. Pokaże to jasno, brutalnie. Obaj byli w więzieniu, Wilde i on. Jeden wyszedł z celi z *De Profundis*, drugi z *In Excelsis*. Och, to ustawi sprawy raz na zawsze!

Ludzka ślepotą ma swoje granice.

Ten prostak Wilde nie miał duszy poety. Napisał trochę wierszy, ot tak, mimochodem, naprawdę ciągnęła go proza, dramat, teatr, za mało w nim było wzniosłości, żeby mógł stać się poetą. Mimo to napisał trochę wierszy – i z pokorą przyznał, że są one niczym wobec wierszy lorda Douglasa, zwykle wprawki, zabawa, nie ma o czym mówić... Ślepcy tego nie zauważyli. Nawet wiersze tamtego cenili wyżej, nawet wiersze! Napisali obaj o Londynie, jeden nazwał swój wiersz *Impréssion de Nuit*, drugi *Impréssion du matin...* a ślepcy nic nie zauważyli, nie! Nie przyznali lordowi Douglasowi palmy pierwszeństwa, przekłeta klika kalek!

On, lord Douglas, pisał oczywiście o nocy, to Wilde, pospolity jak zawsze, wolał poranek. On, lord Douglas, zaczął patetycznie: *Spójrz, ile klejnotów nałożyło miasto*, a potem opisywał je wszystkie, rubiny i szmaragdy, i ametysty, opisywał tysięczny naszyjnik miasta rzucają-

cy wyzwanie gwiazdom, i odbicie księżycy w błotnym zwierciadle, i piersi Londynu pokłute lampami, piersi, które się poruszają, piersi, które dyszą! *A w jej mózgu, ciemnymi jak śmierć uliczkami, Ludzie pełzną jak myśli...* Och, to było wielkie, to porażało, zbijalo z nóg! Czymże była w porównaniu z tym tandetna, katarynkowa piosneczka Oscara? Szarość Tamizy, łódź z sianem odpływa od przystani, kopuła świętego Pawła wylania się z mgły, budzi się życie: wiejskie furgony zatrzęsły ulicami, ptak zatrzepotał... *I tylko wlecze się samotnie / Kobieta w pocałunkach brzasku / I w bladym lamp gazowych blasku: / Jej serce głazem, usta – ogniem.*

Tandeta. Banał. Prostactwo. Wiersze parweniusza. Tak samo pisał Oscar o więzieniu, z natłokiem wulgarnych szczegółów, bez patosu, bez wielkości: opisywał ogolone łby i szycie worków, i wycie psalmów, i poranny cień kraty na ścianie celi, i krążenie po spacerniaku, i pełne zgrozy patrzenie na egzekucję skazańca, na ten jego wzlot z szyją w pętli, na ten ostatni taniec... Wulgarny, prostacki, tandetny, taki zawsze był Oscar.

Lord Douglas pisze. W więziennym szpitalu, wśród pierwszych kwiatów w ogrodzie, podczas mszy w kaplicy układa kolejne zwrotki. On też opisze cień krat na ścianie, ale nazwie go srebrną siecią – Oscar nigdy nie wpadłby na te słowa! A przede wszystkim w sercu Oscara nie było anioła, śpiewającego: *Niebo blisko!* W jego sercu jest. Prawdziwy anioł! Pisze o tym.

Miłość Boga. To mu towarzyszy, to go wynosi na wyżyny, w światłość. Z Oscarem też była miłość, ale zła i brudna, miłość cielesna, szaleństwo zbrojeńca, dlatego więzienie było dla niego piekłem, nie rajem. Bo miłość jest wielkim dobrem, tak; ale musi być c z y s t a! A jeśli będzie nieczysta... Czy ma dodać w nawiasie: *nawet w małżeństwie?* Tak, doda to. Żeby wszystko było jasne. Więc *każda miłość nieczysta...* w nawiasie: *nawet w małżeństwie... wpada w chorobę pustki.*

I o honorze napisze. Bo jego jednego, jego jednego prowadzi honor! Jego duch *bije skrzydłami, walcząc z siecią!* – *Dobrze wiecie, że nigdy nie zgiąłem kolana...* *Grę zostawiłem innym* – *Trwałem na szczycie świata* – *Słyszycie mój głos anielski?* – *Anglia ugina się przed korupcją i przed czarną nocą!* — *Izrael sący swój jad w angielską krew!* — *Wasi kupieni przez Żydów politycy handlują Anglią na rynku. Żydzi oparli nogi na waszych angielskich karkach... lecz nie na moim!... lecz nie na moim* – *A wy, podli i sprośni pismacy, paskudzący strony schematami kontroli urodzeń, wolną miłością, rozwodem...* – *Zostańcie sobie z waszą „angielską flegmą”, ja nie przyjmę Pax Judaica!* – *Gwiazda moja świeciła jasno, uśmiechał się mój anioł, poszedłem białą drogą* – *zachowałem mój szkocki honor w angielskim więzieniu* – *tylko przed Chrystusem uginałem karku...* O, moje niewidzialne skrzydła! O, dziecino w złóbkę! *Kolano Douglasa przed Baalem nigdy nie przyklęknie!* O, gwiazdo moja, gwiazdo, za którą idę...

A to wszystko w nienaganej formie sonetu z Quattrocenta!

Czy doprawdy o n to napisał? Coś tak wielkiego? Takie arcydzieło?

Bóg prowadził jego rękę. To pewne.

Odpowiedział Oscarowi. I całemu złu świata. I wszystkim swoim wrogom. Na *De Profundis* odpowiedział *In Excelsis*. Na łacinę – łaciną na trywialne, zaślinione bzdury – wzniosłością. Poeta pokolenia!

Poeta wszech czasów.

Portret Doriana Graya

Tyje. On także tyje. Można było się zarzekać, można było kpić z grubasów...

Teraz sam jest gruby. On, lord Douglas – gruby jak tamten! Twarz ma nalaną, podbródek zwisa, nos sterczy do przodu jak wielki pal zakończony siną kulą. Cóż, wie dobrze, że nie jest już taki, jak na tych rysunkach, fotografiach, portretach, którymi udekorował swój pokój w domu matki. I to boli. To strasznie boli.

Gdyby to, co wymyślił Oscar, było prawdą, gdyby portret mógł starzeć się zamiast nas... Boże, jakże on w to wierzył, on, lord Douglas! Że nigdy się nie zestarzeje, że nigdy się nie roztyje, że nigdy się nie zmieni.

I jeszcze – o tym Oscar nie wspomniał, o tym może sam nie wiedział (biedny Oscar umarł tak młodo, Jezu Nazareński, o ileż on sam jest teraz starszy niż biedny Oscar w chwili śmierci, biedny czterdziestosześcioletni Oscar, młodzik, dzieciak!) – i jeszcze, że nigdy nie zmieni się od wewnątrz. Ta sama dusza, to samo serce, te same myśli: to jedno było pewne, oczywiście, zagwarantowane przez niebiosy. Nieprawda. To też się zmienia. Już nie myśli jak kiedyś, już nie czuje jak kiedyś: przyszła starość i zabrała coś więcej, niż smukłe ciało, gładką skórę, mały nos, blask oczu; zabrała duszę.

Już mu nie zależy!

Wyniósł swoje wiersze – dzieło swego życia – z Wormwood Scrubs w pamięci, nie w zeszytach (zeszyt mu zabrano), i zapisał je natychmiast, na pierwszym stole, jaki znalazł się na jego drodze – siedemnaście sonetów, siedemnaście słupów milowych świata, i dał je do druku, i nikt nie zwrócił na nie uwagi, a on cierpiał nad tym, cierpiał, aż wreszcie... wreszcie przestał cierpieć. Ach, co go to w końcu obchodzi.

Awanturował się, procesował o swoją cześć, o swój honor: przegrywał, wygrywał, nie dawał o sobie zapomnieć, każdym pozwem do sądu potwierdzał, że jest, żyje, istnieje, aż nagle machnął ręką na którąś z kolei zniewagę, nie pognął do adwokata: co go to w końcu obchodzi?

To przychodzi z czasem. Stopniowo.

Napisał i wydał swoją autobiografię. Jeden wielki atak na tego szczura, Rossa. Ale nie tylko na niego. Jeszcze na tego kłamcę Harrisa. I na tego zdrajcę, tego szubrawca, tego pozał się-Boże-premiera, Asquitha. Na tych wszystkich idiotów i hipokrytów, kłamców i drani, na te zera zazdroszczące mu geniuszu... O, to ustawi sprawy raz na zawsze! Po tej książce nie będzie już można rozsławiać Oscara, tego uwodziciela, cynika, łotra, tego drugorzędnego literata, który przyczepił się do niego, lorda Douglasa, żeby nie pozwolić mu się wybić, nie pozwolić mu zdobyć należnego uznania i rozgłosu, żeby – złudna nadzieja! – żeby rozbroić i uziemić jego talent... Ale to Oscar przegrał. Wpadł we własne sidła. Bo przecież sam nie umiał tworzyć bez niego, lorda Douglasa. – Co napisał po tym, jak musiałem go opuścić? Nic poza listami! Nic!

Tylko te wierszydła o Reading. Nie ma o czym mówić. Nic.

Zniszczył Oscara. Zniszczył jego pamięć. Rozwalił postument jego pomnika. Jest tego pewny.

Ale tamci – jego wrogowie – wciąż mówią tylko o Oscarze. Nigdy o nim. Tylko o tamtym. Wznawiają jego książki, grają jego sztuki, piszą o nim, wiecznie coś o nim piszą... A on protestuje. Pozywa ich do sądu. Wysyła listy otwarte. Trzęsącymi się rękami wyciąga dokumenty, pokwitowania, kopie czeków. Zgubiłem go? Ja? A ten czek na sto funtów? Ten czek do Neapolu? Czy daje się pieniądze komuś, kogo się zgubiło? A ten czek na dziesięć funtów, ten do Paryża, kiedy Oscar umierał?

Tylko dodaje Oscarowi sławy. Ale nie wie o tym. Nie rozumie tego. Tak strasznie go nienawidzi. Tak strasznie dławi go zawiść, i poczucie krzywdy, i urażona duma. Oscar, to beztalencie, stał się nieśmiertelny, a on wraz z nim: jako mała kanalia, która go zgubiła, jako ślepe narzędzie losu. Oscar jest wielkim artystą, kim zatem może być ten, który go zgubił? Zerem! Och, to wygodne. To bardzo wygodne. To oczywiście. Ale czy ludzie doprawdy mogą być aż tak ślepi...

Dedykuje tom wierszy Rosencrantzom i Guildensternom, tej bandzie która zmusiła go w końcu, by lepiej myślał o przeciętnym Żydzie niż o przeciętnym Angliku – tak, do tego doszło! Nie Żydzi są najgorsi, nie Żydzi! Nie Ross! Wie to teraz. Wie i nie wybaczy.

A oni wciąż przychodzą. Cieszy się, zastawia stół ciastkami i konfiturami, przygotowuje w myśli to, co im powie o swoich wierszach, o swoim życiu, o sobie... Przychodzą. Dziennikarze, młodzi poeci, biografowie. I pytają o Oscara. Już na progu pokoju o Oscara!

Jak gdyby on sam nie istniał. Jak gdyby nic nie znaczył.

Nie mają pojęcia o nadziei, z jaką na nich czeka. Może i lepiej. Nie domyślają się chociaż tego bólu, który czuje, kiedy już na progu...

– Wie pan, milordzie? Idąc tu, wybrałem się specjalnie pod dom, w którym mieszkał kiedyś Oscar Wilde...

Nie może tego powstrzymać. Wykrzywia się drwiąco. Wybucha:

– Mam nadzieję, że już tam wmurowano tablicę pamiątkową? I ustawiono jego pomnik na koniu?

Ci, którzy przychodzą, patrzą na niego wzrokiem zranionych saren. Jak można tak kpić? Prędzej czy później tablica pamiątkowa zostanie, oczywiście, wmurowana. I pomnik – no, może nie na koniu – ustawiony. A lord Douglas powinien wreszcie, na Boga, zrozumieć swoją rolę wobec historii. Ostatecznie jest głównym żyjącym świadkiem życia Oscara Wilde’a, Niechże okaże trochę sumienia, niech zrozumie własną powinność. Chciałem zapytać, milordzie, o pewien epizod z życia Oscara Wilde’a, który pan najlepiej powinien rozświetlić...

O jego wierszach nikt się nawet nie zajknie. Nikt!

Lord Douglas może najwyżej, zapytany, kogo uważa za największego we współczesnej literaturze, powiedzieć gorzko:

– O obecnych, jak zwykle, się nie mówi?

I zobaczyć zdumienie w oczach pytającego, i dać za wygraną, wie przecież, że nikt nie zna, że nikt nie ceni jego wierszy, że gdyby nie znalazł się kiedyś w łóżku z ich wielkim Oscarem, nie zapamiętano by nawet jego nazwiska, na wieki pozostanie dudusiem Wilde’a i zgubą Wilde’a, niczym więcej... może więc tylko odpowiedzieć kostycznie, że – skoro o obecnych się nie mówi – nie ma w literaturze angielskiej niczego godnego uwagi. A oni notują grzecznie. Nic im nie przychodzi do głowy. Jeśli są to ładni, młodzi chłopcy, dostają ciastka i konfitury, pożerają je, pytając o Wilde’a, potem odchodzą, a on zostaje, upokorzony, sponiewierany, odrażony, ale i pełen godności... jak święty! Jak święty!

To piękne stworzenie, nazywające siebie „reinkarnacją Doriana Graya” (jak gdyby on, lord Douglas, już nie żył! ach, ale on, grubas z ogromnym, sinym nosem, jest teraz portretem Doriana Graya, niczym więcej), to piękne stworzenie, wyrzucone z Oxfordu (zdaje się, że biedak zrobił potem karierę w amerykańskich musicalach), takie oddane, takie wdzięczne, takie zalotne... Blask jego oczu, trzepot rzęs, wysmukłość szyi! Młodość, jego własna młodość! Jego ostatnia miłość – miłość do własnej młodości! Nie tknął go, nie tknął tego cudownego chłopca; oczywiście, że go nie tknął. Jak święty! Karmił go ciastkami, konfiturami i kremem, pił go słodkim winem, i wpatrywał się w niego w zachwycie (ta brzoskwińowa cera, złote loki, blask oczu, trzepot rzęs!), w tego naiwnego wielbiciela Wilde’a w tę „reinkarnację Doriana Graya”, we własną młodość, wpatrywał się w niego aż do bólu oczu, aż do pęknięcia serca, a potem odprowadził go do portu, gdy odpływał do Ameryki po sławę, dając mu na pożegnanie lustro z rączką z kości słoniowej i wiersz... Ale nic więcej! Naprawdę święty!

I tak samo krzywdzony, poniewierany, szkalowany jak wszyscy święci.

Nie piszą o jego książkach! Nie recenzują jego wierszy!

To prawda, nie umie o to zabiegać. Nie umie łaścić się do Rosencrantzów i Guildensternów. Może tylko lżyć i grozić. Napadać na tę bandę w mowie i w piśmie, przede wszystkim w piśmie. Na sędziów, wydających wyroki przeciwko niemu. Na krytyków, którzy zachowują się, jakby nie istniał. Na Asquitha i jego żonę, tę ciotę, tę wesołą Małgoškę koronowaną przez lesby... na Jowisza! Mogła sobie podpisywać list do Rossa, ale to, co o n zrobił, ustawi sprawy jak należy, i raz na zawsze. Na Jowisza! Na Jowisza!

A potem łagodnieje. Ale nie do końca.

Gdyby choć nie musiał czytać tych bzdur. Tych *obrazów literatury angielskiej*, w których (nigdy, przenigdy!) nie pojawia się jego nazwisko, tych artykułów o współczesnej poezji, w których jego nie ma, tych biografii Wilde'a, w których pojawia się niczym zbiorczych zadać cios... I ani słowa, że był wielkim poetą, ani słowa! Ani linijki z jego wierszy. Piękny młody lord bez grosza, łądak jakich mało. Takim go widzą. Ani słowa o Londynie w klejnotach, o aniele w sercu, o Chrystusie w celi Wormwood Scrubs. Jakby tego nie było, jakby to nie było ważne. Poeta? Lord Douglas – poeta? Wybuchają śmiechem słysząc to słowo. A jakże, duduś Wilde'a, zguba Wilde'a, ten mały żigolak bez serca pisał wiersze, może ciągle je pisze, ale kogo to obchodzi? Tytuł jest na świecie grafomanów!

To boli. To strasznie boli. A potem nagle przestaje. Nadeszła starość.

Schyłek lat trzydziestych. Tuż przed wybuchem wojny. Prom przepływa – jak tyle razy przedtem – przez kanał La Manche, a on, lord Douglas, stoi na pokładzie. Maleją i giną z oczu białe skały Anglii, wieje wiatr. Lord Douglas patrzy na fale, oddycha głęboko, odmawia różaniec... Nagle ktoś do niego podchodzi. Dawny znajomy. Dokąd to udaje się lord Douglas? Do Paryża. On też. On też do Paryża. Więc może zjedliby dziś wieczór razem obiad u *Maxime'a*?

Lord Douglas od trzydziestu lat nie był u *Maxime'a*. Może i dłużej. Mówi to – i czuje chłód, przelotny, nieważny chłód starości. Bo to jest właśnie starość. Nie być gdzieś – wszystko jedno gdzie – od trzydziestu lat!

Wieczorem idą razem do *Maxime'a*. Nic nie jest tak, jak wtedy. Restaurację świeżo odnowiono. Wszystko pachnie nowością. Wielki Boże, ile to już lat? Trzydzieści? Czterdzieści? Wchodzą do środka. To właśnie starość. Te wspomnienia. Ileż to razy, kiedyś... przy tym stoliku w kącie... i przy tym pośrodku... ile sław, Boże, ile sław siedziało przy tych stolikach! I ja też, ja też, ile razy! *Maître d'hotel* wychodzi im naprzeciw, gnąc się w zdawkowych ukłonach. Nagle przystanął. Spojrzał. Cofnął się. Zawahał. Znów krok do przodu. I raptem to rozjaśnienie jego pomarszczonej twarzy.

– *Mais oui! Mais oui! Mais c'est lord Alfred Douglas lui-même!*²

O Boże. Poznał go.

Po trzydziestu – a może więcej? – latach poznał go *maître d'hotel* u *Maxime'a*.

To właśnie szczęście.

On też. On też pamięta. Był pan tu wtedy kelnerem, podawał pan do stołu, ależ tak, pamiętam, pamiętam... O Boże, tyle lat! Bywał tu kiedyś z biednym Oscarem, ależ tak, a więc to już czterdzieści lat, nie trzydzieści, bywał tu z biednym Oscarem, on, najpiękniejszy w Anglii, złotowłosy, długorzęsy, nonszalancki, zwycięski. Powraca jako ruina. Wie, jak wygląda. Czuje to. Portret Doriana Graya! To też zawdzięcza tamtemu. Wszystko zawdzięcza tamtemu. To porównanie również. Dorian Gray miał być wiecznie piękny i młody; całą ohydę starości wziął na siebie jego portret. Ale w życiu to niemożliwe. Sami musimy to dźwigać. Co za ciężar!

Teraz jest szczęśliwy.

Poróżwiał. Oczy mu błyszczą. Najpiękniejsze oczy Anglii – teraz podkrążone workami zwiotczalej skóry, otoczone siatką zmarszczek, pomniejszone potwornością tego zognionego z niewiadomych przyczyn, sinego nosa – błyszczą. Odmłodniał. O Boże, stolik u *Maxime'a*. Ten sam, co wtedy. Aperitif. Zakąski. Karta win. Zachwycony *maître d'hotel*. Ależ tak, ależ tak, to lord Alfred Douglas we własnej osobie.

² *Mais oui! Mais oui! Mais c'est lord Alfred Douglas lui-même!* – Ależ tak! Ależ tak! Toż to lord Alfred Douglas we własnej osobie!

Lord Alfred Douglas. Ten piękny, arogancki kochanek Oscara Wilde'a, legenda paryskich knajp i hoteli nad Morzem Śródziemnym. A on nie protestuje przeciwko takiemu pomniejszeniu samego siebie, nie oburza się, jest szczęśliwy. Pamiętają go. Poznają go po dziesięcioleciach niewidzenia, tak postarzałego, tak zmienionego. Ale poznają.

Przez cały wieczór lord Douglas opowiada dawnemu, nieważnemu znajomemu o Oscarze w Paryżu.

Starość

– Ty masz dobry gust, Erneście. Zawsze tym tłumaczyłam twoje złe prowadzenie się. A w tej szkatułce trzymam twoje kochane listy.

– Moje listy! Ależ, moja jedyna, przecież ja nigdy do ciebie nie pisałam.

– Nie musisz mi o tym przypominać, Erneście. Zbyt dobrze pamiętam, że sama musiałam pisać twoje listy do mnie. Pisywałam regularnie trzy razy w tygodniu, a czasem i częściej.

– Och, pozwól mi je przeczytać, najdroższa.

– Za nic w świecie. Byłbyś potem strasznie zarozumiały. Te trzy listy, które napisałeś, kiedy zerwałam z tobą, są tak piękne i tak nieortograficzne, że nawet teraz nie potrafię ich czytać bez łez.

– Jak to, więc zerwaliśmy ze sobą?

– Oczywiście. Dwudziestego drugiego marca. Jeśli masz ochotę, zobacz, co o tym napisałam w dzienniku. *Dziś zerwałam z Ernestem. Uważam, że tak będzie lepiej. Pogoda ciągle prześliczna.*

Publiczność śmieje się i klaszcze, lord Douglas prostuje się w swojej łoży z taką dumą, jakby sam to napisał: to właśnie starość. Nóż obracany w sercu przestał ranić, ból przestał boleć: biedny, kochany Oscar. Udała mu się ta sztuka!

– Ale dlaczego? Co ja takiego zrobiłem? – pyta aktor, grający Algernona, tego dandysa *oscarisé* aż po pięty, dziewczynę, którą widzi po raz pierwszy w życiu, a która marzyła o nim od dawna. – Przecież jestem niewinny. Bardzo mnie boli, że zerwałaś ze mną, Cecylko. Szczególnie kiedy pogoda była taka prześliczna.

Lord Douglas uśmiecha się. Może nie jest aż tak prostoduszny, żeby się śmiać, ale ileż razy uśmiecha się oglądając tę sztukę, najlepszą sztukę Oscara! A ogląda ją zawsze. Każdy spektakl, i to wielokrotnie. Właśnie dlatego, że ten jeden, jedyny raz nie był na premierze: nie chciał wrócić z Oscarem do Londynu, został w Afryce z tym małym Arabem... jakże on się nazywał? Poszedł do teatru tuż przed procesem, z Oscarem i jego żoną, ale to nie to, to był popis dla sędziów przysięgłych i dla prasy, popis żony Oscara, mający chronić jej męża: ależ lord Douglas jest tylko niewinnym przyjacielem domu, lubimy go oboje, oboje się z nim przyjaźnimy, widzicie sami! Nie, to nie było to. Za to teraz nie opuszcza żadnego spektaklu. Zasiada w swoim fotelu godny, siwy, znów szczupły – czasem chudnie się na starość – postukuje palcami w kolano, uśmiecha się w najzabawniejszych miejscach... Biedny, kochany Oscar!

– ...mam pełne prawo, żeby się ochrzcić, jeśli taka moja wola. Nie ma dowodów, że w ogóle kiedykolwiek byłem chrzczony przez kogokolwiek. Z tobą rzeczy mają się zupełnie inaczej. Ty już zostałeś ochrzczony.

– Owszem, ale nie byłem już chrzczony od lat.

– Ale byłeś kiedyś ochrzczony. W tym sęk.

– Niech ci będzie. Ale dzięki temu wiem, że moja konstytucja fizyczna wytrzyma ten obrządek. A jeśli ty nie masz absolutnej pewności, że już kiedyś przez to przeszedłeś, to, moim zdaniem, narażasz się na niebezpieczeństwo. To może zaszkodzić twemu zdrowiu. Nie zapomniałeś chyba, że twój bliski krewny omal nie umarł w tym tygodniu na ostre zaziębienie.

- Przecież sam powiedziałaś, że ostre zaziębienie nie jest dziedziczne.
- Tak było dawniej, ale nie teraz. Nauka bezustannie robi kolosalne postępy.

Lord Douglas znów się uśmiecha. Zna to wszystko na pamięć, nikt nie zna tej sztuki tak jak on, a przecież wciąż się uśmiecha. Śmiałyby się w głos, tak samo jak pospólstwo, gdyby nie był tym, kim jest. I gdyby ten nędznik, grający dziś Algernona, nie był tak pospolity. Gielgud był dobry. Gielgud był chociaż w odpowiednim wieku. Biedny Oscar!

– ...posiadam świadectwo urodzenia panny Cardew, świadectwo chrztu, koklusz, szczepień, rejestracji, konfirmacji, odry, a nawet i różyczki.

– Jak widzę, miała życie pełne doświadczeń, choć może cokolwiek nazbyt pełne dla młodej dziewczyny.

Lord Douglas znów się uśmiecha. To j e g o sztuka. Biedny Oscar pisał ją w Worthing, podczas ich wspólnych wakacji, pisał ją w najpiękniejszym czasie swego życia... I bohaterowi dał to nazwisko, nazwę miejsca, w którym był szczęśliwy: Worthing.

Nagła decyzja.

Nikt by nie uwierzył, że to zrobi. Sam by nie uwierzył. To starość, taka właśnie jest starość.

Pojedzie do Worthing.

Pół wieku minęło. Prawie pół wieku. Sentymentalna pielgrzymka! Dobrze, niech to nazwą, jak chcą. Pojedzie do Worthing.

Pojedzie jutro rano.

Worthing. I to piękne lato dziewiętnastego wieku – jest już prawie połowa dwudziestego, nawet tu mogą nadlecieć bombowce ze swastykami, wojna jest prawie wygrana, ale mogą nadlecieć, mogą nawet zaatakować pociąg, chociaż co go to teraz obchodzi? – to piękne lato, i ten dom nad samym morzem, dom z balkonem, na którym godzinami siedzieli razem z Oscarem, pracując, rozmawiając, śmiejąc się... Jak oni się wtedy śmiali! Musi zobaczyć ten dom przed śmiercią. Nie wie, dlaczego. Musi. Duży dom nad morzem i oni dwaj na balkonie. Na dole była Konstancja, ładna żona Oscara, jego synkowie kąpali się, podskakiwali na falach, biegali z krzykiem po plaży, jedyne takie lato w życiu! Zwykle, dobre lato. Jakby to wszystko było normalne. Jakby można było tak żyć. Ze wszystkimi, których się kocha – także i z tym, kogo kocha się grzesznie. W dużym domu nad morzem. Pracować i kąpać się, i spacerować po brzegu, jeść, pić, i rozmawiać, i śmiać się, i wszystko... Piękne, cudowne lato! A dom nazywał się Niebo. The Heaven. Pamięta go, widzi. Dom przy Esplanadzie, pod numerem piątym. Chodzi po całym Worthing i szuka, i nie ma Esplanady, i nie ma numeru piątego, i nie ma willi Niebo, wszystko zniknęło, wszystko się rozwiało. Jak w strasznym śnie.

Nie ma już Esplanady! Nikt o niej nigdy nie słyszał!

Starzec musi odnaleźć drugiego starca. Siadają obok siebie – lord w szarej pelerynie i jakiś miejscowy prostak – żeby razem pogrzebać w pamięci. Niczym dwie obłąkane mumie. W zeszłym stuleciu była tu ulica Esplanada, a przy tej ulicy, pod numerem piątym, willa Niebo... pamięta pan to? – Ależ tak, pamiętam! Stary człowiek z Worthing zastanawia się, wspomina, rozmyśla. Esplanada nie nazywa się już Esplanada, numer piąty nie jest już numerem piątym, ale dom... tak, dom jeszcze stoi. Na pewno stoi. Jeszcze chwila, a przypomni sobie, jak do niego trafić.

Przypomniał sobie.

Lord Douglas idzie Esplanadą, która nie nazywa się już Esplanadą, szuka numeru piątego, który nie jest już numerem piątym. Jest piękny, słoneczny dzień – jak wtedy, jak podczas tego wspaniałego lata w zeszłym stuleciu. Morze szumi. Czyżby to był ten dom? Ależ tak. To ten!

Nie zburzono go. Nie zniszczono. Nie zmieniono. Trwa.

Lord Douglas przystaje i patrzy. Tylko jedno uległo zmianie. Balkon. Ten balkon, na którym siadywali z Oscarem.

Został podzielony na pół.

Stary człowiek stoi długo, patrząc na ten przebudowany balkon. To jak symbol. Aż trudno uwierzyć. Ta ścianka działowa. Wszystko, co kiedyś było wspólne, zostało podzielone, przegrodzone murem... Minęło kilkadziesiąt lat, czy można w to uwierzyć? Kilkadziesiąt lat!

Był kiedyś piękny, młody chłopiec. Szkocki lord. Poeta piszący sonety. Zachwycano się nim. Sypiał z innymi mężczyznami, nie on jeden: ot, powszedni grzech Albionu. Szantażowano go nawet, o mało nie wyrzucono go przez to z Oxfordu... Poznał go i pokochał starszy o blisko dwadzieścia lat sławny artysta. Afiszowali się ze sobą, stali się sławną parą, artystę to zgubiło, on się wywinął. Artystę skazano na ciężkie roboty, on wyjechał. Potem przespał się z artystką jeszcze kilka razy i rzucił go, tamten przez to umarł. Powiedzmy. Może to i prawda, że umarł przez niego, z jego powodu, może i prawda. Ale on, lord Douglas, miał wtedy dwadzieścia kilka lat, weźmy i to pod uwagę! Czy człowiek ma odpowiadać przez całe życie za to, co robił, mając dwadzieścia kilka lat? Tak często się wtedy mylimy, tak bardzo się potem zmieniamy.

Tyle że tamten, umierając, przerwał i jego życie. Nie pozwolił mu rozwijać się dalej, zakonserwował go, z mumifikował, uwięził w tamtej sprawie, naznaczył go napisem CZŁOWIEK, KTÓREGO KOCHAŁEM, tak, żeby nie mógł stać się czymkolwiek innym – a potem śmiał się z grobu.

Nie, on by się nie śmiał. Biedny Oscar nie miał w sobie nic z upiora, nic z wampira. Pewnie by mu nawet współczuł. A jednak tak się to ułożyło. Został upiorem. Przegrał za życia i zwyciężył po śmierci. Stracił swego ukochanego za życia, za to po śmierci już go nie wypuścił z rąk, wbił w niego swoje szpony, przywalił go swoim ciężarem... W końcu przyszła starość i ofiara przestała się wyrwać, przestała się bronić, pogodziła się ze swoim losem. Biedny Oscar!

Biedny Oscar napisał kiedyś książkę o pięknym łajdaku, Dorianie Grayu; o pięknym łajdaku, obdarzonym przez jakiś cudowny traf łaską, o której marzy ludzkość, łaską wiecznej młodości. Przez wszystkie lata zachował złote loki i brzoskwińską cerę, i czyste, niewinne spojrzenie z poranka życia; cały był porankiem, nigdy nie przyszło południe, nigdy nie przyszedł wieczór! Szczere, naiwne spojrzenie sprzed grzechu pierworodnego. Łagodny uśmiech. Świeżość. Starość dała się oszukać. Wpiła się w ofiarę zastępczą, w portret. To portret znaczyła zmarszczkami, to portretowi wyłamywała zęby z dziąseł i wyrwała włosy znad czoła, to jemu przygaszała oczy, zniekształcała rysy, wykrecała artretyzmem i pokrywała plamami dłonie. On pozostał piękny, młody, niewinny – a więc i wszechmocny. Straszny. Niczym nie uprzedzał o zagrożeniu.

A lorda Douglasa starość dopadła. On nie jest wszechmocny. Oscar oczarował go cudowną bajką i odszedł, i śmiał się gdzieś w cieniu, w kącie, za węglem, za firanką, kiedy jego niszczyła i zabijała ta przeklęta wiedźma. Zestarzał się równie ohydnie jak portret Doriana Graya. Taki jest przez to bezbronny. Tak łatwo go skrzywdzić. Zawsze go wszyscy skrzywdzili.

Dobrze, to trochę i jego własna wina. Przyznaje to – teraz. To właśnie starość. Przyznaje: sam też zawinił, wiele razy zawinił. Ale potraktowano go niesprawiedliwie. Całe życie, całe życie! Nawet renty mu odmówiono!

Dobrze: nie będzie stał wiecznie nad morzem w Worthing, patrząc na dom przy ulicy, której już nie ma, na balkon, którego już nie ma... Jeszcze tylko chwilę.

Biedny Oscar.

Nieoczekiwanie wilgotnieją mu oczy. Biedny Oscar. Jak zabawnie z nim było! Jak wesoło!

Ten przedzielony na pół balkon. I oni obaj, każdy w swojej połowie, rozdzieleni murem. Te głosy, ten śmiech z ubiegłego stulecia. I Oscar, i Konstancja nie żyją, a mały chłopiec, skaczący kiedyś na falach, dziś siwowłosy mężczyzna, na serdeczny list lorda Douglasa od-

powiedział oziębłą kartką: nie chce mieć nic wspólnego z wrogiem Roberta Rossa! Wszyscy umarli, oszaleli, albo odwrócili się od niego, jest sam. Stoi, patrząc na podzielony balkon, i myśli o tamtym lecie. I rozrzewnia się nagle, i wzrusza, jak wszyscy starcy. Tamto lato. Biedny Oscar! Tak dobrze z nim było – każdemu. Tak beztrusko. Tak radośnie. Było w nim coś takiego... O, nie, nie był wesółkiem i dowcipnisiem, to nie tak. Ale było w nim coś takiego...

A potem z całego tego światła, i śmiechu, i szumu fal, ze wszystkiego pozostaje tylko ponury, zardzewiały szkielet, konstrukcja zburzonego domu, z którego zniknęły meble i obrazy, i filiżanka z Napoleonem, i dziecinne zabawki, i kwiaty w wazonach; zostaje ruina, a ludzie wierzą, że tylko tym i niczym więcej był dom kiedyś, wierzą i każą wierzyć innym. Sam Oscar to zrobił. Ten jego list z Reading, ten potworny list! Zafałszował wszystko. Zrobił z ich sprawy tragedię, nasaczył ją patosem, zamalował na czarno... Jak gdyby to była wielka i straszna miłość, załgane ekstazy przeplatane potwornymi awanturami i podszyte zdradą. A to było miłe, wesołe. Ileż oni się razem śmiali! Całymi dniami. Boże drogi, był taki wspólny lunch w Torquay. Kelner polecał „milutką rybkę”, a Oscar na to: *Gdyby pan znał obyczaję godowe ryb, nie użyłby pan słowa „milutka”*. Nic takiego. Bezsensowna uwaga. Dobrze. Ale jak on się śmiał – on, Alfred Douglas – jak się śmiali obaj! Rozmawiali o rybach i nie o rybach, mnożyli absurdy, nonsensy, i śmiali się, och, tak się śmiali – przez cały lunch! Tak było wesoło, tak dobrze, tak cudownie.

Ale tego się nie da opisać. Tego się nawet nie pamięta. Nie można tego zapamiętać. Tej beztruski. Tej radości.

I dlatego pamięć jest zawsze kłamstwem. A skoro pamięć – to i wszystko. Wszystko jest kłamstwem.

I z całego życia, i z tego wszystkiego zostaje tylko podzielony na pół balkon przy ulicy o zmienionej nazwie.

Biedny Oscar!

Umieram

Nakryto stół białym obrusem. Ustawiono krzyż między dwiema świecami. Obok stoi szklanka wody, leży kłęb waty i kawałek chleba.

– Zmiłuj się nade mną, Boże mój – zawodzi irlandzki ksiądz – według wielkiego miłosierdzia Twego.

Może minie. Ta straszna duszność. Może to zaraz minie.

Czyż nie po to właśnie wezwał księdza? Tyle o tym słyszał. O cudownych uzdrowieniach po ostatnim namaszczeniu. Może i jego to spotka, może i on zostanie cudownie uzdrowiony?

To jego dziurawe serce, to serce z niedomykającą się, przeciekającą klapą! Ta męka!

– Zmiłuj się nade mną. Boże mój...

Lord Douglas płacze. Łzy wypływają spod jego przymkniętych powiek i ciekną po pomarszczonych policzkach. Tak, zmiłuj się! Zmiłuj się! Pozwól mi oddychać!

Pogodził się z losem. Chodził na wszystkie przedstawienia *Bądźmy poważni na serio*, napisał do syna Oscara i został odtrącony, pojechał do Worthing i patrzył długo na podzielony balkon. Już nie pisze wierszy. Już się nie procesuje. Już nie grzmi przeciwko pederastom: w końcu homoseksualizm to tylko grzech cielesny, nie większy i nie mniejszy od innych grzechów cielesnych, a więc – kto ma prawo rzucać kamieniem? Poddał się. Zgodził się być kochankiem Oscara Wilde’a i niczym więcej. Choć przypomina każdemu, że Oscar nie był wart tej sławy, która go okryła, że był miernym literatem, człowiekiem średniego talentu, nikim szczególnym... Czeka na słowa: *Nie tak, jak pan, milordzie!*, i nie słyszy ich nigdy, wielbiciele Oscara najwyżej tłumią drwiące uśmiechy, lepiej nie drażnić tego pyszałka-grafomana,

lepiej wyciągnąć od niego jeszcze jakąś anegdotę, parę zdań... w końcu niedługo umrze! Już dawno powinien był wyciągnąć kopyta. Niedługo umrze i będzie można wreszcie pisać całą prawdę.

A lord Douglas przyciska rękę do marynarki. Pod spodem jest ta dziurawa łajba, która właśnie napełniła się wodą i tonie. Jak to dusi. Jak strasznie dusi.

Wrócił z Worthing.

Młodzieniaszek, który go odwiedzał z marną brandy i bladymi jajkami, przysyła „do oceny i aprobaty” kolejne rozdziały swojej książki o Oscarze. Co za ból!

Czyta, co napisał ten szczeniak.

Szczeniak cytuje lorda Douglasa. Dobrze. Ale co o nim pisze? Świństwa i bzdury!

Że matka – kochany, najdroższy Damus, jego najlepszy przyjaciel, jego mała święta – że matka go zepsuła. Że wypaczyła mu charakter. Zbyt pobłażliwa, zbyt go wielbiąca, *sprawiła, że wzięły w nim górę najgorsze cechy charakteru: miłość własna, roztkliwianie się nad sobą, arogancja i porywczosć.*

Jak śmiał?

Tak pisać o nim! O nim! I o jego matce, która umarła niedawno jak święta...

Dalszy ciąg poprawia mu samopoczucie.

Szczeniak – nazywa się Pearson – pisze (w porządku!), że on, lord Douglas, wyjechał z Anglii podczas procesu wyłącznie na skutek błagań Wilde’a. Nie uciekł, nie stchórzył. Wyjechał, bo go o to proszono. Toż jeszcze z Calais wysłał list z prośbą, by go wezwano na świadka!

Dobrze.

A teraz rozdział szesnasty. Wilde w więzieniu. Och, tu znać wpływy Rossa! To okropne traktowanie, te męki, ta gehenna... Nie przesadzajmy. On, lord Douglas, też był w więzieniu.

Przerzuca szybko kartki. No, jest. Jest o *De Profundis*.

Dobrze. Tak, jak należy. Urobił szczeniaka.

List odsłania wszystko, co w autorze jest najślabsze. To o Wildzie. Słusznie. Wszystko, co w nim jest najślabsze. To nie przekonujące uczuciowo. Właśnie! Wilde tak nie myślał. Na pewno tak nie myślał, udawał. Te bzdury o cierpieniu, o odrodzeniu przez cierpienie, o pokorze, te błahе efekty, to przejściowa reakcja na potworność warunków, w jakich się znalazł, na więzienie.

Słusznie!

Tylko z powodu nieszczęsnych warunków – pisze szczeniak – z lorda Douglasa, bohatera okresu swego największego rozkwitu, Wilde zrobił czarny charakter czasów swojej niedoli.

Słusznie!

Co wytłumaczy koszmar, który z tego wynikł? Zakłamanie, dziesięciolecia potwarzy, dziesięciolecia cierpień niewinnego (to o nim, to o lordzie Douglasie), co wytłumaczy ten koszmar?

Tylko zazdrość Rossa. Nie ma innego wyjaśnienia.

Dobrze. Dobrze. Urobił szczeniaka!

Ale te cytaty z listu, pisanego w Reading... czy te cytaty były naprawdę konieczne? Ile razy jeszcze będzie musiał je czytać? Czytać o swoich – lorda Douglasa – atakach wściekłości, graniczących niemal z epilepsją, o tym, jak to on – lord Douglas – pewnego dnia w takim ataku furii jego – Oscara Wilde’a – omal nie zamordował... I te straszne słowa, te poniżające go i hańbiące słowa! Już nie z listu. Komentarz samego szczeniaka. On, lord Douglas, był – tak twierdzi szczeniak, i pewnie jest dumny z tych słów – tylko marionetką losu, poruszaną niewidzialną ręką, by stało się tak, jak się stało.

Marionetką losu? Tylko tym? On?

Cóż, szczeniak jest zdolny. Dobrze to napisał. I może jest to nawet jakimś chytrym usprawiedliwieniem. Szkoda, że nie wprost. Szkoda, że szczeniak nie nazwał go wielkim poetą. To

by zmieniło wszystko. Jeżeli Oscara porzucił największy poeta po Szekspirze, a nie zarzuciły grafoman, wszystko wygląda inaczej. Nawet odpowiedzialność wobec Boga jest inna!

Szczeniak czytał jego wiersze. I, jak widać, on też nimi wzgardził. Oscar Wilde, ten geniusz, miał romans z człowiekiem miernym i grafomanem. Oczywiście, może mimo to był wobec niego niesprawiedliwy, na pewno był niesprawiedliwy, ale jednak... O, nie, to na pewno nie był związek Platona z Sokratesem!

Co za ból.

Cóż, może to jeszcze nie jest najgorsza wersja. Marionetka. Być marionetką, kierowaną ręką Boga – Boga, który postanowił zniszczyć grzesznika. Być narzędziem kary, spływającej z niebios. Bóg tak chciał. Bóg chciał zgubić Oscara Wilde'a, zatem zesłał nań lorda Douglasa. Nieźle. To ma nawet w sobie pewną wielkość.

Przebiega oczami ostatnie strony maszynopisu. Wyjście Oscara z więzienia. Piękny majowy poranek. Ada Levenson w cudownym kapeluszu. *Sfinksie, jak to dobrze, że wiedziała pani, jaki kapelusz włożyć o szóstej rano na powitanie przyjaciela, który był długo nieobecny!* Ross jest przy tym, ale cóż, nie można było pominąć Rossa, ustępstwo na rzecz faktów, trudno, to trzeba zrozumieć. Oscar ma zniszczone ręce, drży ze zdenerwowania, śmieje się i płacze, po raz pierwszy od dwóch lat ma kwiat w butonierce, pali papierosa za papierosem... Tamten majowy poranek w zeszłym stuleciu, kiedy wyszedł z więzienia, opuszczony przez swoją miłość, a jednak pełen nadziei, i stał się Sebastianem Melmothem. I zaczął swoją krótką drogę ku klęsce, ku śmierci.

Odplynięcie statku.

Ostatnie słowa rozdziału: ...i w kilka godzin później po raz ostatni zobaczył kredowe zbocza Anglii.

Dobrze napisane. Tak, dobrze napisane.

Biedny Oscar!

Przeczytał to. Trochę skorygował, a trochę pochwalił. Serce go bolało. Musiał brać środki uspokajające. O tak, w porównaniu z tym, co zwykle o nim pisano, to jest nawet pochlebne, miłe, pokorne, ale tym gorzej. Jeżeli tak pisze człowiek, przymilający się do niego, broniący się z góry przed procesem o zniesławienie, każdą kartkę składający mu do oceny i aprobaty, jak mają widzieć go inni? Dobrze. Szczeniak twierdzi, że ostatnie strony listu z Reading, ostatnie strony *De Profundis* były niesprawiedliwe. Tylko tyle? Ależ to było najwyższe okrucieństwo! Hipokryzja! Humbug! Młodzieniaszek nie wyjaśnił, że wszystkie zarzuty Oscara były i potworne, i śmieszne! Nie przekazał tego potomności! Nie napisał o lemoniadzie, nie napisał o szklance wody, nie przyznał, że pretensje chorych są idiotyczne! Jak gdyby po cichu przyznawał rację tamtemu. Oscarowi. Jak gdyby uważał, że on, lord Douglas, jednak powinien był podać choremu szklankę wody czy kupić mu winogrona. Absurd. Absurd!

Łyka środki uspokajające. Przyciska dłonią kłapę marynarki. Dusi się.

Bombowce ze swastykami już nie nadlecą, wojna się kończy... ale co go to teraz obchodzi? Co go obchodzi ta głupia wojna? Wszystko i tak rozegrało się w innym stuleciu. Ta szklanka wody. Te winogrona. Wina i kara. Wina i wyrok. O, nie, nie mają racji, nie mają racji! Szczeniak i wszyscy, którzy za nim stoją. Wieki. Ludzkość. Nie było żadnego powodu, żeby on, lord Douglas, podawał choremu wodę, skoro mógł ją podać służący czy boy hotelowy! Prawda? Oczywiście, że prawda! Dlaczego nikt nigdy nie przyzna mu racji? Dlaczego nikt nigdy nie uniewinni go z tych głupich zarzutów, nie ogłosi jego niewinności, nie wybębni na werblach jego zwycięstwa?

Dobrze. Minęło.

Co go to wszystko obchodzi?

Wezwał księdza. Wezwał księdza w nadziei na cudowne uzdrowienie. Ksiądz nakrył stół białym obrusem, ustawił krzyż, zapalił dwie świece...

– Zmiłuj się nade mną, Boże mój, według wielkiego miłosierdzia Twego...

Może minie. Ta straszna duszność. Może zaraz minie. Zwilżona olejem watka dotyka jego oczu, uszu, wielkiego sinego nosa, ust o opadłych kącikach, jego wciąż białych rąk (rąk Doriana Graya, nie jego portretu!) i stóp, wystających spod pledu. I amen.

– Tyś jest całym oparciem moim. Panie, Boże mój. Tyś miłosierdziem moim.

(Cud: duszność ustępuje. Dobrze zrobił, wzywając księdza! Wyzdrowieje!)

– Ojczy mój, jeśli nie może ten kielich odejść ode mnie, ale trzeba, abym go pił, niech się dzieje wola Twoja.

(Tak: duszność naprawdę ustępuje, oddech wraca.)

– Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nade mną.

(I dzięki Ci, dzięki.)

Ksiądz zbiera swoje oleje, naczynia, krucyfiks. Odchodzi. A lord Douglas płacze z ulgi. Wyzdrowiał! Oddycha swobodnie. Serce go nie boli. Promienieje. Chce mu się pić, jest głodny. Chętnie zje jajko. I napije się sherry. Tak.

Och, wszystko jeszcze będzie dobrze! Na pewno!

Jest pod opieką Bożą. I któż miałby znaleźć się pod tą opieką, jeśli nie on, męczennik?

Je jajko, pije sherry. I zasypia – dobrym, mocnym snem. Dzięki Ci, Jezu!

Ma przed sobą jeszcze cztery miesiące. Cztery miesiące życia. I umrze łagodnie, we śnie. Nie wiedząc, co się dzieje. Dzięki Ci, Jezu. Wzniesie się spokojnie z wygodnego łóżka w światłość wiekiustą, odmłodzony, uleczony, wybrany, wzniesie się na skrzydłach anielskich w światłość – po zadośćuczynienie za wszystkie krzywdy, po najwyższą nagrodę. Och, tego jednego zawsze był pewny, w to jedno nigdy nie zwątpił. Niebo dawało mu znaki, święci wysłuchiwali jego modlitw, zsyłali mu świadków obrony do procesów o zniesławienie i usuwali myszy z więziennego szpitala, światłość wiekiusta sączyła się przez szpary w roletach i między chmurami na niebie jak zapowiedź, potwierdzenie, gwarancja: ty jesteś zbawiony za życia, ty dostałeś łaski! Piekło otworzy się dla innych, na ciebie czekają niebiosy. Nikt nie był godniejszy. Tak, wiedział to zawsze, nie mogło być inaczej: kto mógłby zostać zbawionym, jeśli nie on? Dzięki Ci, Jezu!

Nawet nie poczuje własnej śmierci. Nie dowie się o niej. Spokojnie i cicho, we śnie, o czwartej w nocy, przeniesie się z ziemskiego mroku w światłość.